

ELIZA ORZESZKOWA

Jędza

ELIZA ORZESZKOWA

Jędra

POWIEŚĆ

I

Siłą przyzwyczajenia o pierwszym brzasku dnia obudzona, otworzyła oczy, i tak przelęknęła się, że nieprzytomnym jeszcze od senności głosem wybelkotała:

— Co to? co to?

Istotnie, co tam takiego stoi w szarem świetle zimowego świtu, przy dużym i ciężkim stole, umieszczonym pośrodku pokoju, którego podłoga znika prawie pod mnóstwem małych różnokolorowych szmatek, strzępków, skrawków? Widmo, nie widmo? Wyraźna, wysoka postać kobiety, z wydatnymi kształtami i w nowiuieńkiej eleganckiej sukni, ale bez głowy! Falbany, tunika, pasek, kołnierz, rękawy, turniura, wszystko jest, tylko nad kołnierzem głowy, a u rękawów rąk wcale niema! Wytworna jakaś dama, według ostatniej mody ubrana, ale bez rąk i bez głowy, w dodatku zaś trupio sztywna i nieruchoma. Ta trupia sztywność, obok pełności kształtów, najbardziej jej nadają, w szarem świetle świtu, pozór fantastycznego zjawiska. Białe odbłask leżącego za oknem śniegu słabo migocze w złotych paciorkach zdobiących jej suknię, a okrywające podłogę strzępki i skrawki wyglądają, jakby ścielące się do stóp, dziwaczne, powiędłe, klinowate, podłużne kwiaty.

Jednak, obudzona dziewczyna przez trwanie kilku zaledwie sekund przelęknęła czuła się tem fantastycznym zjawiskiem. Sennym głosem wybelkotawszy: „Co to? co to?” uśmiechnęła się zaraz i, przecierając oczy, które jeszcze bardzo spać chciały, wymówiła:

— Jakaż ja głupia!

Głupią może nie była, ale wczoraj do godziny drugiej po północy wykończyła haft ze złotych paciorek, który teraz słabo migotał na sukni widma, co sprawiło, że, położywszy się późno, spała twardo, zbyt krótko i obudziła się nieprzytomnie, dlatego nie poznała odrazu przedmiotu, który od lat już siedmiu był nietylko jej nierozłącznym towarzyszem, ale niejako symbolem jej życia. On, to jest ten manekin, do przymierzania sukien służący, z drucianej siatki utworzony, oraz drugi jeszcze przedmiot: maszyna do szycia, której korba i koło słabo połyskiwały nad stołem, środek pokoju zajmującym, była to para jej nieodłącznych towarzyszy, chlebodawców i dobroczyńców z jednej strony, a z drugiej więziennych stróżów.

Głęboką ciszę wczesnego poranku przerywały tylko dwa monotonne głosy: tykotanie wiszącego na ścianie zegara, oraz chrapanie kogoś, śpiącego za cienką drewnianą ścianą, w przyległym pokoju, od którego drzwi wąskie i niskie były nawpół otwarte. Cienka, drewniana ściana była w istocie tylko przepierzeniem, a dwa pokoje jedną obszerną izbą, na dwie nierówne części podzieloną.

Senne, różowemi obwódkami otoczone oczy dziewczyny zwróciły się ku zegarowi, i jakby sprężyną podrzucona, usiadła na łóżku.

— Późno już! — szepnęła, — ach, jak późno! Zaspalam!

Poczęła bardzo śpiesznie wstawać z pościeli i ubierać się, a gdy to czyniła, ruchy jej zdradzały naturę żywą, nerwową, którą jeszcze jakiś bicz życia do nieustannego pośpiechu przyzwyczaiał. Nie zastanawiała się ani chwili nad zużytymi i dziurawymi bucikami, w które wsunęła małe i zgrabnie utoczone stopy; nie lubowała się długością i połyskiem ciemnopłowych włosów, które nad czołem gładko zaczesawszy w gruby warkocz, z tyłu głowy zwinęła; od łóżka do glinianej miednicy z wodą i od miednicy do wiszącego na ścianie lusterka przebiegała żwawo, cicho, na żadne przerwy, spoczynki, rozmyślenia nie pozwalając sobie, ani potrzeby ich nie czując.

Wzrost miała dość wysoki, ruchy zgrabne, włosy piękne, ręce i stopy małe i kształtne; ale wielkie wychudzenie i żółtawa bladość ciała nadawały jej pozór mizerny i zwiędły. Kości jej łopatek ostro sterczały nad opadającą z nich czystą, lecz i wszelkich ozdób pozbawioną koszulą, a ramiona miały także zgięcia ostre i na całej długości cienkość jednostajną. Tak chudą będąc, najlepiej nawet przez naturę stworzona kobieta, ładną być nie może. Ale ona, w tej chwili przynajmniej, nie myślała wcale o tem, czy jest ładną. Zajmowały ją nadewszystko, pochłaniały całkowicie wdzięki wytwornej damy bez głowy, przy dużym stole w trupiej nieruchomości stojącej. Myjąc się, czesząc, wrzucając na siebie szarą spódniczkę, wciąż rzucała na nią śpieszne, ale uważne spojrzenia, aż nie skończywszy jeszcze zapinać szarego stanika na zgrabnej, lecz zbyt cienkiej kibici, podbiegła ku niej, i pochylając się, prostując, zbliżając się, odchodząc, przyglądać się jej zaczęła.

— Żle! — szepnęła, — zupełnie źle!

W mgnieniu oka otworzyła stojące na stole pudełko, i jedną ręką zapinając jeszcze guziki stanika, drugą poczęła prędko, prędko z podłużnego papieru wysuwać szpilki i do ust je wkładać. Była to manipulacja dość dziwna, z którą jednak ona doskonale była oswojona. Bo kiedy człowiek obie ręce ma zajęte robotą, gdzież umieścić potrafi szpilki, których co sekunda do tej roboty potrzebuje? Naturalnie w ustach; ciągle bowiem chwytanie ich ze stołu lub stołka zabierałoby wiele czasu, a co gorsza, zbyt daleko usuwałoby rękę od roboty. Jest to kwestya krawieckiego mechanizmu, w którym dziewczyna widocznie była biegłą. Z pękiem szpilek w białych, drobnych wargach, przyklekła i zaczęła przebierać upięcie sukni wytwornej damy.

— Oj, ta nocna robota! — sarknęła zcicha.

W nocy, przy świetle lampy, wydawało się jej, że zrobiła to bardzo ładnie; teraz zaś w układzie i sposobie opuszczenia się draperyi spostrzegła różne krzywizny i niedokładności. Prostowała, poprawiała, podnosiła, opuszczała, na klęczkach obchodziła dokoła wytworną damę, prawa jej ręka co chwila nadzwyczaj szybkim ruchem sięgała do ust po szpilkę; zgrabna głowa z ciężkim warkoczem medytacyjnie i badawczo przechylała się w różne strony, zdaleka i zbliżka przypatrując się dokonywanemu dziełu.

Gdy tak w zajęciu swoim była pogrążona, za oknem, gdzieś w pobliżu, ozwało się silne stukanie i gruby głos ludzki, w sposób gwałtowny i grubiański do kogoś przemawiający. Nie zdziwiło to jej wcale. Wiedziała, że to jeden z jej licznych sąsiadów, szewc Jerzy, po całonocnej hulance pijany wraca do domu i w taki hałaśliwy sposób dobija się do drzwi swego mieszkania. Stukanie to trwa zazwyczaj długo, a towarzyszą mu coraz głośniejsze krzyki i łajania; bo żona szewca, przelekła, a jeszcze więcej rozgniewana, drzwi otworzyć nie chce, i nawet z wnętrza mieszkania, cienkim, ale piskliwym i doniosłym głosem wzajemnie męża łajać zaczyna.

Wszystko to nie jest zupełnie podobnem do śpiewu ptasząt, przy którym do dnia niewinności i szczęścia budzą się niewinni i szczęśliwi tego świata. Więc też czoło dziewczyny, klęczącej przed wytworną i trupio sztywną damą bez głowy, nabiera trochę ponurego wyrazu; pomiędzy brwiami powstaje na niem zmarszczka i przebiega je parę drgnień gniewu czy niecierpliwości. Od kilku już lat, parę razy na tydzień, słyszy ona hałaśliwe i grubiańskie klótnie szewca z żoną, a potem znowu wysłuchiwać musi płaczliwych, piskliwych, nieskończenie długich wyrzekań i lamentów kobiety, a dotąd jeszcze oswoić się nie może z widokiem mizernego, niskiego, brudnego życia tych ludzi. Jest w niej coś, jakiś instynkt porządku, jakieś zamilowanie zarówno fizycznej, jak moralnej czystości, co podobne widoki czyni jej nieznośnemi.

A teraz, nad nią, nad niewysokim sufitem pokoju, w którym pracowała, rozległ się przeraźliwy wrzask dwojga czy trojga dzieci, które snąc jednocześnie obudziły się i jednocześnie płakać zaczęły. Oznajmiało to znowu powstawanie ze snu licznej rodziny Lei kramarki, która niedaleko ztąd miała kramik z drobnymi wiktuałami, a której mąż od rana do wieczora nad Talmudem siedział i oprócz tego nic więcej nie robił. Ci nie klócili się z sobą, jak o kilkanaście ztąd kroków mieszkające szewcowstwo, ale w zamian mieli strasznie wrzaskliwe dzieci i mieszkali dosłownie w kupie śmiecia, z którego wyciekające brudne jakieś płyny tworzyły często obrzydliwe plamy na suficie jej mieszkania.

Skarżyła się na to przed właścicielem domu, ale był to człowiek bogaty, a psycholog mierny, który na żaden sposób zrozumieć nie mógł, co komu szkodzić mogą dziecinne

wrzaski nad sufitem i mokre plamy na suficie? On sam wprawdzie ani jednych, ani drugich znieśćby nie mógł, ale był bogatym; ażeby zaś ubogim ludziom przykrość one sprawiać mogły, tego zupełnie nie pojmował. Panna Jadwiga Szyszkówna była panienką ubogą, więc rzeczy takie i daleko jeszcze gorsze znosić mogła wybornie. Powiedział jej to wyraźnie, co ją tak zabolalo i oburzyło, że z twarzą w ogniu oświadczyła mu wzajemnie, iż jest gburem, człowiekiem bez wychowania i serca, a odchodząc, z całej siły trzasnęła drzwiami. Postępku tego nietylko nie wyrzucała sobie, ale owszem, ilekroć o nim myślała, żalowała, że obrzydliwemu spekulantowi nie nagadała daleko gorszych rzeczy i że drzwiami jego nie trzasnęła tak, aby z nich duże, przezrocyste, kosztowne szyby wyleciały i na szczątki się potłukły. Bo jakie on miał prawo wyrzucać jej ubóstwo? Płaci mu przecież ona za mieszkanie z regularnością zegarkową, ręki po jałmużnę nie wyciąga, i od nikogo nic nie potrzebuje. Czy to ubogi człowiek jest psem, aby wszystko znosić musiał i aby każdy ubliżać mu miał prawo?

Teraz jeszcze, myśląc o tej rozmowie z właścicielem domu, zawrzała tak, że aż rumieńce wybiły się jej na twarz i dotkliwie uklóła się szpilką w palec. Syknęła, ale nie z bólu, tylko z gniewu na samą siebie. Zarazem wstała z klęczek, i po starannem obejrzeniu znowu ze stron wszystkich wytwornej damy, uznała, że draperye jej sukni były tym razem zupełnie dobrze upięte. Trzeba je będzie jeszcze przymocować nićmi, ale to już uczyni później, a teraz wykończy tę różową, dziecinną sukienkę, która wisi na ścianie zupełnie uszyta, tylko jeszcze drobnych przyozdobień potrzebuje.

Gdy szła ku ścianie po dziecinną sukienkę, machinalnie spojrzała w okno, i zobaczyła zwolna sunącą po dziedzińcu usłanym śniegiem kobietę, w strasznie obłoconej u dołu sukni i wielkiej podartej chustce na głowie. Z grubych zwojów podartej i żadnej już barwy nie mającej chustki, wyglądała twarz dość jeszcze młoda, ale niezmiernie blada, chuda i wyrazem przejmującego smutku uderzająca. I o tej kobiecie Jadwiga wiedziała dobrze kim jest i dlaczego teraz w skórzanych pantoflach i obłoconej spódnicy, sennym, słabym, leniwym krokiem sunie się przez dziedziniec. Jest to żona krawca, Mendla, który w tym samym domu, wkrótce po jej przybyciu zamieszkał, a miał żonę, czworo dzieci, powoli rozwijające się suchoty i wieczny brak zarobku. Sunie zaś ona, ta żona Mendla, której na imię Ruchla, ku sklepionej, prowadzącej na ulicę, bramie dziedzińca, aby w niej stanąć i każdego z przechodniów, którego tylko o potrzebę sporządzania jakiegokolwiek odzieży posądzić może, do swego męża krawca werbować.

Zrana, w południe, przed wieczorem, latem, jesienią i zimą, słowem o każdej porze dnia i roku, widzieć można Ruchlę przypartą do rogu bramy i głęboko zapadłemi, czarnemi oczyma wodzącą po przytykającym do niej chodniku. Czasem, gdy nogi zabolą ją od stania, przysiadła na niskich schodkach, znajdujących się u drzwi mieszkania stróża, i z łokciami na kolanach, z brodą opartą na obu rękach, siedzi jak posąg; lecz niech tylko spostrzeże idącego chodnikiem lub wchodzącego do bramy kogoś z zawinięciem, lub kawałkiem materii w ręku, natychmiast zrywa się, podbiega i z ukłonami, z błagalnymi wejrzeniami, z tysięcznymi przyrzeczeniami tanioci i doskonałości roboty, do siebie zapraszać go zaczyna. Z sennie, leniwej, nieustannie i zda się śmiertelnie smutnej kobiety przemienia się wtedy na Demostenesa w obłoconej spódnicy, a w części też na baletnicę, tak staje się wymowną i takich gibkich, żwawych, sprężystych nabiera ruchów. Tłumnie, bezprzestannie, gorączkowo wyrazy tłoczą się na jej kształtnych, cienkich, żółkłych wargach; błagalnie, gorączkowo, z wyrazem niepokoju, przymilenia i żądzy w twarz przechodnia z zawinięciem spoglądają jej głęboko zapadłe, jak noc czarne oczy. I dość często udaje się jej dopiąć celu, dość często przechodzień, zwabiony jej spojrzeniami, ukłonami i obietnicami, skierowuje się w stronę jej mieszkania, omijając drzwi Jadwigi Szyszkówny i drugiej szwaczki, która także w tym domu mieszka, ale której Jadwiga znać nie chce, z powodu kawalerów, z którymi ta lekkomyślna dziewczyna przechadza się po ulicach i których nawet u siebie niekiedy przyjmuje.

Że jednak druga ta szwaczka niewiele znaną jest w mieście i daleko mniejszą od niej biegłość w krawiectwie posiada, więc też Ruchla swoim przejmowaniem w bramie krawieckiej klienteli najczęściej szkodę wyrządza Jadwidze. Boże! ile też zrazu miała ona z tą kobietą zajść i przykrości! Zaczęła od tego, że poważnie wykazywała jej całą niewłaściwość i nawet nieuczciwość takiego podstępnego postępowania i odbierania zarobku innym, którzy także żyć potrzebują. Na przełożenia te, Ruchla ani gniewu, ani wstydu

nie okazując, odpowiedziała: „A co robić, kiedy u nas chleba niema!” Niechby Mendel tak dobrze suknie robił, aby przez to zdobył sobie wziętość, a wtedy niktby mu jej za złe brać, ani zazdrościć nie miał prawa; ale tak w bramie stać i ludzi chwycić, namawiać, od innych drzwi odprowadzać, to nieładnie i nieuczciwie. Ruchła cichym, monotonnym, od stania na zimnie ochrypłym głosem, znowu odpowiedziała: „Co robić, kiedy u nas chleba niema!”

Stopniowo, uporem Żydówki i kilku poniesionemi stratami podrażniona, Jadwiga coraz ostrzejsze wymówki Ruchli czynić zaczęła, i przy każdym spotkaniu okazywała jej pogardę; bo też istotnie, oprócz żalu nad straconym zarobkiem własnym, czuła ku podobnemu sposobowi zdobywania go obrzydzenie głębokie. Ona, gdyby z głodu umierała, jeszczeby pewnie nie stanęła w bramie, aby w taki żebraczy i dla innych szkodliwy sposób przyciągać ku sobie klientelę.

Raz też, przechodząc obok Ruchli, która jej przed kilku dniami jedną z najcenniejszych klientek odebrała, zagotowała się cała od gniewu, i głośno, ostro do niej zawołała: „Oj, wy, Żydy, wy już ani za grosz honoru i wstydu w oczach nie macie!” I jak zwykle, gdy gniew ją ogarniał, z ogniem na policzkach i drżącymi trochę rękoma, dodała: „Burdasy!” Wymówiła więc wyraz z całego swego dykcyonarza najgorszy, bo „brudas” czyli człowiek fizycznie lub moralnie brudny, był dla niej tem, czem najnamiętniej brzydziła się na świecie. Ale Ruchła, ramieniem o róg bramy oparta, bez gniewu, bez wstydu, bez żadnego poruszenia ciała lub duszy, odpowiedziała: „A co robić, kiedy u nas chleba niema!”

Przez lat parę Jadwiga uczuwała dla tej fizycznie i moralnie brudnej kobiety urazę i pogardę. Jakież tedy było jej zdziwienie i obrzydzenie, gdy pewnego dnia, Ruchła, nie w bramie już, ale na dziedzińcu, z opuszczonemi rękoma i splakaną twarzą stojąca, ujrawszy ją, rzuciła się ku niej, rękę jej pochwyciła i pocałunkami okrywać zaczęła! Płakała przy tem i bełkotała, że jedno z dzieci jej zachorowało, a ona nie ma czem doktora i apteki opłacić, że w tych czasach właśnie Mendel żadnego zarobku nie miał, że może panienska zlituje się nad jej chorem dzieckiem, nad nimi wszystkimi, i pożyczyci im choć rubla, choć jednego rubla... na doktora i lekarstwo! Jadwigę prośba ta oburzyła. „Ja wam, ja wam pożyczyci! Dwa lata dołki podemną kopię i o tem tylko myślę, aby mię chleba pozbawić, a teraz jeszcze mojej pomocy żądają! Albo to prawda, że wy tacy biedni!” Ruchła odpowiedziała: „Niech panienska zobaczy i przekona się! Niech panienska do nas wejdzie!” Powiedziała to w taki sposób i tak ją jakoś ku swemu mieszkaniu pociągnęła, że Jadwiga za nią poszła.

W mieszkaniu krawca spędziła prawie kwadrans, a gdy je opuściła, miała twarz zamysłoną i smutny wyraz oczu. Jakkolwiek patrzyła już teraz na bruk dziedzińca i wysokie ściany kamienicy, zamiast nich widziała nieustannie drobną, ładną, rumieńcami gorączki płonącą twarz dziecka, i drugą jeszcze, prawie jak papier białą, rozżarzonemi oczyma świecąca, suchotniczą twarz ojca tego dziecka. Widziała jeszcze okropną izbę, z której przed chwilą wyszła, i z temi obrazami w oczach do mieszkania swego wbiegła, a wnet zeń znowu wybiegłszy, czekającej na nią Ruchli papierową szmatkę w rękę wcisnęła.

Doprawdy, nie była ona wcale bogatą, ale do utrzymania miała tylko siebie i jedną jeszcze osobę, a białą, smutny, chory, przymusowo beczynny człowiek miał ich aż pięć. Posiadała w tej chwili trzy ruble, z których jednego oddała żonie krawca, a tego samego dnia, odnosząc uszytą suknię żonie doktora, której była stałą krawczynią, tak gorąco prosiła, aby pan doktor odwiedził chore dziecko Mendla i Ruchli, że aż doktorową w rękę pocałowała. Wogóle, nie była wcale skłonna do całowania rąk ludzkich, tym razem jednak uczyniła to, i nie bez skutku. Mały jej sąsiad bezpłatnie leczony wkrótce wyzdrowiał, a jednocześnie w sercu Jadwigi nieprzyjaźń względem obłocnej i podstępnej Ruchli zgasła bez śladu, i chociaż ta ostatnia, tak jak wprzód w bramie domu trzymała wartę, już kiedy niekiedy Jadwiga zamieniała z nią kilka życzliwych, nawet poufnych wyrazów.

I teraz także, spostrzegłszy przez okno Ruchlę na zwykłe swe stanowisko dążącą, uśmiechnęła się tylko żartobliwie.

— Głupia Ruchła! Zmarznie w bramie, jak kość, a nikogo nie złapie! Przecież to wigilia Bożego Narodzenia...

Zdjęła ze ściany dziecinną sukienkę i poczęła ją na wszystkie strony obracać i oglądać. Bardzo ładna! Zrobiła takich trzy, dla trojga małego rodzeństwa, i dziś ją odniesie,

tylko tę jedną wykończyć jeszcze trzeba. Odwróciła się ku stołowi, i nagle aż zatrzęsła się cała z gniewu. Jedna szyba nisko nad ziemią umieszczonego okna zajęta została w zupełności przez twarz kobiety dużą, czerwoną, garniowaniem wielkiego kaptura otoczoną, a małemi, świecącemi, ciekawemi oczkami chciwie w głąb pokoju spoglądającą. Twarz ta należała do niemłodej, barczystej kobiety, która w dość mizernej salopie i z grubą książką do nabożeństwa w ręku za oknem przystanąwszy, mieszkanie za tem oknem znajdujące się, świecącemi i ciekawemi oczkami formalnie prześwidrować usiłowała.

Znowu! — krzyknęła Jadwiga, i z błyskawiczną szybkością ku oknu poskoczywszy, twarzy do szyby przyklejonej język pokazała.

Twarz, z przedziwnym grymasem gniewu i przedrzeźniania zniknęła, a Jadwiga, pędliwym ruchem przy maszynie do szycia usiadłszy, trochę drżącemi palcami układała i zszywała różową kokardkę. Nie jest to ładnie język komuś pokazywać, ale ona wcale tego postępkowi swego nie żałuje. Te nabożnisie w rogu dziedzińca mieszkające, tak jej już swoim podpatrywaniem i podsłuchiwaniami dokuczyły! Jest ich trzy, mieszkają razem, żyją z drobnych emerytur i oszczędności, przez całe dni z książkami do nabożeństwa po dziedzińcu się włóczą, a co która przewlecze się, to w jej okno twarz wsadzi i patrzy: czy nie zobaczy czego, coby po mieście na języku roznosić mogła. Żeby sto lat patrzyła, nic takiego nie zobaczy, to pewno; ale taka niedelikatność i nieprzyjaźń oburza i boli. Tylko co była jedna, szła na prymaryę i do jej okna zajrzała, zaraz iść będzie druga, a potem trzecia, i to samo zrobią. Ale ona plecyma do okna usiadła i ani razu nie obejrzy się najpewniej, aby znowu nie zobaczyć której z tych dużych, czerwonych twarzy (wszystkie trzy mają one duże, czerwone twarze); bo gdyby się to stało, czuje, że nie wytrzymałaby i znowu pokazałaby język.

Myślała już o tem, aby dolne szyby franką zasłonić, ale światła do roboty miałyby za mało i przy wyszywaniu sukien sznurkami lub paciorkami, albo przy szyciu przodów do męskich koszul, musiałaby wzrok wyteżać, a i bez tego już od niejakiego czasu oczy ją trochę bołą. Po czternaście, albo i po szesnaście godzin na dobę szyje i szyje. Bierze do szycia nie tylko suknie, ale gdy się zdarzy, także i bieliznę, potrzebującą wybornego i delikatnego obrobienia. Trudno byłoby utrzymać się z szycia samych sukien, zwłaszcza, że współzawodnictwo na tej drodze jest ogromne i ciągle wzrasta; trzeba więc korzystać z każdej sposobności zarobku, z każdej umiejętności własnej.

Ze sześć już kokardek do różowej dziecinnej sukienki zrobiła i robić zaczęła siódmą, gdy z za przepierzenia dał się słyszeć głos nieprzyjemnie brzmiący, bo tak chropawy, że do przesuwania się piły po drzewie podobny.

— Jadwisiu, czy ty znów o tej porze przy robocie siedzisz?

— Już! — syknęła do siebie Jadwiga, — zaczynają się przyjemności!

Głośno zaś odpowiedziała:

— Siedzę, mammo!

Głos za przepierzeniem, tonem gderliwej przekory, ozwał się znowu:

— A położyłaś się spać znów o trzeciej?... a?

Coraz prędzej, prędzej zszywając kokardkę, odpowiedziała:

— O trzeciej, mammo!

Za przepierzeniem, chrypliwie, niecierpliwie, z górką i gniewną wymówką, zajęczano:

— Skaranie boże! plaga egipska! śmierć! zginienie! wieczne nieszczęście! Cóż z tego będzie? no, i co z tego będzie? Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się nad nami!...

I ucichło, a w zamian rozpoczęło się głucho, monotonne stukanie mocno uderzanych o siebie trzewików, dla okurzenia ich, czy z innej jakiej przyczyny. Klap! klap! klap! długo stukwały za przepierzeniem uderzane o siebie stare podeszwy, a potem stary, chrypliwy, gderliwy głos zaczął znowu:

— Cóż z tego będzie? Powiedz tylko sama, co z tego będzie? Do czego ty sama siebie doprowadzisz? Czyż ty nie rozumiesz? Jezus, Marya! Sama zginiesz i matkę zgubisz! Albo ty tego nie rozumiesz? Oho? Nie taka ty głupia, żebyś rozumieć nie miała! Rozum masz! O jej! masz go więcej, niż trzeba, a serca tylko mało, mało, mało! Jezus, Marya! Gdybyś miała serce, tobyś pomyślała o tem, coby stało się z matką, gdybyś ty zachorowała, albo broń Boże i co gorszego jeszcze... Ale czy ty kiedy o tem pomyślisz? Czy ty o matkę dbasz? Czy ty taka córka, żebyś matki spokojność szanowała? Pracować! pracować! pracować! To

bardzo ładnie i możesz chwalić się przed całym światem, że z własnej pracy siebie i matkę utrzymujesz. Tobie tylko o to idzie, ażeby chwalić się: „Od nikogo nic nie potrzebuję! Matkę utrzymuję! Synowie ją opuścili, a ja córka, słaba dziewczyna, nie opuściłam! Oni podli, a ja szlachetna! Ot, widzicie, jaka ja!” Tak, tak! Masz prawo chwalić się, a na braci wygadywać! Oni opuścili, a ty nie opuściłaś. Masz prawo! masz! Choć bywa na świecie i tak: że ten, kto wygląda na złego, lepszym jest od tego, który wygląda na dobrego. Ale ja do ciebie tego nie mówię: ty dobra, najlepsza. Boże zmiłuj się, oj Boże zmiłuj się!

Przez cały czas tej mowy Jadwiga milczała, i tylko coraz niżej nad robotą pochylała głowę; ale kiedy głos za przepierzeniem wyraził filozoficzne zdanie, że często ten, który wygląda na złego, lepszym bywa od tego, który wygląda na dobrego, blade jej palce drząc zaczęły i wypuściły na szarą suknię wijącą się strugę różowej wstążeczki. Rozumiała ona dobrze kogo dotyczyły się te słowa, a zawierająca się w nich niesprawiedliwość rzuciła jej znowu do policzków gorące rumieńce. Nie podnosząc głowy, przytłumionym głosem istoty, z całej siły żal i gniew swój hamującej, odpowiedziała:

— Ja bardzo dobrze wiem o tem, że dla mamy Władys i Józio zawsze odemnie lepsi. Gdybym ja gwiazdy z nieba zdejmowała, a oni w błocie po uszy siedzieli, zawsze byłabym od nich gorszą...

— Gwiazdy! — z ironicznym, ochryplym śmiechem powtórzył głos za przepierzeniem. — Gwiazdy! gwiazdy! Jezus, Marya! Skończenie świata! Ja chcę, żeby ona dla mnie gwiazdy z nieba zdejmowała! Ona mi wymawia, że gwiazdy dla mnie z nieba zdejmuj! A gdzież te gwiazdy? jakież to gwiazdy! Śliczne gwiazdy! Jezus, Marya! zginienie zdrowia i życia! Nędzny kawałek chleba, zgryzotą posmarowany!

— Niech mama będzie przekonana — głośniejsze nieco niż wprzód przerwała Jadwiga, — że gdybym miała marcepany, samabym ich nie jadła, ale mamębym niemi karmiła. Cóż, kiedy mnie na nic innego prócz tego nędznego kawałka chleba nie stać!

Głos za przepierzeniem zaskrzypiał:

— Masz tobie! Skończenie świata! Teraz o marcepanach gadać zaczęła. Jezus, Marya! Nieszczęście wieczne! Czy ja kiedy od ciebie marcepanów wymagałam? Niczego ja od ciebie nie wymagam, bo ty nie taka, aby tobie serce nad matką i jej niespokojnością zabolalo... To prawda, że synowie wyrzekli się mnie, zapomnieli, opuścili, a córka mię utrzymuje; ale za to oni mię i nie gryzą, nie martwią, nie sprzeciwiają się na każdym kroku...

— Trudno, aby na każdym kroku sprzeciwiali się, kiedy o sto mil mieszkają! — sarknęła Jadwiga i szybko końcem palca otarła dobywającą się na powiekę kroplę, bo zlekka się, aby łza nie splamiła różowej wstążeczki.

Śpiesznie, z wielką uwagą, mnóstwo kokardek przymocowywała do dziecinnej sukienki, a za przepierzeniem rozległy się teraz odgłosy, w których rozpoznać można było energiczne wytrępywanie z pyłu spódnicy. Szast! szast! szast! fruwała w powietrzu wytrępywana spódnica, a odgłosowi temu wtórowało głośnie mruczenie:

— Śmierć, niedola, zgryzota, nieszczęście! Boże zmiłuj się! Boże zmiłuj się! Boże zmiłuj się ty nad nami!

Przystroiwszy mnóstwem kokardek sukienkę dziecinną, Jadwiga z igłą i niciami pobięła z kolei do wytwornej damy bez głowy, znów u stóp jej przyklekła, i dość głośno, aby za przepierzeniem być słyszana, zawołała:

— Może mama będzie łaskawa samowar nastawić i herbatę zrobić, bo ja czasu nie mam!

Z za przepierzenia doszła ją odpowiedź:

— Zaraz, natychmiast, w ten moment, do usług! Nie krzycz już tylko! Idę, biegnę, leczę! tylko nie krzycz!

Przykre, nerwowe drżenie przebiegło po palcach Jadwigi.

— Ależ moja mamo, ja wcale nie krzyczałam, tylko prosiłam! — odpowiedziała, a do siebie syknęła: — Oj cierpliwości! cierpliwości! cierpliwości!

Za przepierzeniem dało się słyszeć kłapanie po podłodze znoszonych trzewików i przyciszone, ale wyraźne mruczenie:

— A czemuż nie masz krzyżeć! Ty tu pani! Ja z twojej łaski żyję! Czemu nie masz krzyżeć na niegodziwą matkę, którą rodzeni synowie opuścili, a ty jedna nie opuściłaś

i utrzymujesz! Zaraz będzie samowar, i herbata, i ogień w piecu zapalony, i wszystko! Zaraz, natychmiast, w ten moment! Jezus, Marya! Służę, służę!

Przy ostatnim wyrazie drzwi jakieś mocno stuknęły i wszystko umilkło. Jadwiga upi-
nała jeszcze draperye na sukni wytwornej damy, a gdy to skończyła i dzieło rąk swoich
ze wszystkich stron obejrzawszy, nic już w niem do poprawienia nie znalazła, podeszła
ku oknu, cienkie ramiona, jak ktoś zmęczony czy niewyspany, wysoko nad głowę wycią-
gnęła, i z dłońmi na włosach złożonemi nieruchomo stojąc przez chwilę, na rozścielający
się za oknem, śniegiem okryty dziedziniec patrzała.

Dziedziniec to był obszerny, prostokątny, ze wszystkich czterech stron otoczony wy-
sokimi ścianami, których rażącą białoscą przerzynały cztery rzędy równolegle osadzonych
zupełnie jednostajnych okien. W górze, na białawem dziś tle nieba, jaskrawo odbijał dach
z czerwonej blachy, z mnóstwem wyżej i niżej umieszczonych kominów; w dole, nad sa-
mą ziemią, ciemno zarysowywały się pomiędzy oknami drzwi do oddzielnych mieszkań
prowadzące. Bo te cztery wysokie gmachy, tworzące dokoła dużego dziedzińca regu-
larny czworobok, zawierały w sobie tylko małe, tanie, dla ludzi ubogich przeznaczone
mieszkania. Żył w nich rodzin kilkadziesiąt, a osób kilkaset, — samo ubóstwo: drobni
rzemieślnicy, drobni kramarze, gdzieniegdzie też drobni urzędnicy, tanie nauczycielki,
szwaczki, staruszkowie z drobnych emerytur żyjący, mężczyźni i kobiety, chrześciance
i starozakonni, — prawdziwy kociół z przegródkami, z których w każdej gotowały się
cokolwiek odmienne, ale w gruncie podobne do siebie potrawy; grunt ten stanowiły
troski, zgryzoty i ciężka praca, a tylko w jednej przegródce było pół, w drugiej jedna,
w trzeciej zaś parę szczypt drogiej przyprawy wesołości, miłości i nadziei. Pełną garścią
nikt ich tu sobie do życia nie sypał, choćby dlatego, że czasu na to nie było.

Jednak sporo wesołości posiadała ta oto naprzykład młoda, przystojna kobiecina,
w której twarz patrząca przez okno Jadwiga wlepiła chmurne, zmęczone oczy. W zgrab-
nym, wатовanym paltocie (futra tu były rzadkością), w żółtawej, włóczkowej chustce,
zalotnie na czarnych włosach zawiązanej, z koszykiem na ramieniu, wybiegła ze swego
mieszkania, i odwróciwszy się ku komuś niewidzialnemu, głową jakby na pożegnanie ki-
wać zaczęła, przyczem uśmiechała się tak szczerze, że rząd białych zębów z za różowych
warg ukazywała. Ale we drzwiach otwartych ukazał się i na progu stanął: mężczyzna
krępy, silny, muskularny, z ciemnymi włosami, rozczochranemi nad okrągłą, rumianą,
wąsatą twarzą. Stoi na mrozie bez surduta, i ani czuje, że mu plecy tylko kamizelka a ra-
miona rękawy koszuli osłaniają. Ku odchodzącej kobiecie kiwa też głową i uśmiecha się
do niej tak, że aż rząd białych zębów z pod ciemnych wąsów ukazuje.

Jadwiga zna tych ludzi z widzenia, a nawet rozmawiała z nimi nieraz. On jest ślusar-
zem, który od paru lat zaledwie pracuje na własną rękę; ona była służącą, a teraz zarobek
męża zwiększa przez swój, który praniem bielizny zdobywa. Ma nie więcej nad lat dwa-
dzieścia parę, a że jest brunetką, bardzo jej do twarzy w żółtawej chusteczce. Żwawo
i zgrabnie ku bramie pobiegła, ale on ją przywołał jeszcze i sam na jej spotkanie, szeroki-
kim i ciężkim krokiem fizycznie pracujących ludzi postąpił. Parę minut stali na śniegu
i rozmawiali żywo. Potem podali sobie ręce, i widać było, jak ścisnęły się one mocno,
mocno; poczem ona ku bramie odbiegła, lecz raz jeszcze odwróciła się i tak głośno, że
każde jej słowo wyraźnie do Jadwigi doszło, zawołała:

— Michał! Michał! a pilnujże dobrze dziecka!

Mieli jedno dotąd, dwuletnie dziecko, które raz, zeszłej jesieni, Jadwiga przez dzie-
dziniec przechodząc, na ręce wzięła i bawiła się niem przez chwilę, patrząc z uśmiechem
w błękitne, śmiejące się jego oczy.

— Zkąd ten malec wziął takie błękitne oczy, kiedy państwo oboje jesteście bruneci?
— żartobliwie zapytała sąsiadki, która z wysoko zawiniętymi rękawami i rękoma pieni-
cem się od mydlin obok niej stała.

— Broń Boże! Michał nie brunet! Pani nie przypatrzyła się, że u niego włosy „szaten”
a oczy błękitne! — z niejakiem oburzeniem na popełnioną przez nią omyłkę zawołała
ślusarzowa.

Ona z zamyśleniem w oczach powiedziała wtedy:

— Tak zgodnie państwo z sobą żyjecie i tacy zawsze jesteście weseli, że aż miło na
was patrzeć...

Teraz, kiedy żółtawa chusteczka ślusarzowej zniknęła w bramie, Jadwiga spostrzegła ciągnącą się z wolna przez dziedziniec barczystą kobietę w wielkim futrzanym kołnierzu i z dużą, czerwoną twarzą, otoczoną czarnym garniowaniem kaptura. Była to siostra tej, której dziś, przed godziną lub nieco więcej, język pokazała. Z kolei, sunęła ona do kościoła i do miasta, a wkrótce sunąc będzie jeszcze trzecia. Ale teraz, ominął ją szybko i ku bramie podążył młody mężczyzna w zgrabnym, chociaż wytartym futerku, z zapalonym papierosem w palcach, z bladą twarzą i jasnym wąsikiem.

Znała i tego. Urzędnik pocztowy, małą pensję otrzymujący, uczciwy, łagodny i przystojny chłopak, — przed trzema laty, kiedy na tym dziedzińcu zamieszkał, starał się bardzo zabrać z nią bliższą znajomość; przy każdym spotkaniu kłaniał się jej pośpiesznie i z uszanowaniem: przy każdej sposobności oddawał jej drobne sąsiedzkie przysługi, aż pewnego dnia nieśmiało zapytał, czy pozwoli, aby ją kiedykolwiek odwiedził? Pozwoliła, przyszedł, a dla niej odwiedziny te niemiłymi nie były; ale właśnie, aby zadowolenia swego zbyt nie okazać i aby on jej o chęć kokietowania go i łapania nie posądził, taką okazała się sztywną, niezręczną, surową, że prędko odszedł i więcej nie przyszedł już nigdy. Wiedziała nawet, iż przed tym i owym mówił nieraz, że z początku panna Szyszkówna bardzo mu się podobała, ale że przy bliższym poznaniu sympatyę do niej stracił. Od tego czasu kłaniali się sobie tylko zdaleka, — i byłaby nawet zupełnie zapomniała, że niegdyś podobała się mu była i on się jej podobał, gdyby jej tego w domu nie przypominano...

Teraz także, stojąc przy oknie, nie patrzy nawet za znikającym w bramie młodym sąsiadem, ale machinalnie ścigając wzrokiem ciężki lot wrony, unoszącej się nad dziedzińcem, myśli o tem, że musi jeszcze wyprasować te trzy dziecinne sukienki, przejrzeć sześć świeżo uszytych męskich koszul, a potem, wszystko to w zawinięciu ułożywszy, iść z niemi do miasta, właścicielom poodnosić, zapłatę odebrać i na wigilijną wieczernę do domu powrócić. Surowo więc w myśli karki samą siebie za to, że nie wie, czego jak ślup stanęła, i jak gawron gapi się przez okno, nic nie robiąc...

W chwili właśnie, kiedy przestając być „gawronem,” odwróciła się od okna, we drzwiach przepierzenia ukazała się stara kobieta, w jednej ręce szklankę z herbatą, a w drugiej koszyk druciany z chlebem i sucharkami niosąca. Poranny negliż jej składał się z poplamionej spódnicy i podartego kaftana: włosy gęste i czarne, jak posępna chmura opadały jej na ciemne, bardzo pomarszczone czoło; gdy szła, znoszone i źle włożone trzewiki kłapały o podłogę. Zresztą, niewysoka, trochę krępa, nie miała w sobie nic osobliwego, coby ją w szczególności od innych starych kobiet odróżniało: nic oprócz ponurej sprzeczności czarnych włosów z zestarzałą twarzą i oczu wypukłych, wielkich, napełnionych wyrazem tak ogromnego bólu, że niepodobna go było od pierwszego zaraz spojrzenia nie spostrzedz. Przez te oczy, pod gęstymi brwiami i pomarszczonem czołem osadzone, patrzył zawód jakiś, nigdy zapomnieć się nie dający, i żal nieprzeplakany, śpiczasta zaś linia nosa i wklęsłe usta zdradzały gniewliwość i wieczne, zgryźliwe z całego świata niezadowolenie.

Postawiwszy szklankę i koszyk na stole, nie odeszła, ale przed córką stanęła, zaciśniętymi wargami to w prawo, to w lewo szybko poruszała, aż przytłumionym głosem zaczęła:

— A ty nie waż się mówić, że oni w błocie po uszy siedzą! Kara boska! Zginienie wieczne! Trzeba za grosz serca nie mieć, aby tak na rodzonych braci wygadywać! Zkąd ty wiesz, że oni w błocie siedzą? Jezus, Marya! Zkąd ty to wiedzieć możesz? Czy tobie kto powiedział o nich cokolwiek, nagadał, napaplał?... A?

Aż zadrżała od widocznego niepokoju.

Jadwiga, łyżeczkę, którą herbatę do ust niosła, z palców wypuściła, i szeroko otwartymi oczyma patrzyła na mówiącą.

— Ja mówiłam, że oni po uszy w błocie siedzą! Ależ ja tego nie mówiłam wcale!

— Plaga egipska! śmierć, nieszczęście! jakto nie mówiłaś? Jezus, Marya! Mówiłaś przecie, że ty gwiazdy z nieba zdejmujesz, a oni w błocie po uszy siedzą. Nie mówiłaś tego? A? Śmiesz zaprzeczać, że nie mówiłaś!

— Ależ moja mamó! jakże ja mogłam mówić o sobie, że gwiazdy zdejmuję! To było tylko przypuszczenie... tak samo o Władku i Józiu... Cóż ja mogę wiedzieć, gdzie oni siedzą i co robią? Mama wie sama, że nic o nich nie wiem...

— Nie wiesz! — wybuchnęła stara, i choć rozgniewała się jeszcze bardziej, trwoga z oczu jej zniknęła. — Nie wiesz? Nikt przed tobą niczego na nich nie nagadał? Jezus, Marya! To i czemuż językiem mleś? Komedya! zgryzota! zginienie zdrowia i życia! Umyślnie mnie przestraszyłaś! umyślnie! umyślnie! Niech stara matka myśli sobie, że jej synowie w błocie po uszy siedzą! Przecież pięć lat ani *dudu* o nich nie słycać! Niech matka myśli, że zmarnowali się oni, rozłajdaczyli się, przepadli. Ja za to przy niej jestem, ja, córka, pocziwa, dobra, perła, brylant, złoto najczystsze...

— Cierpliwości, cierpliwości, Boże mój, cierpliwości! — załamując ręce, syknęła Jadwiga.

Ale stara syknięcia tego nie słyszała, czy niezwróciła na nie uwagi. Drepcąc dokoła stołu i podnosząc z ziemi skrawki materyi, mówiła i wykrzykiwała dalej:

— Czy ty taka siostra, żebyś do braci zatęskniła? Czy ty taka, żebyś matkę w smutku i niespokojności pocieszyła, utuliła? Jezus, Marya! Ty i kontenta, że pochłubić się możesz przed światem: „Ot, jacy moi bracia, a jaka ja! patrzajcie!...”

Z głośnym brzękiem łyżeczka z palców Jadwigi na ziemię upadła: jednocześnie, ona sama, jak struna, porwała się z krzesła.

— O, Boże mój! — zawołała — za co ja te wszystkie męczarnie znoszę? Co ja mamie złego zrobiłam? Czy to moja wina, że Władek i Józio tak o nas zapomnieli, jakby nas wcale na świecie nie było?...

— Zapomnieli! — krzyknęła stara, — męka! zgryzota! niedola! A zkądże ty wiesz, że zapomnieli? Jezus, Marya! A nuż przypomną sobie jeszcze, napiszą, przyjadą, a?... Co wtedy będzie?... Wstyd będzie siostrzyczce, która tak już napewno tryumfuje i języczkiem miele: „Zapomnieli! zapomnieli!”

— Ja ani tryumfuję, ani językiem o nich miele! Ja sama niemało nagryzłam się i napłakałam przez to, że oni tacy...

— Jacy? jacy? Jezus, Marya! jacyż oni? jacy?

— Ale przez to, że oni tacy, mama mnie zniecierpiała i na mnie gniew swój spędza! Nigdy ja od mamy dobrego słowa nie słyszę! nigdy z sobą jak matka z córką, jak przyjaciółki, nie porozmawiamy. Co tylko zrobię, źle; co powiem, źle, — i wszystkiemu ja winna...

— Jezus, Marya! Skaranie boskie! Ot rozgadała się! Ot rozpuściła języczek! ot jędza!

— Znoszę i znoszę! milczę i milczę! ale czasem już wytrzymać nie mogę! Dziś na przykład, od samiuteńkiego obudzenia się mama dokuczać mi zaczęła, a ja bardzo dobrze wiem dlaczego? Dlatego, że Święta nadchodzą, a jak tylko jakie święta, czy imieniny, czy tam coś takiego nadchodzi, mama zawsze spodziewa się, że Władek i Józio napiszą, odezwą się, powinszują, i kiedy się to nie stanie, na mnie swój gniew i cały żal wylewa...

— Nie stanie się! nie stanie się! Jezus, Marya! A zkądże ty wiesz, że już tak napewno nie stanie się? A jeżeli stanie się, jeżeli napiszą, to co? Wstyd będzie milej siostrzyczce, a?...

— Nie napiszą...

— Otóż napiszą, napiszą, napiszą! Dziś listy od nich będą... Jak wrócisz z miasta, zaraz ci pokażę.. Zyg, zyg, marchewka, zyg, zyg, marchewka! Jezus, Marya!

— Pięć lat już nie pisali i teraz nie napiszą...

— Stul buzię i złego nie przepowiadaj, a kiedy pocieszyć mię nie możesz, to przynajmniej nie gryź! Plaga egipska! śmierć! nieszczęście! zginienie zdrowia i życia!

Chodziły, a raczej krążyły obie po pokoju, same nie wiedząc po co. Z rozbłyślemi oczyma i rozmiotanemi ramionami stawały czasem przed sobą, albo pochylały się i podnosiły z ziemi szmatki materyi. Głosy ich, z których jeden stary był, gruby, ochryply, a drugi, dość przyjemnie zrazu brzmiący, lecz coraz więcej nadbierający tonów cienkich i piskliwych, przepelniały pokój i przez okno wydostawały się na zewnątrz, ku wielkiemu ukontentowaniu trzeciej siostry nabożni, która w wysoko garniowanym kapturze i z książką do nabożeństwa w ręku, z kolei przez dziedziniec przechodząc, kłótnię w mieszkaniu sąsiadek usłyszała i od cichego chichotu dużą, czerwoną twarz do połowy prawie w wielki futrzany kołnierz wtuliła.

Wtem, tuż prawie nad ich głowami, za ścianą ich mieszkania, rozległy się jakieś głośne łaskoty i wybuchnął ogłuszający wrzask kilku, a może i kilkunastu dojrzałych i dziecin-

nych głosów.

— Święci pańscy ratujcie! pożar, czy rozbójniki? — krzyknęła stara, i przez małą sionkę na dziedzińcu wyskoczyła. Ale Jadwiga ani drgnęła, mogło się zdawać, że rozlegających się za ścianą przeraźliwych loskotów, wrzasków, pisków nie słyszała wcale. W gruncie rzeczy, czuła się w tej chwili tak nieszczęśliwą, że ani pożar, ani rozbójnicy, ani żadne klęski tego świata przestraszyłyby jej nie mogły. W tej chwili, gdyby ogromny jaki kamień spadał na nią, nie umknęłaby głowy, przynajmniej świadomie nie uczyniłaby tego. Owszem, niech spada, niech ją zdruzgotuje! niech już wszystkiemu koniec będzie!

— Piekło, nie życie! — stając znowu u okna, syknęła, i zrazu nic nie widzącemi oczyma, lecz potem z budzącą się uwagą patrzeć zaczęła na dwie przez dziedzińcu idące, a teraz właśnie ku jej oknu zbliżające się osoby.

Były to dwie kobiety: jedna starszka niskiego wzrostu, dość otyła, z laską, którą widocznie drogi przed sobą szukała, w ręku; z rumianą twarzą, przy której uderzająco odbijały ciemne, wielkie okulary i wydobywające się z pod czarnego kapelusza srebrzyście siwe włosy; druga wysoka, niemłoda, ale jeszcze bardzo piękna, bardzo zgrabna, coś wyniosłego i surowego w całej postaci mająca. Dość było jednego rzutu oka, aby odgadnąć, że pierwsza z tych kobiet była zupełnie ślepą, a druga prowadziła ją z uwagą i pieczołowitością, które pięknym i dumą napiętowanym jej rysom nadawały wyraz nabożnego prawie skupienia.

Jadwiga wiedziała, kim były te dwie jej sąsiadki. Starsza, to wdowa po obywatelu wiejskim, która przez nieszczęśliwe wypadki jednocześnie prawie straciła męża, wzrok i majątek; druga, jedyna jej córka od lat już kilkunastu lekcjami muzyki i języków ciężko na życie zarabiająca. Miały niegdyś duży majątek i nosiły piękne szlacheckie nazwisko; teraz, ubogie i osamotnione, nie zapomniały jednak kim były i prowadziły życie ściśle od otaczającej je ludności wyosobnione. W zamian dość było trochę tylko na nie popatrzeć, aby poznać, że same dla siebie stanowiły nawzajem świat i szczęście. Rumiana twarz starszki, pomimo ocieniających ją okularów, bardzo była łagodną i wypogodzoną; w twarzy jej córki ślady cierpienia przebytych lub jeszcze przebywanych, zmniejszył wyraz rozrzewnionego skupienia, z jakim strzegła każdego poruszenia istoty, którą ramieniem swym obejmowała i słuchała każdego wychodzącego z ust jej słowa. Tak ścieżką wśród śniegu wydeptaną szły zwolna, ściśle do siebie przytulone, i z cicha nieustannie z sobą rozmawiające. Tak od lat już wielu, dwa razy dziennie przechadzały się po tym dziedzińcu po półgodziny lub dłużej.

Jadwiga często patrzyła na nie przez okno, i zdawało się, że nigdy dosyć napatrzeć się nie może. Było w nich coś, co ją pocieszało, i rzecz dziwna, zarazem martwiło, czy też własne zmartwienie jej przypominało. Zawsze pragnęła zapoznać się bliżej z panną Karoliną, i choć niekiedy spędzić trochę czasu w towarzystwie jej i jej matki. Starła się też o to; pannę Karolinę kilka razy, najuprzejmiej jak tylko umiała, na dziedzińcu rozmową zaczęła; pewnego dnia nawet pośpiesznie podbiegła, aby podnieść z ziemi chustkę, upuszczoną przez jej matkę. Ale ona, bardzo grzeczną, lecz i bardzo chłodnym obejściem się okazała, że bliższej znajomości zabierać z nią nie chce, zarówno zresztą jak z nikim z pomiędzy licznych mieszkańców tego dziedzińca. Nie obraziła się za to, nie przezywała jej, jak to czyniły trzy dewotki, arystokratką i nadętą indyczką, ale nigdy już więcej nie zaczęła Karoliny i gorącą urazę czuła do Pauliny, tej szwaczki, która z kawalerami włóczyła się po ulicach, a którą podejrzewała że ją przed temi paniami obgadała.

Paulina jedna z całego dziedzińca miała do nich wstęp i łaski. Nastęczyła im się sama do szycia sukien, a była taka wesoła, gadatliwa, śmiechulska, umizgalska, że podobać się im musiała. Jadwiga za nic w świecie nie potrafiłaby mizdrzyć się do nikogo, ani też dla niczyjej zabawy, tak jak ta Paulina, chichotać i niestworzone historie wymyślać. Uraza, którą za obgadanie jej przed temi paniami względem towarzyszkki uczuwała, jednym więcej ziarnkiem pieprzu osiadła w jej sercu. Teraz, patrzy ona na nie przyjaznym wzrokiem i widzi, jak panna Karolina, z twarzą nad głową matki pochyloną, mówi do niej o czemś dość długo z uśmiechem, który przywiędłym i surowym jej ustom nadaje wyraz cichego wdzięku. Musiała coś miłego, czy zabawnego powiedzieć, bo starszka śmiać się zaczyna i jedną ręką laskę w śnieg pograżając, drugą pieścizotliwie głaszcze ramię córki. Jest to widok bardzo prosty, drobnostka, jedno nic; a przecież oczy Jadwigi, mające tę wła-

sność, że barwa ich zmienia się stosownie do natury doświadczonych wzruszeń, świecą czystym, turkusowym błękitem, który powoli znika pod szklistą powłoką, aż nakoniec kilka łez stacza się po jej policzkach i spada na szary stanik... Przywiązanie i szanowanie się wzajemne, słodycz obejścia się, zgoda, ufność, — Boże! jakież to w nieszczęściu nawet wielkie, niewysłowione, dla niej prawie niepojęte, szczęście!

Wkrótce jednak żywo od okna odskoczyła, i płótno, na którym prasować miała dziecinne sukienki, śpiesznie na stole rozpostarła. Drugi już raz dnia tego surowo skarciła się w myśli za bezczynne gapienie się przez okno, i przyniósłszy z kuchni żelazko pełne rozpalonych węgli, tak gorliwie prasować zaczęła, jakby nietylko czas stracony wynagrodzić, ale i sumienie swoje uspokoić chciała. Głośnie stuknięcie drzwiami oznajmiło jej powrót matki z dziedzińca.

— A to bachury tej kramarki jedno przez drugie ze wschodów zlatywały, a matka, ojciec, starsze siostry, podnosiły je i w niebogłose wrzeszczeni! Plaga egipska! choroba! złość! nieszczęście! W takim sąsiedztwie żyć, to lepiej nie żyć! Oj, mieszkanie, Jezus, Marya! żeby poczciwi ludzie takiego nie znali! Za te pieniądze można byłoby lepsze mieć, ale czy ty taka, żebyś po mieście pochodziła, popatrziała, postarała się... Co ciebie to obchodzi? Jezus, Marya!

Gderała, sarkała, gniewnie mruczała, a zarazem niespokojne wejrzenie rzucać zaczęła na córkę, której twarz pochyloną, nakształt mgły zasłaniała para, dobywająca się z pod żelazka.

— Czemu herbaty nie pijesz? Jezus, Marya! Czy zagłodzić się postanowiłaś? Śpisz tyle, co zając, jedz jeszcze tyle, co wróbel, zdrowa będziesz! Męka! niedola, nieszczęście! Czemuż nie pijesz herbaty? Ostygła! No, to gorącej przyniosę!

Podreptała do kuchni i wróciła zaraz nietylko ze szklanką świeżo nalanej herbaty, ale także z masielnicą i kawałkiem sera na talerzu.

— Chleba z masłem i sera zjedz! A może mleka chcesz do herbaty? Jezus, Marya! Mam trochę w garnuszku, zaraz przyniosę.

I znowu podreptała po mleko, a gdy po chwili wracając, zobaczyła córkę jeszcze w prasowaniu pogrążoną, wybuchnęła:

— Skaranie boskie! plaga egipska! śmierć! niedola! wieczne zginienie! Nie śpisz i nie jesz! Czy ty nie rozumiesz, co z tego wszystkiego wyniknie? Jezus, Marya! dobrze ty to rozumiesz! Rozumu dosyć masz, o jej! aż nadto, tylko serca braknie, braknie, braknie... Bo gdybyś miała serce, pomyślałabyś sobie: co ze starą matką stanie się, jeżeli ty zachorujesz, albo broń Boże jeszcze i co gorszego...

Kiedy twarz Jadwigi wynurzyła się z mgły dobywającej się z pod żelazka, błędził po niej ostry, ironiczny uśmiech. Chmurna, milcząca, ze smugami żółtości pod delikatną skórą policzków i czoła, wypila herbatę, obejrzała raz jeszcze wykończone roboty, starannie ułożyła je w sporym koszu i ubrała się do wyjścia na miasto.

Niezmiernie skromne to było ubranie, ale wyglądała w niem ona na zupełnie przyzwoitą i wcale ładną panienkę. Z pod czarnego, skromnego kapelusza wychylał się piękny, gładko uczesany warkocz, futerko z najtańszych w świecie kotów, osłaniając zbytnią chudość jej kibici, czyniło ją bardzo zgrabną.

Z koszem napełnionym owiniętymi w białe płótno przedmiotami zbliżyła się do drzwi, lecz stanęła jeszcze i obejrzała się na przepierzenie, za którym słychać było znowu trzepanie starych trzewików.

— Do widzenia mam! a o której godzinie będziemy dziś jeść wieczerzę, abym się nie spóźniła?

— O której? o której? — ozwała się za przepierzeniem odpowiedź — Jezus, Marya! A o której każesz? Ty tu pani...

— Ja nie każę i mnie to wszystko jedno, ale nie chciałabym, żeby mama czekała...

— Jezus, Marya! A dlaczegoż czekać nie mogę? Ty nie możesz! bo ty tu pani i wszystko tu twoje! A ja co? Sługa pokorna, stary grzyb na nic nieprzydatny, próchno, które nie wiezieć po co na tym świecie miejsce...

Więcej Jadwiga już nie słyszała, bo popędliwie drzwi otworzywszy i z głośnym stukiem za sobą je zamknąwszy, na dziedzińcu wybiegła.

Na dziedzińcu, panna Karolina i jej matka ściśle do siebie przytulone i ciągle z sobą rozmawiające, powolutenku przechadzały się jeszcze; z przeciwnej strony przemykał

pod ścianą młodzik jakiś, hulacką piosnkę pogwizdujący, z wywiędłą twarzą, w czapce z gwiazdką, krzywo na głowę włożonej, w rozpiętym paltocie i z zapalonym papierosem w ręku. Był to syn mieszkającego w rogu dziedzińca pokątnego doradcy. Naprzeciw zaś Jadwigi, z bramy, szybko wyszła i prawie biegła para młodych ludzi. Jadwiga chciała bardzo parę tę zdaleka ominąć, ale było to niepodobieństwem: po obu stronach wznosiły się prawdziwe wały śniegu, i tą tylko wydeptaną ścieżką przejść było można. Więc też, mała, fertyczna, wystrojona, z rumianą buzią i zadartym noskiem szwaczka Paulina, obok której szedł młody urzędnik pocztowy, spotkała się z nią oko w oko i, przystanąwszy, zaszczębiotała:

— Oho! panna Jadwiga pełniuteńki kosz roboty odnosi! A u mnie już z miesiąc wcale żadnej nie było!

— Nie wiesz, — odrzuciła Jadwiga i chciała iść dalej, ale Paulinka drogę jej sobą zagradzała.

— Czego mi pani nie wiesz, rzekła, wyszczerzając białe ząbki: — czy tego, że roboty nie mam? Ej, to nic! Za to wesoło sobie po świecie bujam!

Młody urzędnik na śnieg patrzył, jasnego wąsika pokręcał i uśmiechał się. Jadwigę drażnił ten uśmiech; prędko więc odpowiedziała:

— Dobrego tylko końca temu bujaniu życzę!

Paulina zaśmiała się głośno i srebrzyście.

— Już jaki tam będzie koniec, to będzie, ale przynajmniej teraz do cytryny nie jestem podobna!...

Oczy Jadwigi stalowo błysnęły.

— Proszę mi pozwolić przejść! — zawołała, i poruszeniem ręki usuwając z drogi natrętą przeszkodę, dodała: — Wolę być żółtą, jak cytryna, niż brudną, jak ścierka.

I poszła, ale odchodząc, usłyszała za sobą srebrny głosik Pauliny, wymawiający:

— Ot, jędza!

Odpowiedzi młodego urzędnika nie dosłyszała, ale raz jeszcze doszły ją słowa Pauliny:

— A przecież to dawny pański ideał!

Kilkanaście kroków uszedłszy, Jadwiga obejrzała się. Młoda para szła środkiem białego dziedzińca żwawo, wesoło. Oboje nieśli w rękach jakieś paczki i zawiniątka, zapewne przysmaki, rozmawiali z sobą ciągle, w oczy sobie często zaglądali. Były od nich młodość, wesołość, swoboda. Jadwiga patrzyła. Ot jak! Ot jak trzeba żyć, aby dobrze było na świecie! Ta dziewczyna jest leniwą, roztrzepaną, lekkomyślną, a zarazem świeżą, jak róża, wesołą, jak szczygieł, i co najważniejsza, przez wszystkich lubioną. Mężczyźni szczególniej przepadają za nią, i ten także, od kilku już miesięcy jak piesek przy niej biega. Jest on już trzecim czy czwartym jej wielbicielem, ale kto wie, czy nareszcie nie zostanie mężem! Złapie go sobie pewno na męża, i będzie miała dom, rodzinę, szacunek ludzki, przyszłość pewną, wszystko. Teraz zjada przysmaki przez niego kupowane; potem, jeść będzie chleb przez niego zapracowany i dobrze! I zawsze, a przynajmniej bardzo długo nie straci swojej różowej cery, swoich fertycznych ruchów i swojej dziecinnej wesołości!

Jadwiga patrzyła i pomyślała:

— Czy ona nie jest czasem sto razy odemnie rozumniejszą?

Ale tylko zapytała o to siebie, i wyprostowała się, głowę w tył odrzuciła, brwi jej ściągnęły się dumnie, oczy błysnęły. Nie, nie, stanowczo woli być żółtą, jak cytryna, niż brudną, jak ścierka! Kokietować mężczyzn, mizdrzyć się do wszystkich, żyć zawsze czymś kosztem, śmiać się zawsze nie wiedzieć z czego, skakać po świecie, jak wróbel po grzędzie — za nic! Ją od tego wszystkiego spaliłby wstyd, tylko przez samą siebie doświadczany!

Szybko zawróciła się ku bramie, lecz zaledwie kilkanaście kroków uszła, oko w oko spotkała się znowu z dużą czerwoną twarzą, w wysokim garniowaniu kaptura wyrastającą z wielkiego futrzanego kołnierza. Niestety! była to twarz ta sama, której dziś zrana język pokazała. Więc też, czerwieńsza jeszcze niż wprzód, świecące oczy w nią wlepiając, twarz ta wnet przemówiła:

— A! panna Szyszkówna dobrodziejka! Moje uszanowanie pani! moje uszanowanie! A czy to pięknie ludziom język pokazywać?

— Bardzo niepięknie! — nie zatrzymując się, odrzuciła Jadwiga, — ale jeszcze niepiękniej w cudze okna zaglądać!

Poszła i usłyszała za sobą sycząco wymówiony wyraz:

Krótki dzień zimowy zbliżał się do końca, gdy Jadwiga dążyła ku trzeciemu już z domów, w których miała dziś sprawy do załatwienia. W dwóch pierwszych zatrzymano ją długo, ale o to mniejsza: dziś w wigilię świąt nie potrzebuje śpieszyć się do pracy, a nie oczekują też na nią żadne zabawy. Gorszem nad długie zabawienie w tych miejscach było to, że nie otrzymała w nich całej należnej zapłaty. Ta pani, do której należała owa suknia, bogatym szlakiem z paciorek przyozdobiona, była doprawdy nad wiek swój żywą i wesołą. Czterdzieści lat miała pewno, dzieci kilkoro, a szczebiotała, śmiała się i podskakiwała, jak piętnastoletnia panienka. Włożywszy tę oddawna upragnioną i wymarzoną suknię, kręciła się czas jakiś przed zwierciadłem, potem z radością, jak ptak roztrzepotana, rzuciła się Jadwidze na szyję.

— Moja panno Jadwigo, prawdziwa artystka z pani! Ach, panno Jadwigo, jakież pani masz złote rączki!

W oba policzki ją wycalowała, pobiegła do męża, aby jemu tę śliczność pokazać, dzieci zawołała, słowem, ruch w domu powstał, gwałt, klaskanie w ręce, uciecha taka, jakgdyby nagle wszystkie błogosławieństwa niebios i ziemi na dom ten się posypały.

Było to tak zabawne i tak zaraźliwe, że Jadwiga śmiała się też z całego serca, a wdzięczne i pochlebne przyjęcie jej roboty sprawiło jej zadowolenie wielkie. Oprócz zadowolenia jednak, czuła trochę niepokoju, bo znając dom ten od lat kilku, wiedziała, że po tym wesołym początku nastąpić może dość smutny koniec. Jakoż nie omyliła się. Wesoła pani, wzięwszy z ręki jej kartkę papieru z kilku wypisanymi cyframi, posmutniała, i wtedy dopiero na czole jej spoprzedz się dały wypływające z pod filuternych loczków zmarszczki. Posmutniała, lecz grzeczną i serdeczną dla Jadwigi być nie przestała. Owszem, po raz drugi wycalowała ją w oba policzki i gorącemi słowy przeproszać zaczęła, że dziś całej tej kwoty wypłacić nie może, więc oto połowa tylko... ale za dwa tygodnie pewno... pewno...

Przeprosiny i obietnice były zarówno żywe, z głębi serca płynące, Jadwiga zaś za greczności, dobroć, serdeczność pozwoliłaby sobie bez oporu na drugi koniec świata zaprowadzić. Żadnego też niezadowolenia nie okazując, zakłopotaną, ale zawsze uprzejmą panią uprzejmie pożegnała, dzieci, które czepiając się rąk jej i szyi, za śliczną sukienkę mamy dziękowały, ze szczerym śmiechem wycalowała, i poszła. Za dwa tygodnie wróci tam znowu, i może dług odbierze, a jeżeli i nie odbierze, to cóż robić? Nie zginie przez to i państwa tych do sądu nie pociągnie. Dobrzy ludzie! Niech zdrowi bawią się, kiedy im na świecie tak wesoło!

W drugim domu spotkała ją znowu inna historia. Te dziecinne sukienki, które z prawdziwym zamilowaniem i najgorliwszym staraniem wypracowała, wypieściła, wystroiła, okazały się po przymierzeniu niezupełnie dobrze zrobionymi. Osoby, do rodziny tej należące, a wielkiemu aktowi przymierzania asystujące, po całogodzinnej obracaniu trojga dzieci we wszystkie strony, zgodnie uznały, że trzeba tu było koniecznie jedno zwęzić, drugie rozszerzyć, trzecie skrócić, czwarte przydłużyć. W potrzebę tych poprawek Jadwiga ani trochę nie wierzyła, znała się na tem wybornie i wiedziała, że wszystko zupełnie dobrze było zrobione. Rozumiała też przyczynę tych niesłusznych zarzutów i wymagań. Za robotę niezupełnie jeszcze wykonaną całkowitej zapłaty wymagać nie można. Ci państwo, z powodu świąt, tak znaczne wydatki mieć musieli, że na jej opłacenie im nie starczyło. Tak pomyślała, ale nie powiedziała i nie okazała co myśli. Dom ten był jednym z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych w mieście; poróżnienie się z nim naraziłoby ją na stratę znacznej części wziętości i zarobku. Mocno więc zacisnąwszy usta, aby żadne niepotrzebne słowo wyjść z tych nie mogło, ofiarowaną sobie małą zaliczkę przyjęła, i obojętnie pożegnana, z obojętnym ukłonem wyszła.

Teraz także, gdy rozmijając się z mnóstwem ludzi, szła chodnikiem ulicy, brwi miała schmurzone i usta zacisnięte, co na delikatne rysy jej twarzy rzucało wyraz ponury. Nie o tej jednak niesprawiedliwości, której tylko co doświadczyła, myślała; gniew przez nią obudzony był niczem w porównaniu z przykrością, z jaką wejść musiała do trzeciego jeszcze domu.

Ten niemłody, pulchny, rumiany jegomość, któremu przed kilku tygodniami sześć webowych, bardzo wytwornych koszul uszyła była i odniosła, tak wtedy dziwnie z za

swoich okularów jej się przypatrywał, i mówiąc do niej, tak pociesznie usta wydymał, że byłaby śmiechem parsknęła, gdyby się jej jakoś straszno i nieprzyjemnie nie zrobiło. Zdawać się mogło, że oczyma wypić, a ustami wsiąknąć ją w siebie pragnął. Nic niegrzecznego, ani takiego, za co obraziłby się mogła, jej nie powiedział; ale ten szczególny umizg, który na twarzy miał, był dla niej poprostu wstrętnym. Czego on od niej chce może? Zapewne nic, zapewne jest to zwykły jego sposób patrzenia, uśmiechania się i mówienia; jednak ona wolałaby, o! jakżeby wolała wcale do niego nie iść! Cóż, kiedy zarekomendowaną mu jako szwaczka została przez pewną panią, która była dla niej zawsze dobrą i dobrze jej za robotę płaciła! On także wręczył jej wtedy natychmiast umówioną zapłatę, a ta, którą teraz otrzymać ma od niego, stanowi dla niej sumę poważną, po tamtych szczególnie dwóch zawodach, które jej sprawiono, bardzo poważną. Musi więc iść, robotę oddać i zapłatę odebrać; gdyby nie wiedzieć jak nie chciała, musi! Zresztą, nie miała żadnego wyraźnego i rozsądnego powodu nie iść do tego pana. Nie podobał się jej jego sposób patrzenia i mówienia; na myśl o nowym spotkaniu się z nim czuła jakąś niejasną bojaźń. Wielkie rzeczy! Alboż ona ma prawo i możliwość dogadzania swoim sympatyom i antypatyom, lub ulegania jakimś nierozsądnym strachom?

— Co trzeba, to trzeba!

Weszła na wschody ładnej kamienicy i przycisnęła guzik elektrycznego dzwonka; a kiedy drzwi otworzyły się przed nią, przyjazny, prawie wesoły uśmiech twarzy jej przed chwilą ponurą rozpogodził. Że też zupełnie zapomniała była o tym Ignasiu, który tu za lokaja służy, a jest jej dawnym i dobrym znajomym! Syn ubogiej praczki, na tym samym dziedzińcu mieszkającej, wzrósł wśród jego mieszkańców, wszystkim potrosze usługując i przez wszystkich potrosze żywiony i hodowany. Ona też w tem żywieniu i hodowaniu znaczny udział brać musiała, bo na jej widok ten szesnastoletni wyrostek w starej surducinie i wykrzywionych butach, aż zatrzęsł się z radości.

— Panienska! a moja złota panienska! Ot, nie spodziewał się człowiek komu drzwi otworzy! ot siurpryza!

W obie ręce ją całował. Nigdy zapomnieć nie mógł o smacznych porcyach chleba z masłem, któremi go przez lat kilka obdarzała, ani też o tem, że ona to nauczyła go czytać, co mu do osiągnięcia szaczonego jego stanowiska znacznie dopomogło. Z ręką na rękawie jego surduta złożoną, Jadwiga śpiesznie wyrzekła:

— Mój Ignasiu, mój drogi! zrób ty mi łaskę! Ja tu na wschodach zostanę, a ty zanieś ten kosz z moją robotą do pana, i powiedz, aby przez ciebie pieniądze, które mi się należą, przysłał. Kosz mi odnieś i pieniądze przynieś, a ja tu poczekam... Powiedz panu, że czasu nie mam, że bardzo się śpieszę, mój drogi!...

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Ignas z usługomością wielką kosz z ręki jej pochwycił i ku wnętrzu mieszkania się zwrócił.

— Zaraz! w moment! o jej! dlaczegoż nie?

W parę minut powrócił, ale bez kosza.

— Pan prosił, żeby panienska była łaskawa wejść...

— Mówiłeś, że czasu nie mam?

— Mówiłem, ale koniecznie prosi.

Może także cokolwiek do poprawienia w robocie jej znalazł? Cóż? Najmniejszej rozsądnej przyczyny nie ma do odmawiania chwili rozmowy człowiekowi, który zarobku jej dostarcza; jeżeli zresztą zawróci się i odejdzie, jakimże sposobem odbierze należną sobie zapłatę? Wprawdzie jakiś niewytłómaczony strach i wstyd wciąż ją ogarnia, ale jest to dzieciństwo, kaprys, któremu przecież zapanować nad sobą nie pozwoli. Co trzeba, to trzeba!

Prędko w przedpokoju zdjęła kalosze, i z rękoma wsuniętymi w rękawy futerka, sztywne, z brwią namarszczoną, weszła do ładnego kawalerskiego saloniku.

Pośrodku saloniku stał niemłody, niewysoki, pulchny, rumiany, mocno łysy jego-ność, w okularach, z jedną ręką okrytą rękawiczką, którą właśnie zapinał. Zapewne gdzieś na wieczną wigilijną był zaproszony, i już miał z domu wychodzić, bo na stole okrytym pięknym dywanem stał elegancki kapelus, a z eleganckiego też, wyświeżonego jego ubrania bił zapach perfum. Zaledwie Jadwiga próg saloniku przestąpiła, spojrzenie tego wytworzonego pana pobiegło zza okularów, rzecz szczególna! wprost ku jej nogom. Dwa razy przedtem już ją widział, i za każdym razem spostrzegł, że ma drobną i śliczną nóżkę,

że zaś, brzydząc się błotem, gdy chodziła po mieście, wysoko zwykle podnosiła suknię, więc i teraz także ta śliczna nóżka doskonale była widzialną.

— Proszę pani bliżej! Niech pani będzie łaskawa! Ale niechże pani będzie łaskawa, usiądzie, odpocznie!

Do połowy prawie naprzód wygięty, wzrokiem teraz obejmował wysmukłą jej kibić i eleganckim gestem jeden z otaczających stół fotelów ukazywał. Był grzecznym nie do opisanego, aż do pokory prawie; tylko z za okularów świeciły mu dwie iskry, a mięsiste wargi tworzyły przymilony i jakby do pocałunku sposobiący się umizg, który już przedtem na Jadwigę niemiłe wywierał wrażenie. Zupełnie pomimowoli i bezwiednie, powieki spuścić musiała. Ze spuszczonej też powiekami i przytłumionym głosem krótko odpowiedziała:

— Przepraszam, czasu nie mam.

On zbliżył się do niej i w samą twarz jej patrząc, słodko mówić zaczął:

— Ale pocóż tak się śpieszyć? Dlaczego nie posiedzieć, nie odpocząć, nie pogawędzić trochę? Szkoda takich oczekiwań dla wiecznej pracy! Szkoda takich rączek...

— Niech pan będzie łaskaw odda mi moją należność, bo do domu śpieszyć muszę! — przerwała głosem daleko silniejszym i bardziej stanowczym niż wprzód, bo gniew już zbierał w niej zaczął.

— A jakże! a naturalnie! Natychmiast! za chwilę, za chwileczkę! — z nieporównaną galanterią wykrzyknął greczny i woniejący jegomością, przyczem kilku podskokami przeniósł się do przyległego pokoju, z którego mniej niż w minutę powrócił. W ręce ociągniętej glansowaną rękawiczką, niósł parę barwnych papierków, które podał jej z tą samą zawsze grzecznością, a jednocześnie ręką bez rękawiczki jej rękę ujął.

— Widzi pani, jak akuratywny jestem! Ale co mnie za to? Co mnie będzie za to?

— Jakto! Za co? — zawołała, wyrrywając rękę i ze stalowym błyskiem oczu uczyniła poruszenie ku drzwiom.

Ale teraz ręka w rękawiczkę znalazła się tak blisko jej kibici, że przez futro dotknięcie jej uczuła, a ręka bez rękawiczki przyciągnąć ją usiłowała ku tużurkowi, bijącemu wonią perfum, i olśniewającemu białością sztywnemu przodowi koszuli. Prędszej, niż się to da wypowiedzieć, rumiany, tłusty policzek, tuż przy swojej twarzy, a mięsiste, wilgotne wargi przy swoich ustach uczuła.

— A toż co? Jak pan śmiesz! — krzyknęła, i nie powiedziała więcej nic, tylko po pokoju rozległ się suchy trzask, od uderzenia w policzek pochodzący. Ręka, która dźwięk ten wywołała, małą była, ale ogromnym gniewem uniesioną, więc dźwięk był silny, usłyszał go za niezupełnie zamkniętymi drzwiami przedpokoju Ignasz, i tak rozweselonym się uczuł, że aż na ziemi przysiadł, obie ręce do ust przycisnął, i chichocząc z szeroko wytrzeszczonymi oczyma, szeptał:

— A to, to, to! Chi, chi, chi, chi! A to, to, to! Człowiek pęknie chyba od śmiechu! Chi, chi, chi! A to, to, to!

Skromny ten poklask, czynowi Jadwigi udzielony, nie pocieszył jej wcale, nie słyszała go nawet, jak i następnie głosu lokajczyka, który na wschody za nią wybiegłszy, wołał:

— Kosz odniosę! Niech panienska będzie spokojna! Moja złota panienko, jutro odniosę, z pewnością nie zapomnę.

Jak wiatr, jak huragan ze wschodów zleciała i wybiegła na ulicę. Nie było w niej ani jednego najcieńszego muskułu, ani jednego najgrubszego nerwu, któryby nie drżał z gniewu i rozżalenia. Biegła, a z nią razem w uszach jej szumiąc i w piersi kołając, biegł rój czarnych myśli. Jak on śmiał tak jej ubliżyć! Za kogoż ją brał? Kimże była, aby pierwszy lepszy próbował obejmować ją i całować? Dobrze trafił! jak raz ona to do rozrzucania całusów po świecie usposobiona! Gdyby nie była tak ubogą i samotną, nikt nie ośmieliłby się z nią tak postąpić. Gdzież są bracia jej, którzyby powinni od podobnych obelg osłaniać ją i bronić? Dlaczego przed tą, której tylko co doznała, nie osłoniła jej matka? A mogła to uczynić! bo przeczuwając w tym panu coś niedobrego, prosiła przecież wczoraj, aby ją matka w odniesieniu roboty do jego mieszkania wyręczyła. I jakąż otrzymała odpowiedź?

— Naturalnie, że pójdę, pobiegnę, polecę! A jakże! Ty tu pani i masz prawo matce rozkazywać! Nędza! niedola! choroba! śmierć! utrapienie! Jezus, Marya! pobiegnę, polecę!...

Jadwiga dosyć już dokazała, że tej odpowiedzi wysłuchała w milczeniu; lecz naturalnie, aby matka szła do tego pana, o tem już mowy więcej nie było. Poszła sama, i oto, co ją

spotkało!

Sama też wprawdzie obraziła się i pomściła. Doskonale rozumie, że ludzi w twarz bić nie jest rzeczą ładną, ale cóż począć miała? Przytem, takie oburzenie ją zdjęło, że nie wiedziała sama, co czyni. Jednej osobie dziś język pokazała, z drugą na dziedzińcu pokłóciła się, trzecią w twarz uderzyła. Trzy razy też dnia tego nazwano ją jędzą. Ślicznie! Jednak żadnego z tych postępów swoich w najmniejszym stopniu nie żałuje. Nie jest przecie krzywym drzewem, po któremby wszystkie kozy bezpiecznie skakać mogły, ani takim cielęciem, które nawet wtedy, gdy je rzną, nie zabeczy!

Tylko ciężko jej, ach, jak ciężko, jak smutno! Czuje, że dłużej iść nie może. Bardzo wcześniej dziś wstała, od samego rana była wciąż czemś zgryziona i zirytowana, wiele chodziła, teraz jak strzała prędko przebiegła spory kawał drogi; bok i ramiona bolą ją od popychania licznych przechodniów, serce mocno bije, nogi drżą, przez chwilę odpocząć musi.

O róg jakiejś kamienicy ramieniem wsparta staje, i tą samą ręką, którą przed chwilą aktu samoobrony dokonała, lzy z rozognionych policzków ociera. W myśli surowo sama siebie łaje za to, że sił jej zabrakło i że leż powstrzymać nie może. Bałwanem i mazgajem samą siebie w myśli nazywa. Jednocześnie przecież i tłómaczy się przed sobą, że pewno, każdą inną drogą postępując, choćby najciernistszą, nie stawałaby się jak bałwan i nie beczalaby jak mazgaj, gdyby ją w domu cokolwiek miłego oczekiwało, gdyby wiedziała, że wracając z tej ciężkiej wędrówki po mieście, gdy głodna, zziębła, zmartwiona, upokorzona otworzy drzwi tego ubogiego, ciasnego domu swego, głos jakikolwiek przyjaźnie, łagodnie, po ludzku do niej przemówi, ręka czyjokolwiek z serdecznym powitaniem ku niej się wyciągnie. Gdyby chociaż spotykała ją tam cisza i witała chłodna, lecz spokojna samotność. Ale wiedziała dobrze, co ją czeka.

Ot, jak to jednak na świecie bywa! Na pozór, zdaje się, cóż lepszego? Córka po dniu pracy wraca do matki, która na nią w domu oczekuje. Witają się uściskiem, opowiadają sobie co robiły i czego doświadczyły, pocieszają się wzajem, gawędzą, wspólnie odpoczywają. Jakże to błogo, poetycznie, idealnie! Matka! najśłodsze w mowie ludzkiej imię, najbliższa w świecie istota, najpewniejsza i najpobłażliwsza przyjaciółka! Mówią i opisują ludzi, że bywa też inaczej! A choć komu wcale jest inaczej i ktoś nie chce, o! jak nie chce wracać do domu i do matki, jednak na ulicy długo stać nie może, bo zimno dokucza i przechodnie popychają, a co gorsza przypatrywać się mu zaczynają i w twarz zaglądać z ciekawości, co to za bałwan taki stanął i drogę ludziom zagraża wtedy, gdy oni do rodzinnej, świątecznej uczty śpieszą? Więc trzeba iść dalej. Nie można sobie na kaprysy i mazgajenie się pozwalać. Trzeba iść. Co trzeba, to trzeba!

Poszła, powolniej nieco niż wprzódy, a idąc myślała, że jednak matka jej nie była zawsze taką, jak teraz. Zawsze wprawdzie miała charakter gniewliwy i popędliwy, którą to popędliwość ona, Jadwiga, od niej może w dziedzictwie wzięła. Ale dopóki ojciec żył, wszystko szło nieźle. Bracia do szkół, ona na pensję chodziła. Po śmierci ojca zmieniło się wszystko; oni do szkół chodzić przestali, a ona z pensyi przeniosła się do krawieckiej pracowni, aż w ośmnastym roku życia na własną rękę pracować zaczęła. Osiem lat prawie od tej pory upłynęło, a przed sześciu ona z matką tu przyjechała, bo w rodzinnem mieście z igły utrzymać się było nie podobna. Obce tu są, krewnych ani dawnych znajomych nie mają wcale, a odkąd Władysław i Józio pisywać nawet do nich przestali, w domu taka już zrobiła się bieda, taki wieczny kwas zapanował, że czasem i wytrzymać było trudno. Cóż jednak robić? Topić się nie ma ochoty, a beczynnienie lamentować nie może, choćby dlatego, że lamentem niepodobna ani najeść się, ani przyodziać, ani w piecu napalić. Więc trzeba iść naprzód. Co trzeba, to trzeba! Poszła, ale ujrzawszy Ruchlę o róg bramy opartą i jak posąg wśród zmroku stojącą, przystanęła znowu.

— Moja Ruchlo — ozwała się, — czego ty tu stoisz i daremnie marzniesz? Przecież to wigilia Świąt i do tego już wieczór! Któż teraz myśli o chodzeniu do krawców?

Zydówka powoli wzniosła w górę ramiona.

— Już ja tak przywykła, — odpowiedziała.

— Jakże twój mąż ma się teraz?

— A nic; chwala Bogu troszkę lepiej.

— Robotę ma?

— Troszkę ma.

Zdawało się, że Jadwiga coś powiedzieć, o coś zapytać chciała, ale wahała się chwilę. Nakoniec zaczęła.

— Czy pocztylion tu nie przychodził i nam listu nie przyniósł?

Ruchła zwolna odpowiedziała:

— Nie, jego tu nie było. Ja ciągle tu stała, i pewno mówię, że jego tu nie było.

— Naturalnie! — szepnęła do siebie Jadwiga.

Widoczne było, że miała trochę nadziei, i jak tyle już razy, doznała zawodu, bo twarz pomimo woli na dłoń opuściła i zamyśliła się. Nie odchodziła, strasznie jej się nie chciało do domu powracać. Znow Boże Narodzenie nadeszło, a żaden z nich nie odezwał się, nie napisał. Będą się tam w domu działa śliczne rzeczy! Miły wieczór ją oczekuje!

Ruchła schyliła się nieco nad zamyśloną, i zcicha, z przyjazną żartobliwością zapytała:

— A od kogo to panienka takiego miłego listu czeka, że tak często pyta się mnie, czy był pocztylion? Pewno ten pan bardzo miły, kiedy panienka tak listu od niego czeka! Daj Boże! daj Boże panience szczęście, bo panienka jest dobra!

Jakto! była więc na ziemi istota ludzka, która ją dobrą nazywała! Może wrażenie przez nazwę tę wywarło sprawiło, że łagodnie, i nawet poufale odpowiedziała:

— Niema na świecie, moja Ruchlo, takiego pana, od którego bym ja listu czekała. Od braci listów ja i matka czekamy, czekamy i doczekać się nie możemy..

— A gdzie oni są? — zapytała Żydówka.

Wymieniła nazwę rodzinnego miasta.

— Jeden w biurze, a drugi w wojsku służy.

Z nagłem postanowieniem, aby już iść do domu, Żydówce na pożegnanie skinęła głową.

— Dobranoc, Ruchlo! Idźże do domu, bo zmarzniesz tylko i zachorować możesz, a dziś już pewno nic tu nie wystoisz...

— Już ja tak przywykła. Dobranoc panience! Daj Boże szczęście!

Jaka ta Żydówka dziwną, dziwą myśl miała, że ona od jakiegoś miłego pana listu oczekuje! Zdarza się na świecie, i nie rzadko, że dziewczęta od miłych sobie ludzi listy otrzymują; ale jej nie spotkało to nigdy i pewno nie spotka. Nikt na ziemi nie myśli o niej i nie dba o nią! Dla niej są tylko takie amory, jak tego pachnącego jegomości, któremu dziś w twarz dała.

Przy wspomnieniu o tych amarach wzdrygnęła się, i tak prędko znow iść zaczęła, że prawie w mgnieniu oka znalazła się u drzwi własnego mieszkania. Nie zaraz jednak weszła. Z ręką na klamce drzwi, obejrzała się po dziedzińcu. Święto! Okna żydowskich mieszkań słabo, jak zwykle, połyskują od małych lampek, ale u chrześcian wielkie, uroczyste, wesołe święto! Wszędzie, na najwyższym piętrze, niżej i jeszcze niżej, poprzedzielane ciemnawymi żydowskimi oknami, tu dwa, tam trzy, tam cztery okna jaśnieją rześystem światłem. Za nimi widać festony skromnych zapewne, lecz świeżo upranych firanek, przesuwają się sylwetki ożywionych ludzkich postaci i twarzy.

U ślusarza ktoś na harmonijce rżnie zamaszystego obertasa i słychać głośny śmiech kobiecy. U Pauliny rysują się na szybie dwie bardzo ku sobie przybliżone głowy, z których jedna cała w lokach i we wstążkach, a druga z małym wąsikiem i dużą czupryną. Jadwidze zaś zdaje się, że do ucha jej dolatuje szczebiot wesołej szwaczki i sympatycznie brzmiący głos urzędnika pocztowego. Panna Karolina, za jasno oświetlonemi i w wazony przyozdobionemi oknami gra na fortepianie; zapewne przed wigilijną wieczerzą w ten sposób rozrywa ślepą matkę i siebie. Trzy dewotki formalną iluminację u siebie urządziły, a ponieważ mieszkają nisko, więc wybornie widzieć można, jak w białych, świeżutkich czepcach barczyste i ciężkie, ale zwinne, krążą dokoła nakrytego stołu, przy którym siedzi już siwiutki, ładny staruszek, zapewne przyjaciel lub krewny, na świętą wieczerzę zaproszony. Daleko weselej jeszcze dzieje się u pokątnego doradcy, mieszkającego w samym rogu dziedzińca. Tam, jedno okno zajęło całkiem drzewko, z mnóstwem zapalonych świeczek i uwieszonych do jego gałęzi pozłacanych orzechów i cukierków. Dokoła zaś tego drzewka, wyżej i niżej, unosi się prawdziwy deszcz dziecinnych główek. Jest ich ze szczęsioro, śnać pouczały się okna, powłaziły na krzesła i wszystkie śmieją się, z różowemi od szczęścia buziami, z rękoma ku gałęziom rajskiego drzewka wyciągniętymi.

Jakkolwiek Jadwiga wie dobrze, iż pokątny doradca jest bardzo złym człowiekiem, myśli jednak teraz, że dzieci jego podobne są do malowanych na obrazach aniołków, a śmiechy ich głośnie, radosne w jeden chór zlewają się w jej uchu z harmonijką ślusarza i śmiechem jego żony, z fortepianem panny Karoliny i szczebiotem lekkomyślnej szwaczki, z basowym głosem ładnego staruszka, który siedzi u stołu emerytek, z brzękiem talerzy i szklanek rozlegającym się w mieszkaniu szewca Jerzego, który teraz nie stuka już i nie hałasuje popijanemu, ale u samego okna siedząc, poważnie i z zamasytymi gestami, przed kimś we wnętrzu mieszkania znajdującym się peroruje. Wszystko to razem nie tworzy wcale hałasu, tylko łagodny szmer, zda się, uroczystością wielkiego święta przytłumiony, z różnych przegródek tego kotła wyciekający na dziedziniec obszerny, śniegiem usłany, czterema wysokimi ścianami otoczony, a jako dach mający ciemne niebo wieczorne, na które zaczynają występować gwiazdy... Widać i słyhać, że w przegródki tego kotła warzące zwykle pieprz ciężkiej pracy i ocet ubóstwa wpłynęło dziś po kilka kropel oliwy spoczynku i miodu radości.

Przez dwa okna mieszkania Jadwigi, nisko nad ziemią umieszczone, widać także stół do połowy białą serwetą nakryty. Na jednym jego końcu bieleją dwa talerze i paczka opłatków; na drugim stoi rogato wyglądająca maszyna do szycia. W świetle dużej lampy, tej samej, przy której zwykle szyje Jadwiga, wyraźnie zobaczyć można stojące pod ścianami szafy, komody, krzesła i w kąt pokoju wsunięty szkielet ludzki, głowy i ramion tylko pozbawiony. To manekin, który, rozebrany z sukni, wygląda zupełnie jak biały i suchy szkielet. Jasno tu tak samo, jak gdzieindziej, tylko pusto i cicho.

Jadwiga wchodziła właśnie do tej jasno oświetlonej, ale pustej i cichej izby, gdy w drzwiach od przepierzenia, z parą łyżek, nożów i widelców w ręku, ukazała się jej matka. Przez uszanowanie dla święta, zresztą ze starego zwyczaju, ogarnęła się i nieco przystroiliła. Miała na sobie suknię kawowego koloru, z luźnym, lecz zgrabnie ręką jej córki uszytym kaftanem, starannie ugarnirowany biały czepek i świecąca broszkę u płóciennego kołnierza. Trzewiki jej nie klapały o podłogę, czarne włosy dwoma gładkimi pasmami spuszczały się na ciemne, głęboko zbrudzone czoło. W ubraniu tem, zdaleka miała pozór pogodny i przyjemny; zbliżona jednak nie trudno było dostrzedz, że płakała dziś wiele, tak wiele, że łzy wyrwały na jej policzkach dwie chropowate, czerwone brózdki. Oczy jej też były pełne przepaścistszego jeszcze niż przedtem smutku, a zaciśnięte wargi poruszały się nieustannie to w prawo, to w lewo, od czego poruszał się także nos, od płaczu opuchły i zaczerwieniony.

Matka nie powitała wchodzącej córki ani jednym słowem, ani skinieniem głowy; Jadwiga także nie wymówiła żadnego pozdrowienia. Zwyczaj witania się po dłuższej lub krócej trwającym rozłączeniu snąć był oddawna ze stosunku ich wyłączony.

— Cóż tam, pieniądze pooddawali? — odezwała się nakoniec Szyszkowa, kładąc łyżki i noże obok talerzy i na talerze patrząc.

— Nie wszyscy, odpowiedziała Jadwiga; w jednym miejscu oddano mi połowę, w drugim część...

O trzecim zamilczała. Zdejmowała prędko kapelusz i futro; mówiła spokojnie.

— Jezus, Marya! Czemuż nie dopominałaś się? Trzeba było dopominać się, wymagać! Cóż to, Jezus, Marya? Darmo dla nich pracować będziesz? Plaga egipska! Śmierć! Zgryzota! nieszczęście! Oczy wysłepiasz, nie dosypiasz, jak wół pracujesz, a za to nędzę jeść będziesz i matkę nędzą karmić? Ale, czy ty taka, aby umieć za sobą ująć się, przy swoim stanąć, nie dać sobie krzywdy wyrządzić! Nie dali, to i nie dali! Jeszcze im pewno pięknie dygnęłaś za to! Ot, cieleń na niedzielę!

Większej nad przewanie ją cieleciem obelgi dla Jadwigi być nie mogło; więc też ręce jej, starannie składające kapelusz w szufladzie komody, drgnęły; ale zapanowała nad sobą, i tylko drżącym nieco głosem rzekła:

— Zdaje się, moja mamó, że dotąd jeszcze ani ja, ani mama nie potrzebowaliśmy karmić się nędzą.

— Jezus, Marya! Naturalnie, że w bogactwie żyjemy! We wszystko oplywamy! Apartamenta mamy, stroje, przysmaki, bale! Skaranie boże, męka! zgryzota! Przepraszam, że ośmieliłam się zrobić uwagę. Bardzo przepraszam! Ty sama najlepiej wszystko wiesz i umiesz. Jezus, Marya! Rozumu masz dosyć, a jej! aż nadto... byle serca tyle...

Poszła do kuchni, Jadwiga zaś obejrzała się po pokoju. Prawie wcale nie był on dziś wymiatany. Ze środka podłogi tylko zniknęły szmatki różnych materyi, ale pod ścianami białe szlaki pyłu, który też okrywał szafy i komody. Poskoczyła, płóciennym fartuchem od szyi do stóp suknię okryła i, pochwywszy szczotkę, żwawo, starannie rozpoczęła robotę wymiatania i oczyszczania pokoju. W chwili właśnie, gdy nisko schylona szczotką wydobywała z pod sprzętów sporą kupę śmieci, Szyszkowa, z chlebem i solniczką w ręku, znowu we drzwiach przepierzenia stanęła.

— A toż co? A toż na co? Jezus, Marya! zamiotłam dziś przecież mieszkanie, uprzętnęłam, pyły starłam, a ty znowu zamiatasz! Śmierć, utrapienie, nieszczęście, zguba! Po cóż to robisz? I po cóż ty to robisz? No, i dlaczego ty to robisz? Dlaczego? dlaczego?

— Dlatego, moja mamó, że nie lubię brudów w mieszkaniu!

Nie dlatego! Wcale nie dlatego! Jezus, Marya! Nie jestem ja taką idiotką, aby nie rozumieć, dlaczego ty to robisz! Brudów żadnych niema. Sama wymiotłam i sprzątnęłam. Plaga egipska, nędza, utrapienie, wstyd, męka, zginienie zdrowia i życia! ty to dlatego robisz, aby matce pokazać, że ona nic już porządnie zrobić nie umie, że ona już do niczego, że chleb twój darmo zjada, że próchno już z niej tylko, zawalidroga, stary grzyb, daremnie na świecie miejsce zajmujący...

— Ależ moja mamó! — coraz prędzej kupę śmieci ku drzwiom od sieni ciągnąc, zaczęła Jadwiga.

Ale stara głos podniosła:

— Dlatego! Dlatego ty to robisz! Jezus, Marya! Oho! Umiesz ty dobrze dokuczyć! Kiedy tylko chcesz, to i nic nie mówiąc, potrafisz dobrze matce dokuczyć! Czystość lubisz, porządek lubisz, brudów w mieszkaniu nie lubisz. To bardzo pięknie! Jezus, Marya! Każdy o tobie powie: „Jaka porządna panna!“ Bardzo pięknie... tylko oprócz porządku i serca troszkę mieć trzeba, a u ciebie serca mało, mało, mało...

— Mama tak często brak serca mi zarzuca, że doprawdy sama wkrótce czuć je w sobie przestanę, — sarknęła Jadwiga, siedząc na ziemi i śmieci na blaszaną szufłę skrzydłem zmiatając.

— A cóż! — wykrzyknęła Szyszkowa, — może ty masz serce? może masz? Jezus Marya! A gdzie ono? Ot, przyszłaś z miasta i ani nawet zapytałaś się, czy list od braci jest? Co to ciebie obchodzi? Czy ciebie to obchodzi, gdzie oni, jacy oni, co z nimi dzieje się? I owszem! Nie zapytasz się nawet, czy list był od nich? Złość, nieszczęście, zgryzota, męka! Czy spytałaś się o list od braci?

— Nie pytałam się, bo wiedziałam, że go niema...

— Wiedziałaś! wiedziałaś! Tak już na pewno wiedziałaś! Jezus! Marya! A z kądże już taka pewność? Dziś niema, ale jutro być może! Nie tacy już oni niegodziwi, jak ty sobie myślisz. W błocie po po uszy nie siedzą, jak ty o nich językiem bluzgasz! Dziś nie napisali, jutro napiszą. W tym roku nie napisali, na przyszły rok napiszą!

— Daj Boże!

— Daj Boże! jakim ty tonem to „daj Boże!“ Jezus Marya! Ty tak mówisz, jakby kto inny powiedział: „Niech ich dyabli wezmą!“ Złość, choroba, męczarnia! Na kolana tobie upaść, ręce złożyć i z płaczem modlić się, aby Pan Bóg ich serca nam przywrócić raczył. Na kolana padnij! Na kolana...

— Dosyć już ja o to przed Bogiem na kolana padałam i dosyć przez to nocy przeplakałam! Nietylko od szycia mię bolą, ale i od płakania. Gdybym mogła cała roztopić się we łzy i ze świata zniknąć, niech mama będzie pewna, że zrobiłabym to natychmiast, tak mi na świecie dobrze!

— Niedobrze! Niedobrze! Jezus Marya! a któż temu winien, że tobie na świecie niedobrze? Miałaś przecież konkurenta porządnego, przystojnego, młodego człowieka, mogłaś być za męża wyjść, o nic nie dbać, tak jak i inne szczęśliwą być. Ale, czy ty taka, jak inne! Skaranie boskie, nieszczęście! Czy ty tak jak inne potrafisz dobrocią, łagodnością, grzecznością ująć; podobać się? Jezus Marya! Czy ty taka? Nadęłaś się na niego, naindyczyłaś, jednego miłego słowa powiedzieć mu nie chciałaś, i zraziłaś go, zraziłaś... Uciekł! Cho- rągiewkę zwinął i uciekł! Zyg, zyg, marchewka, zyg, zyg marchewka, jaśnie oświeconej pokazał i uciekł!

— A niechaj sobie choć na drugi koniec świata ucieka! Dbam ja o niego tyle, co o śnieg przeszło roczny. Nie pierwszy to już raz mama mi tym utraconym konkurentem oczy wypieka..

— A wypiekam! Jezus Marya, wypiekam! bo o twoje szczęście, o twoją przyszłość troszczę się...

— Dziękuję za taką troskliwość...

W tej chwili rozległ się w powietrzu, za oknami, przeraźliwy i długi gwizd nadlatującego do miasta pociągu kolei żelaznej, ale one go nawet nie usłyszały.

Głosy dwóch kobiet, jeden stary i chrapowaty, drugi dźwięczny, lecz w coraz ostrzejsze tony wpadający, podniosły się, napęliły sobą ściany pokoju i wydobywały się na dziedziniec, gdzie w szmer złożony z dźwięków harmonijki i fortepianu, śmiechów kobiecych i dzieciennych, brzęków szkła i fajansu, wpływały strugą nie oliwy i miodu, lecz żółci i kwasu.

Nakoniec, Jadwiga z szuflą pełną śmieci wyszła do sieni, a gdy wróciła i fartuch z siebie zdejmowała, matka jej wniosła wazkę z dymiącą zupą, i na stole ją postawiwszy, powoli jeden opłatek z leżącej na stole paczki wyjęła, z opłatkiem w palcach do córki podesała. Wargi jej były mocno zaciśnięte, a z oczu łzy jak groch sypały się na policzki. Zapomnieć nie mogła, ach! ani na chwilę zapomnieć nie mogła, że ich, synów jej, tych, których lat tyle namiętnie, bez granic, bałwochwalczo kochała, przy wigilijnym stole nie było, że ona z nimi opłatkiem przelamać się nie może, że oni to czynią gdzieś daleko od niej, z kimś innym, obcym... Rozdzierająca tęsknota, smutek bezdenny, trawiąca zazdrość względem tych niewiadomych, nieznanych, z którymi oni w tej chwili zapewne opłatkiem się łamali, odbierały jej siłę, mowę i prawie przytomność...

Jedną ręką o poręcz krzesła wsparta, bo nogi jej uginały się tak, jakby wnet na klęczki upaść miała, drugą rękę z opłatkiem ku córce wyciągnęła.

— Życzę tobie... Życzę tobie, Jadwisiu... — zaczęła i dokończyć nie mogła. Ręka jej, trzymająca opłatek, trząść się zaczęła jak liść przez wiatr miotany.

Jadwiga popatrzała na nią nieruchomymi oczyma, z których głębi jedna po drugiej wypływały i na rzesach zawieszały się błyszczące w świetle lampy krople. Palcami dotknęła opłatka i zcicha zaczęła.

— Życzę mamie.. życzę kochanej mamie... i dokończyć nie mogła.

Osunęła się na krzesło, twarz obu dłońmi zakrywając.

Szyszkowa także usiadła, i z głową spuszczoną, z rękoma na kolanach splecionymi, ponuro patrzyła w ziemię. Tak obie siedziały przy stole, niedaleko okna, za którym już w tej chwili szmer głosów i dźwięków umilkł. Wszyscy już teraz, za owemi dwoma, trzema, czterema, jak pochodnie wesela wśród ciemności jaśniejącymi oknami, siedzieli przy stołach rodzinnych i świątecznych, tocząc z sobą rodzinne, poufne, niegłośne rozmowy. Na wielkim, śniegiem zasłanym dziedzińcu panowała cisza głęboka i senna, która jest wielkim dziękczynnym głosem, od spracowanych a spoczywających bijącym w niebo. Niebo zaś, nad czworobokiem dachu i nikłymi cieniami kominów ciemną płachtą rozciągniętą, ubrało się w mnóstwo złotych, przyjaźnie i cicho ku uciszanej ziemi migających gwiazd.

Nagle, Szyszkowa i Jadwiga, jak sprężyną podrzucone, na równe nogi się zerwały. W tej wielkiej ciszy, pośród której siedziały ze zwieszonymi głowami, tylko w gorzkie swe myśli zasłuchane, tuż, tuż w ich okna, głośno, hucznie, radośnie, dwa silne męskie głosy zaśpiewały:

«W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu,
Jezusowi Chrystusowi
Dziś nam narodzonemu?...»

Drugi wiersz nie przebrzmiał jeszcze, gdy Szyszkowa z rozmachanemi ramionami ku oknu przypadła. Przez okno wyraźnie widać było prawie do samych szyb przyklejone dwie męskie, wąsate twarze. Rysy ich zacierały się w ciemności i tylko zaiskrzone oczy błyszczały.

— Plaga egipska! śmierć, nieszczęście, wstyd, złość, skaranie boskie, zgryzota! A któż to takie żarty z nas sobie stroić pozwala? Niegrzeczność! impertynencya! Jezus Marya!

Łobuzy jakieś, łotrzyki, uliczniki, awanturniki... próżniaki!...

Za oknem wybuchnął głośny śmiech, dwie twarze z za szyb zniknęły, i słychać było dalszy ciąg piosenki:

«Pastuszkowie przybywajcie,
Jemu wdzięcznie przygrywajcie,
Jako panu naszemu...»

Zarazem dało się słyszeć otwieranie drzwi od sieni i męskie kroki w sieniach.

— Masz tobie! Jezus Marya! Drzwi nie zamknęłaś, Jadwisiu! Klęska, niedola, nie-szczęście! Idą tu, łobuzy...

Nie domówiła ostatniego wyrazu, gdy drzwi od sieni otworzyły się szeroko, i próg przestąpiwszy, stanęli tuż przy drzwiach dwaj wysocy, barczyści młodzieńcy, w krótkich kożuszkach, wysokich butach z czapkami w rękach; stanęli i pełnemi, silnemi głosami huknęli znowu:

«My zaś sami z piosneckami
Za wami pośpieszymy,
A tak tego małego,
Niech wszyscy zobaczymy..»

— Jezus Marya!... Łobuzy... uliczniki... łotrzyki... czy to myślicie z nas facecycie sobie stroić! cudze domy napadać! kobiety straszyć! Jezus Marya! Plaga egipska, choroba...

Ale oni śpiewać przestawszy, i u drzwi ciągle stojąc, gromkimi głosy obaj razem mówić zaczęli:

— Rekomendujemy się i o gościnne przyjęcie prosimy. Ślusarze jesteśmy, kotlarze, druciarze, nożownicy, bronzownicy, wszystko, co się metalu tyczy, to nasze. Zamki i klamki reparaować, rondle łątać, noże ostrzyć, garnki drutować możemy...

Śmiechem parsknęli, a Szyszkowa z rozpostartymi ramiony formalnie rzuciła się na nich.

— Proszę wyjść! proszę natychmiast wyjść sobie! Jezus Marya! plaga egipska! Policji zawołam! Policja! policja! policja!

Jadwiga przeciwnie, stała nieruchoma, a w przybyłych wpatrywała się tak uparcie i z takim zdziwieniem, jakby ich poznawała, lecz oczom swoim wierzyć nie mogła. Oni też, więcej na nią, niż na starą patrzali, filuternie ku niej mrugając i białe zęby w uśmiechach szczerząc.

— Staś! Oleś! — zawołała w końcu Jadwiga.

Oni, jakby tylko tego wykrzyku oczekiwali, ku dwom kobietom poskoczywszy, ręce ich całować zaczęli.

— Co to? jak to? Jezus Marya! Kto to? — domyślając się jakby czegoś, rozpoznając kogoś, ale jeszcze oszołomiona i do siebie przyjść nie mogąca, mówiła Szyszkowa.

— Staś i Oleś, babuniu dobrodziejko! Stanisław i Aleksander Ginejkowie.. Staś i Oleś, te malcy, na których babunia niegdyś łaskawą była, a którzy teraz na takie dęby powyrastali, i przez to miasto przejeżdżając, nie mogli wytrzymać, aby na jeden dzień tutaj się nie zatrzymać, aby babunię i kochaną Jadzię wynaleźć i odwiedzić... Wynaleźli, na Wigilijną wieczerzę przyszli, nastraszyli, rozgniewali, ale teraz bardzo pięknie za swoją swywołę przepraszają, i proszą, aby babunia była łaskawa pomacierzyńsku, podawnemu ich przyjmą, i aby kochana Jadzia także przyjęła ich, jak braci, jak krewnych, którzy zawsze o niej mile wspominali, i teraz przez to miasto przejeżdżając, koniecznie pragnęli zobaczyć ją i podawnemu, pobratersku ją ucałować...

Wszystko to mówili jednym ciągiem, jednogłośnie, prędko. Gdy jeden na sekundę mówić przestawał, drugi zaczynał, a tamten wnet z wtórem mu przybiegał. Gdy jeden opuszczał ręce Szyszkowej, drugi ku nim z pocałunkami przypadał, a tamten do Jadwigi się przyklejał, i znowu na odwrót i znowu! A śmiali się przytem prawdziwie pomłodemu, świeżo, serdecznie. Taka świeżość, serdeczność, wesołość były z grubych i ogorzałych ich twarzy, z żywych ruchów, z młodzieńczych głosów, że zdawać się mogło, iż nagły błysk słońca nappełnił pokój i spłynął na twarze dwóch kobiet.

— Ginejkowie! Staś i Oleś! Jezus Marya! To wy... doprawdy wy?... Przypomnieliście sobie o nas! Ktoś na świecie przypomniał sobie o nas! Śmierć, utrapienie, męka, zgryzota... kochani chłopcy!...

Ramiona Szyszkowej, w rękawach kawowego koloru, objęły szyję Stasia, a ustami, temi ustami, które od tak dawna zaciskały się tylko od gniewu lub słone łzy z oczu ciekące połykały, przylgnęła do jego czoła. Oleś zaś, Jadwigi ręce w swoich trzymając i w oczy jej patrząc, zapytał:

— Czy można podawnemu Jadzię pocałować? Tyle lat nie widzieliśmy się z sobą, to może już nie można?

Przez chwilę, z trochę niepokoju i zawstydzenia, patrzyła w jego siwe, serdecznie na nią patrzące oczy.

— Można — rzekła nakoniec z uśmiechem, i zapłonione czoło do pocałunku mu podała.

III

Wesołość, gwar, rozmowy, wzajemne zapytania, przypomnienia dawnych czasów, słowem blask słońca i świegot ptaków, nagle powstałe w posępnej i głuchej ciemnicy — wszystko to było dobre, piękne, miłe, ale... co będzie z wieczszą, na którą krewnych, jak z nieba spadłych, koniecznie zaprosić trzeba? Gdzie oszczędnie na dwie osoby gotowano, tam cztery nasycić się nie mogą, szczególnie gdy w ich liczbie znajdują się dwaj młodzi, tędzy, przed godziną z wagonu wysiedli chłopcy!

Szyszkową chwilowy dobry humor znowu zupełnie opuścił. Ponuremi oczyma patrzyła na wazkę z trochę ostygłej już zupy, a zaciśnięte jej usta w prawo i lewo poruszać się zaczynały.

Ale przybliżyła się do niej Jadwiga i, korzystając z chwili, w której przybyli zdejmowali i na wieszadłach umieszczali swoje kożuszki, prędko szepnęła:

— Niech mama tymczasem zupę do kuchni odniesie, a ja do miasta pobiegnę. Wszystkiego, co trzeba, w żydowskich sklepach dostanę. Samowar niech mama nastawi.

— Śmierć! męka! nędza! zgryzota! — zamruczała stara, ale pocichu; Jadwiga zaś do komody poskoczyła, i zręcznie, nieznacznie, z szuflady papierek trzyrublowy wzięła. Przez głowę jej przemknęło, że znaczny wydatek poniesie, ale wnet potem przybiegła myśl: „Mniejsza o to! niech choć raz w życiu i mnie wesoło będzie! Pocciwi, kochani chłopcy!” Z papierkiem ściśniętym w dłoń prędko futerko na sobie zapinała i na głowie zawiązywała chusteczkę.

Ginejkowie obaj ku niej poskoczyli.

— Dokąd to? po co? Aha! Wiemy! wiemy. *Z kucyą* (tak w ich stronach nazywała się wigilijna wieczerza) narobiliśmy ambarasu! Ale co prawda, to prawda! Jeść, jak Boga kocham, chce się wściekle...

Aleksander za rękę ją schwycił.

— Nie pozwolę samej jednej iść do miasta... Wieczór ciemny i różni ludzie włóczą się po ulicach..

Jadwiga śmiechem parsknęła.

— Jakis ty śmieszny, Olesiu! Myślisz, że to dla mnie nowina samej jednej o różnych porach dnia i nocy po mieście chodzić?

— To nic! Musisz chodzić, to i chodzisz! Co trzeba to trzeba! Ale kiedy my tu jesteśmy, jak Boga kocham, sama nie pójdziesz.. Staś! ty z babunią zostań i przepaszaj ją, żeśmy takiego ambarasu narobili! Pamiętaj, abyś przez cały ten czas, dopóki nie powrócimy, babunię przepaszaj! A ja z Jadzią pójdę. Sam jeden poszedłbym, ale naprzód nie wiem ani po co, ani dokąd, a potem, jak Boga kocham, we dwoje przyjemniej...

Już byli za drzwiami, i szybkie ich kroki skrzypiały po śniegu na dziedzińcu, a osamotniony nagle Stanisław stał na środku pokoju. Wolałby on o wiele biedz z kuzynką do miasta, niżeli babunię przepaszac, ale z łatwością pogodził się z losem. Babunia z kuchni nie wracała, więc on sam, pocichu, skradającym się krokiem wszedł za przepierzenie i do kuchenki, w której paliła się mała lampa. Zaglądając nieśmiało, pokornym głosem przemówił:

— Oleś do miasta z Jadzią pobiegł, a mnie kazał babunię przepaszac za to, żeśmy ambarasu narobili... Czy można?

Szyszkowa z kuchni odpowiedziała:

— Proszę tu nie wchodzić. Jezus Marya! Tu nieporządek taki! Bieda, męka, wstyd...

— To ja babuniecznie uporządkować pomogę... A może w czym dopomóżdż? wody przynieść? ogień rozpalic? rondle wyszorować? podłogę zamieść? Wszystko potrafię! Jak Boga Kocham, potrafię!

Z temi słowami był już w kuchni, i przedewszystkiem Szyszkową, która suszone śliwki pośpiesznie gotować zaczynała, w pół objął, i nie tylko w ręce, ale w szyję i twarz całował.

— Oleś przepraszać kazał! Przepraszam, babunieczko! za to, że narobiliśmy ambarasu... Przepraszam, babunieczko...

— A puśćże! A dajże mnie pokój! Jezus Marya! trzypiecie ty jakiś, będziesz ty mnie jak swoją równą wycalowywał... garnek ze śliwkami łokciem wywrócisz! Jezus Marya! Złość, utrapienie, choroba, bieda!

Po raz pierwszy od lat wielu pierś jej i wargi nie od gniewu drżały, ale od śmiechu.

— Cóż mam teraz robić, babuniu?

— Drzewa pod maszynkę przyrzucac... bo ogień słaby... Tam, za piecem, narąbane drzewo leży... Jezus, Marya! plaga egipska! Pieca nie widzisz przed sobą, czy co? No, za piecem, nie ponemiecku mówię, że za piecem..

Z wiązką polan w ramionach Staś zza pieca się wy dobył i, przykłęknawszy, ogień żywo rozpalac zaczął.

— Żeby babunia i ponemiecku do mnie mówiła, tobym zrozumiał. Przecież przez trzy lata obaj z Olesiem u majstra Niemca uczyliśmy się ślusarstwa, a potem, pieszo obeszliliśmy całą Kurlandę i dobry kawał Prus. Pfu! a pfu! a pfu!

Na ogień dmuchał, który też istotnie, jakby pod tchnieniem potężnego miecha, rozpalil się w wielkie płomień.

Powstał z klęczek.

— A teraz co robić?

— Jezus, Marya! Zginienie wieczne! Wyjm z szafki talerze i czystą ściereczką powycieraj. Tam ściereczka wisi... ot, tam... na stołku... cóż, nie widzisz? Mówię, że na stołku! Jezus, Marya! to może i pofrancuzku już teraz umiecie? Panicze z was porobiły się? a? Śmierć, klęska, niedola...

Panicz, talerze ściereczką wycierając, odpowiedział:

— *Oui, oui, madame, merci, bon jour! Comment vous portez vous!* Więcej już pofrancuzku nie umiem, ani Oleś. Widzi babunia, ten Niemiec wcale popolsku nie umiał, tośmy u niego ucząc się, a co prawda i wodę mu razem nosząc i drwa rąbiąc, musieli nauczyć się ponemiecku. Ot jak! A po niemieckich krajach chodziliśmy dlatego, że tam rzemiosła kwitną... do różnych fabryk na robotników przystawaliśmy, i wynajmowaliśmy się do różnych majstrów, byle tylko więcej nauczyć się... byle... O Jezus, Marya, Józefie święty! talerz pękł!

Stary i przedtem już nadwierzony talerz, w silnych jego rękach rozłamał się na dwoje.

— Męka! zgryzota! utrapienie! To rzućże te skorupy, a drugi wycieraj! Już sześć wytarłeś! Jezus Marya! jeszcze ze dwa, to i dosyć będzie! A matka wasza żyje? Ojciec za moich czasów jeszcze zmarł, plaga egipska!... z suchot umarł. Kolonijka z wiatrem poszła! Ale matka dobrze jeszcze wyglądała... Cielę na niedzielę z niej było... ale pocziwa... nie ma co mówić! Pocziwa była... Cóż? żyje mama jeszcze? Co ja tobie robić każe? Klęska, choroba, zginienie zdrowia i życia! Samowar nastaw!

— Kiedy ojciec umarł i kolonijka z wiatrem poszła... — a gdzie woda, babuniu?...

— mama przeniosła się do miasta, zamieszkała przy samym rynku, i babom, które na rynek przyjeżdżają, zaczęła szyć czepki, kaftany, różne rzeczy... Niech babunia od pieca odstąpi, to węgli nabiorę!... My już wtedy duże chłopcy byli, ale do szkół chodziliśmy od lat kilku... Oleś trzy klasy skończył, a ja dwie, kiedy z ojcem taka bieda... Aha! babunia to wie, to za babuni czasów jeszcze było. Prawda! zapomniałem! W ostatnich czasach sami już na kolonijce oraliśmy, żęli, kosili i co tam było trzeba... Pchuu! pchuu! pchuu! (w samowar dmuchał)... ale w mieście mama pyta nas: co z was będzie? Spojrzeliśmy po sobie i tak samo jeden drugiego pytamy... Pchuuu! pchuuu! co z nas będzie? Oleś mówi do mamy: „Możeby do rzemiosła?” A mama... Pchuuu! pchuuu! w płacz! „Nietakiej ja przyszłości spodziewałam się po was!” Oleś mówi.. Pchuuu! pchuuu! ot, choć zgiń, nie

chęć węgle rozpalać się! „Byleby, moja mamó, ta przyszłość pocziwą była i bylebyśmy mogli kiedykolwiek przydać się na co mamie, ludziom i samym sobie!” Pchuuu! pchuuu! pchuuu! Mama znów rozplakała się i mnie się pyta „A ty, Stašku?” A ja tak samo, jak Oleś... Pchuuu! pchuuu!

Drzwi od sieni zaskrzypiały, Stanisław od samowara się zerwał.

— Wrócili! jak Boga kocham, już wrócili!

Istotnie wchodzili do mieszkania sprawunkami obładowani. Aleksander przedewszystkiem jeden duży, a drugi mały dzbanek na stole postawił.

— To piwko i śmietana. Jadzia mówiła, że ser jest u babuni... to bułeczki z makiem, i nie wiem co tam jeszcze Jadzia niesie, bo mnie nie tyle sił, ile rąk do niesienia wszystkiego zabrakło.. Nagawędziliśmy się też z Jadzią... jak Boga kocham, usta mi się nie zamykały... Wszystko już jej powiedziałem: co jest, co było i czego się nie spodziewam... jak w kabale!

W malutkiej kuchni zrobił się wielki ścisk. Stanisław na stałego już pomocnika w gotowaniu do Szyszkowej przystał; ale Jadwiga i Aleksander także w tę sprawę się wdali. Jedno tam piwo na ogniu dla zagrzania stawiało, drugie w kosteczki chleb i ser krajało, trzecie przygotowywało śledzie i gotowało w garnku kartofle.

Szyszkowa, śliwek pilnując, wyrzekała, że śmierć, niedola, męka, zgryzota! młodzi do niczego dopuścić jej nie chcą, a to dla pokazania, że jest już ona niedołągą, próchnem, starym grzybem, który daremnie miejsce i t. d! Ale nikt jej bardzo nie słuchał.

Ginejkowie, około kuchni się uwijając, mówili a mówili, Jadwiga zaś, z oczyma jak turkusy błękitnymi i z zamyślnym uśmiechem na ustach, słuchała. Ten błękit w oczach i uśmiech na ustach przyniosła już ona, gdy z Aleksandrem z miasta powróciła, wszystkim, co opowiedział jej, przejęta i wzruszona. Z tak strasznej biedy, że głodu często przymierali, wygrzebali się ci chłopcy i na takich tęgich ludzi powyrastali. Z dzieciennych lat swoich pamiętała dobrze tę wielką ich biedę, a i to, że gdy stary Ginejko chorzeć zaczęła, litowała się zawsze nad nimi i bardzo ich lubiła. Historii wygrzebywania się ich z tej biedy w części już się dowiedziała od Aleksandra. Teraz na wyścigi opowiadali oni różne jej urywki. Ale koniec wieńczy dzieło; koniec zaś ten był taki, że jako biegli rzemieślnicy otrzymali w jakiejś fabryce wyrobów żelaznych i stalowych miejsca podmajstrzych, i do tej fabryki teraz jadą. Droga im wypadła przez miasto, o którym wiedzieli, że babunia i Jadzia tam zamieszkały. Powiedzieli sobie: „Zajedziemy, zobaczymy!” I zajechali na dzień jeden. Jutro tu przebawią, a pojutrze raniutko marsz w drogę, bo według umowy z fabryką zawartej, za dni trzy stanąć tam muszą.

Miejsca podmajstrzych w takich fabrykach są bardzo dobre, rękawy wprawdzie wysoko do pracy zawijać będą musieli i jak Murzyni twarze i ręce uczernić, ale oni do tego przywykli i wcale przed tem strachu nie czują; żyć zaś bez najmniejszego niedostatku będą mieli z czego, i gdy tylko trochę osiedzą się na miejscu, matkę do siebie sprowadzą. Z czasem też pewnie, przy zdolności i pilności, wyższe w fabryce miejsca otrzymają.

— My ciągle o sobie mówimy, a ty, Jadziu, milczysz! Jakże tobie powodzi się z robotą, z zarobkiem, ze wszystkim?

Z nad sera, który krajała, podniosła wzrok na pytającego.

— Bardzo dobrze — odrzekła.

Przed nikim, nawet przed tym krewnym i towarzyszem dzieciństwa swego skarżyć się nie mogła i nie chciała; ale, gdy z podniesioną twarzą stała przed nim, Aleksander głęboko patrzył w jej, trochę chmurne i śmiałe oczy.

— Jak Boga kocham! — zcicha zaczął — jak dawniej byłeś dla mnie miłą i sympatyczną, tak i teraz jesteś... jeszcze więcej!... Taka z ciebie zrobiła się kobieta, taka jakaś...

— Jakaż? — zaśmiała się.

— Samodzielna! — zawołał; a ciszej znowu dodał: — I wyładniała!

— Czy taką brzydką byłam wprzódy? — śmiejąc się ciągle, pytała.

— Nie, nie to! nie byłeś brzydką! ale jakże to powiedzieć?... Staś! popatrz-no na Jadzie! Nieprawdaż, że od czasu, jakżeśmy jej nie widzieli, wyładniała? Ale co jej takiego przybyło? No, przypatrz się, przez co ona tak wyładniała?

Teraz już obaj, porzuciwszy trudy kuchenne, osobę jej formalnemu egzaminowi podawali, a ona coraz prędzej i w coraz nierówniejsze kostki ser i chleb krając, śmiać się

i gniewać próbowała, lecz radość i rozrzewnienie były z rumieńców i blasku jej oczu. Jak to? nią, nią właśnie zajmowano się tak przyjaźnie! jej tak pochlebne słowa mówiono? Działoż się to doprawdy na jawie?

— Już wiem! — zawołał Stanisław: — Jadzia schudła i dlatego wyładniała.

— Pleciesz! — z przekąsem odrzucił brat — nie dlatego, że schudła, ale dlatego, że nabrała wyrazu twarzy...

I ciągle patrząc w nią, poważnie dodał:

— Odrazu z twarzy jej poznać można, że dużo biedowała, pracowała, i że jest dzielną dziewczyną, która z życiem i losem walkę prowadzić umie.

— To prawda! Ty masz zawsze rację, Olesiu. Widać zaraz, że Jadzia nie jest lałą! a jak Boga Kocham, nic na świecie niema dla mnie obrzydliwszego nad lałę, choćby najładniejszą.

— Staś! — krzyknęła Szyszkowa — wyjmiesz ty z garnka kartofle, czy nie wyjmiesz? Złość, choroba, zmarnowanie daru boskiego! Rozgotują się na nic! Jezus, Marya!

A Jadwiga do Aleksandra się zwróciła:

— Nieśże za mną, Olesiu, talerze, a ja poniosę sztucce i szklanki. Nakryjemy do stołu.

Biały i suchy szkielet bez głowy, który dziś zrana był wytworną damą, zdawał się w kącie pokoju wyprostowywać ze zdziwienia nad niebywałymi tu dotąd widokami i odgłosami. Przy stole, zasłanym serwetą z czerwonym szlakiem, a zastawionym piwem grzaniem, kartoflami, śledziami, bułkami z makiem — rozmowy, śmiechy, dzwonienia łyżek i sztucców ani na chwilę nie ustawały. Dwaj bracia byli bardzo do siebie podobni, jednostajny prawie mieli wzrost, jednostajny kolor włosów i oczu, jednostajnie zgrubiałą skórę na twarzach i rękach. Obaj też byli bardzo weseli, i ta tylko pomiędzy nimi zachodziła różnica, że Aleksander, który miał delikatniejsze rysy twarzy, mniej często śmiał się, zamyślał się niekiedy i w mowie używał wyrazów wyższego rzędu. Widocznie, był umysłowo zdolniejszym od brata, co też ten ostatni z całego serca uznawał, często odwoływał się do jego zdania i na każde przezeń wyrażane przystawał. Z prawdziwym młodzieńczym apetytem zajadając wszystko, co było na stole, żywo, obszernie, głośno opowiadali Szyszkowej o wspólnych krewnych i znajomych, o których ona, odkąd strony owe opuściła, nic już nie wiedziała.

W powierzchowności i obejściu się tej starej kobiety, gdy z gośćmi do stołu zasiadła, zaszły wielkie zmiany. Uspokoila się, zlagodniała, i gdy uważnie słuchając tego, co mówiono, z kolei uprzejmym tonem pytania zadawała, znać w niej było kobietę, która niegdyś mogła być całkiem nawet przyzwoitą i przyjemną. Czasem wprawdzie: „śmierć, nieszczęście, choroba, zgryzota” i tym podobne urocze słowa z ust jej się wymykały, ale naprawiał je uprzejmy dźwięk głosu i uśmiech przyjazny. Oczy jej tylko, z ciemną źrenicą i zwiedłą powieką nie traciły ani na chwilę przepaścistego smutku, który, zda się, na wieki w nich zamieszkał. Kilka razy widocznie chciała swych gości o coś bardzo ją obchodzącego zapytać, i już, już pytanie to zaczynała, ale nie dokończyła go ani razu. Możliweby mniemać, że lękała się, albo wstydziła pytanie to zadać.

Wieczera miała się już ku końcowi, gdy Aleksander zawołał:

— Jedna tylko szkoda, że naszej mamy tu niema! Gdyby ona jeszcze tu była, byłoby nam, jak w rajku. Ot cieszyłaby się mama, gdyby babunię widzieć mogła! Nigdy, nigdy, ani ona, ani my nie zapomnieliśmy dobroci, jakiej niegdyś doświadczyliśmy od babuni!

— Jaka dobroć! Jezus! Marya! Jaka tam była dobroć! — zaszamotała się na krześle swoim Szyszkowa.

— Jak to, jaka? Ileż to razy, kiedy dziadunio Szyszko żył jeszcze i był sekretarzem w zarządzie miejskim, a nasz ojciec tak ciężko zachorował i w domu zrobiła się wielka bieda, babunia i doktorowi, który odwiedzał ojca, zapłaciła, i mamie naszej albo nam to i owo sprawiła... Ani mama, ani my nie zapomnieliśmy o tem...

— Klęska! zgryzota! nieszczęście! męka! Jest o czem pamiętać! Jezus Marya! Widać, że nie macie o czem myśleć, kiedy o takich bzdurstwach myślicie...

— To nie bzdurstwa! Kiedy ja i Staś przyjechaliśmy czasem do miasta, babunia nas utulała, głaskała i zawsze cokolwiek dla chorego ojca przez nas posłała...

— Przestańcież już! Jezus Marya! wstyd, zginienie zdrowia i życia! Ot, mają o czem mleć językiem!

Jednak lzy jej do ponurych oczu nabiegały, i z żalosnem, błagającym prawie spojrzeniem zadała nakoniec pytanie, które dawno swym gościom zadać pragnęła, a wstydziła się, czy nie śmiała:

— A widywaliście się tam z Władkiem i z Józiem? a? Jez...

Święte imię, które tak często powtarzała, zadrzęło i urwało się na jej ustach. Po twarzach Ginejków przemknął wyraz zmieszania, lecz Staś odpowiedział zaraz:

— Z Władkiem, od czasu, jak biuro porzucił, nie widywaliśmy się wcale...

— Biuro porzucił! Jezus Marya! Dlaczego on biuro porzucił? — wykrzyknęła Szysz-kowa.

— Jak to! babunia o tem nie wie?

Jadwiga pomiędzy dwoma braćmi siedząca, obu ich za poły surdutów pociągnęła.

— Wiem! ależ naturalnie, że wiem Jezus Marya! żebym ja matka, nie wiedziała o takiej ważnej rzeczy, że on biuro porzucił! Śmierć, niedola, zgryzota, zginienie...

Ostatnie słowa cicho już wyszeptala; wargi i ręce jej trząść się poczęły.

— Cóż on?... — zaczęła, i zacisnąwszy usta, milczała chwilę. — Cóż on?... — zaczęła znowu, i nagle, z uniesieniem dokończyła: — cóż on teraz robi, kiedy biuro porzucił? Śmierć! niedola!

— Pokąt... — zaczynał już Stanisław.

Lecz Aleksander bystro na niego spojrział i prędko przerwał:

— Prawnym doradcą został... interesami zajmuje się, babuniu!

Ze spuszczonej powiekami milczała chwilę, a potem, bardzo cicho znów zapytała:

— A Józio?

— Czyż babunia nie wie?... — wyrwał się znów Stanisław.

Ale Jadzia znowu za połą surduta go pociągnęła, a Aleksander głośno zagadał:

— Babunia przecież wie, że Józio pięć lat już temu ze swoim pułkiem w dalekie bardzo strony wyszedł...

— W dalekie strony!... wyszedł... Jezus Ma... — zabełkotała stara, i wnet wyprostowawszy się, poprawiać się zaczęła.

— Wiem, a naturalnie, że wiem! Męka, nędza, utrapienie, śmierć, zgryzota! Jakże to może być, abym ja, matka, o takiej rzeczy... z pułkiem w dalekie strony wyszedł!... pięć lat temu! Wiem! Jezus Marya! Wiem, wiem, wiem, wiem!...

Długo, ze wrokiem wbitym w ziemię i silnie splecionymi na kolanach rękoma ten jeden wyraz szeptała, aż umilkła, i zaciśnięte jej wargi, pospołu z końcem nosa, to w prawo, to w lewo nieustannie poruszać się zaczęły. Gdyby nie to poruszanie się warg i nosa, które na twarz jej rzucało wyraz zjadliwy i razem rozpaczny, możnaby mniemać, że skamieniała. Nie czuła, jak po skończonej wieczery Jadwiga i Ginejkowie rękę jej całowali; nie widziała, jak wszyscy troje z zebranymi ze stołu sprzętami do kuchni wyszli; nie słyszała wyraźnie jednak z kuchni dochodzącej, a nieustannej ich rozmowy. Czasem, lza jak groch ciężka i gruba z pod spuszczonej powieki, na splecione jej ręce upadła; czasem z warg zaciśniętych wydobywało się mruczenie, w którym dosłyszeć było można: „Śmierć! klęska! wstyd! zgryzota! zginienie zdrowia i życia!” Ale siedziała nieruchoma i nieruchomo sztywnie stał za nią w kącie pokoju biały szkielet bez głowy, który był zrana wytwornie ubraną damą.

Nie poruszyła się też wcale, a szkielet znowu wyprostował się jakby ze zdziwienia, gdy troje młodych ludzi, wróciwszy do pokoju, pod ścianą na trzech krzesłach usiadło w ten sposób, że Jadwiga znajdowała się pomiędzy dwoma rzeźskimi i przystojnymi chłopcami, z których jeden za rękę ją trzymał i często w twarz jej spoglądał. Jakby przez uszanowanie dla tej skamieniałej postaci w kawowej sukni i białym czepku przy stole siedzącej zcicha pomiędzy sobą szeptali:

— Pamiętasz, Jadziu, jakieście parę razy do nas na święta na wieś przyjeżdżali? Maleńki był nasz domek. Na pięćdziesięciu morgach gruntu pałacu mieć mogliśmy. Ale jak nam wesoło było! Ty byłaś jeszcze małą dziewczynką...

— A ileż wy jesteście odemnie starsi?

— Ja dwadzieścia pięć lat skończyłem, a Oleś odemnie o półtora roku starszy...

— Więc tylko o rok od Olesia młodszą jestem...

— Wtedy miałas może lat trzynaście... Obadwaj ojcowie nasi żyli...

— I rady sobie z nami dać nie mogli, takie swawole wyprawialiśmy zawsze, ile razy zebraliśmy się do kupy.

— I ty, Jadziu, byłaś swawolną! Pamiętasz, cośmy w te święta, u nas na wsi, dokazywali?...

— A pamiętasz, ileśmy to umieli piosnek różnych... Czy potrafiłabyś jeszcze choć jedną zaśpiewać?

— Potrafiłabym. Pamiętam wszystkie, choć już od niepamiętnych czasów nie śpiewałam. Ale często, kiedy w nocy sama jedna przy robocie siedzę, na pamięć mi one przychodzą, a wtedy powtarzam je w myśli i o was wspominam..

— Wspominałaś czasem o nas? — patrząc jej w oczy, zapytał Aleksander.

A Stanisław, rozmarzony, zcicha nucić zaczął:

«Anioł pasterzom mówił...»

Aleksander zawtórował głośniej.

Przy trzecim wierszu, z silnemi barytonowemi ich głosami zmieszał się cienki, ale czysty głos Jadwigi.

«Zstąpił Pan chwały wielkiej,

Uniżył się wysoki;

Pałacu kosztownego żadnego

Nie miał zbudowanego.

Pan wszego stworzenia...»

Pieśń coraz głośniej, coraz raźniej przez trzy głosy wyśpiewywana, przepełniła ściany pokoju i przez okna wydobyła się na duży, cichy dziedziniec, gdzie pomiędzy ziemią usłaną śniegiem, a niebem gwiazdami usianem, połączyła się z wychodzącymi z za innych okien takimiż samymi dźwiękami. U ślusarza Michała, u szewca Jerzego i w innym jeszcze miejscu i w innym, tę samą pieśń śpiewano, i tę samą, jakby dla wtóru, grała na fortepianie panna Karolina. Wkrótce z tym śpiewnym, przytłumionym szmerem połączył się poważny i w mroźnym powietrzu donośnie rozlegający się dźwięk dzwonów kościelnych.

— Na Pasterkę dzwonią — zauważył Aleksander, i ku zdziwieniu spostrzegł, że Jadwiga, patrząc w okno, parsknęła śmiechem.

Tuż za oknem widać było futrzany kołnierz, z którego wyrastała wielka twarz, wysokiem garniowaniem kaptura otoczona, i zabrzmiał głos wyraźnie do pokoju dochodzący:

— Moje uszanowanie pannie Jadwidze! A panna Jadwiga z kawalerami mile chwile spędza!

— Spędzam! — ku oknu podbiegając, z żartobliwą wesołością odrzyknęła Jadwiga.

— A na służbę bożą nie pospiesza?

— Jutro pospieszę!

— Dziś trzeba, koniecznie dziś... Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! Niech panna Jadwiga dobrze to sobie pamięta.

— Winszuję pani świąt! — zawołała znowu Jadwiga.

— Na jutro powinszowanie! Teraz czas na służbę bożą spieszyć, nowonarodzone dzieciąteczko witać! Biegnę, lecę, a pannie Jadwidze wesołej zabawy życzę! Moje uszanowanie!

— Dobranoc pani!

Ginejkowie z szeroko otwartemi od zdziwienia oczyma słuchali tej osobliwej rozmowy.

— Co to? kto to? Czego ta pani od ciebie chciała?

Jadwiga opowiedziała wszystko o sąsiadkach i o swoim z niemi stosunku, nie wyłączając językowej katastrofy dzisiejszego poranku. Usprawiedliwiała się, że tylko ostateczne zniecierpliwienie do podobnego postępku doprowadzić ją mogło. Ale oni bynajmniej postępkim tym zgorzzeni nie byli, a żywe opowiadanie o nim Jadwigi doprowadziło ich do takiego śmiechu, że aż za boki się trzymali.

— Szkoda, żeś jej jeszcze w dodatku figi nie pokazała! — zawołał Stanisław.

— Sama już o tem myślałam — śmiejąc się także, odpowiedziała Jadwiga — chociaż w gruncie rzeczy, nic tak bardzo przeciw tym paniom nie mam, a tylko gdy człowiek

jest ciągle zgryziony i zakłopotany, mała rzecz do ostatniej niecierpliwości doprowadzić go może.

Aleksander za rękę ją ujął.

— Więc bywasz często zgryzioną i skłopotaną! A kiedy zapytywałem, jak ci się powodzi? powiedziałaś, że bardzo dobrze!

Podniosła na niego wzrok trochę chmurny, ale uśmiechała się filuternie.

— Czy ty, Olesiu, lubisz te katarynki, co to po ulicach jęklawie skrzypią i lamenta zawodzą?

— Nie lubię. Więc cóż?

— To, że takie katarynki są to przedmioty mojej najgłębszej niechęci, do których za nic w świecie nie chciałabym być podobną. Czy rozumiesz teraz?

Zamyślił się, lecz wnet siwe oczy jego trysnęły blaskiem zadowolenia.

— Rozumiem. Jesteś, moja Jadziu, dzielną i hardą dziewczyną. Ja tak samo. Co trzeba, to trzeba. A jęklawą katarynką być, broń mię Boże. Pysnie we wszystkim oboje zgadzamy się z sobą.

I jakby na przypięcętowanie tego zdania, gorąco rękę jej ucałował.

Stanisław zaś uniesieniem brata zawtórzyl szerokim ziewnięciem i słowami:

— Idźmy spać! — Oleś, jak Boga kocham, idźmy spać! Już ja żadnej kosteczki w sobie nie czuję, takem zmęczony.

IV

Kiedy po przespaniu się w pierwszym lepszym zajezdnym domu, Ginejkowie nazajutrz zrana weszli do mieszkania dwóch kobiet, znaleźli już w niem wszystko na przyjęcie ich przygotowane, a Jadwiga spotkała ich u progu, w czarnej świątecznej sukni, wielce zresztą skromnej, ale w której było jej bardzo do twarzy. Sen świąteczny także, dłuższy i spokojniejszy, spędził z jej powiek czerwone obwódki, a z policzków i czoła stał żółtawe smugi. Powitała krewnych wesołem oznajmieniem, że za godzinę najdalej będą oni jej i jej matce do kościoła towarzyszyli.

— A gdzie babunia? — zapytał Stanisław.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, za zamkniętymi drzwiami przepierzenia dało się słyszeć kłapiące uderzanie jednej o drugą starych podeszew, oraz chrypliwy głos wołający donośnie:

— Jezus, Marya! Boże zmiłuj się nad nami! Kto tam taki po kuchni łązi?

Z kuchni zaś cienki głosik odrzyknął:

— Do nówek upadam! To ja, Ambrożowa! Panienczka dobrodziejka dziś raniuteńko do mnie przybiegła i na cały dzionek mię umówiła. Do miasteczka po sprawunki już biegałam i obiadek teraz gotować zaczynam. Radosny nam dziś dzionek nastał! Pan Jezus Chrystus w żłobku, ubogieńki, maleńki nam się narodził. Świątek wesoleńkich, mileńkich winszuję!

Stanisław do drzwi zamkniętych podszedł, i uchylając je nieco, zapytał:

— Czy można babuni dzień dobry powiedzieć?

— Śmierć! zginienie! choroba! nieszczęście! Niechże choć łachman jaki na siebie zarzuce!

— Ja go zarzucić pomogę!

Zupełnie za przepierzeniem zniknął.

— Dzień dobry, babuniu! Świąt winszuję! Proszę mi dać tę spódnice, bo jak ja trzepnę, to będzie dopiero wytrzepana... trzask, trzask! Już czysta! A teraz kaftan trzepać? Nie trzeba! No to dobrze! Ale garniowanie u czepczka zgniecione! Zaraz odchucham! Chu, chuu, chuuu! Ot jak tiule powstają! już gładziuteńkie! Czy babunia już uczesana? Jeszcze nie! to proszę grzebuszek dać... Niechże babunia pozwoli! A co, czy źle czeszę! Takie śliczne nioby będą z przodu, a z tyłu warkoczyk spłotę... Jaki u babuni jeszcze piękny czarniutki warkoczyk! Ot już i nioby gotowe. Proszę w lusterko spojrzeć, jaka babunia w nich ładna!... Jak Boga kocham, aż pocałować chce się! Nie można! nic nie szkodzi! Ja jednak pocałuję!.. Ot tak! ot tak! podawnemu...

Z tym potokiem słów Stanisława łączył się drugi potok mruczenia, łajania, wymienia wszystkich plag i klęsk tego świata, wychodzący z ust Szyszkowej, a do dwu tych,

nieustannie gadających za przepierzeniem, głosów przyłączył się z kuchenki wychodzący trzeci, piskliwy i głupekowaty:

— Oto mileńki, wesoleńki paniczek! Daj Boże paniczkowi zdrowia, że tak swoją babunię kocha i pieści!... Ot, śmieje się nasza babunia... ot i rozweseliła się biedulka, o wszystkich swoich zmartwieńkach zapomniwała!

Jadwiga i Aleksander uśmiechali się także i zcicha rozmawiali:

— Jaki Staś poczciwy, że mamę tak rozweselił! Od kilku lat nie śmiała się tak, jak teraz. Dziś w nocy obudziłam się parę razy, i zawsze słyszałam, że nie spała i płakała...

Aleksander niecierpliwy gest ręką uczynił.

— Oj, jak Boga kocham, dałbym ja Władkowi i Józiowi w skórę, za takie postępowanie z matką...

Jadwiga żywo mówić zaczęła:

— Dlaczego nie chciałeś jasno i wyraźnie mówić, kiedy cię wczoraj kilka razy o nich zapytywałam? Czy już tak źle jest z nimi? Mamy zapewne złemi wiadomościami gorzej jeszcze gryźć nie trzeba, ale ja powinnam wiedzieć o wszystkim.

Ginejko namyślał się chwilę; wyraz strapienia zasępił jego grube i ogorzałe czoło. Resztę herbaty ze szklanki wychylił, a gdy Jadwiga drugą nalewać zaczęła, szeptem i co chwila na przepierzenie oglądając się, zaczął:

— Nic znowu tak osobliwego... są nawet ludzie, którzy przypisują Władkowi spryt nadzwyczajny i bogactwo mu przepowiadają. Ale ja za taki spryt i za takie bogactwo bardzo dziękuję. Wolalbym ulice zamiatać, niż takim sposobem skarby zbierać.

— Z kilku waszych słów wczorajszych zrozumiałam, że został pokątnym doradcą — szepnęła Jadwiga.

— Najgorszego gatunku — równie cicho odszepnął Ginejko: — ciemnych i biednych ludzi łapie, namawia, oszukuje, po sądach ciąga, ze skóry odziera. Chociaż to brat twój, Jadziu, ale być nie może, abyś nie wiedziała o tem, że od dzieciństwa był on zawsze samolubem i spekulantem. Matka przepadała za nim, wad też żadnych w nim nie widziała; ale dla ciebie, Jadziu, wszystko to chyba nie nowina?

Milcząc i ze spuszczonei oczyma głową skinęła.

— Widzisz! Cóż więc dziwnego, że puścił się na złą drogę?... Więc też obaj ze Stasiem widywać się z nim przestaliśmy. Kiedy ty z matką w świat po zarobek wyjechałaś, on spotkawszy nas, głośno śmieje się i mówi: „Wiesz Oleś? baby mi chwała Bogu z karku zjechały!” Mnie aż ręka zaświerzbiała, aby w twarz go palnąć; alem tego nie zrobił, bo na ulicy bijatykę wszczynać brzydko. Tylko, kiedy on rękę do mnie wyciągnął, ja swoją za plecy schowałam. „Nie, braciszku, powiadam, ręka moja czarna i twarda, ale czysta, a z twojej choć taka biała, garścią błoto zbierać można. Ja tobie już ani brat, ani swat, ani nawet znajomy. Adieu!” Staś słowo w słowo tak, jak ja. Rękę też za plecy założył i mówi. „Biednych ludzi oszukujesz i odzierasz, matkę i siostrę na cztery wiatry puściłeś. Ja tobie tak samo, jak Oleś, ani brat, ani swat, ani znajomy. Adieu!” Pokłoniliśmy się czapkami i poszliśmy w swoją stronę, a on poszedł w swoją. Od tego czasu nigdy nie widzieliśmy się zbliska; ale od ludzi słyszałam, że doskonale mu się powodzi i grosiwo zbiera. Teraz podobno w jakiś łajdacki interes wlaź, z którego mieć będzie, jak to powiadają, wóz albo przewóz. Jeżeli łajdactwa nie odkryją, grube pieniądze zarobi; jeżeli odkryją, w kryminal wlezie i żółtą łatę na plecy może dostanie. Ot jak...

Zarumienione czoło dłonią potarł, i rozgniewanym, zgryzionym wzrokiem w szklankę herbaty się wpatrzył.

— A Józio? — po chwili ciężkiego milczenia spytała Jadwiga.

— Ten, jak wiesz, zawsze od Władka był lepszy, to jest lepsze serce miał, takim chytrym, ani chciwym, jak Władek, nie był. Ale to znowu pustak i próżniak... przytem, chłopiec śliczny, jakby go kto z najpiękniejszego obrazu zdjął. Do wojska poszedł, dlatego, że mu w mundurze do twarzy było. On, kiedy nie musztruje się, to w lustro patrzy, a kiedy w lustro nie patrzy, to z kolegami i dziewczętami hula. Może on nawet i ma dla was trochę serca, ale tyle o sobie samym myśli, że o kimś innym pomyśleć czasu nie ma. Odkąd z pułkiem swoim gdzieś daleko wywędrował, nikt z nas o nim ani słyszał. Jednak, mnie się zdaje, że Józio pewnie kiedykolwiek jeszcze odezwie się do was... pewnie odezwie się... bo co do Władka, to wątpię... chyba jeżeli wzbogaci się bardzo, to może i wam cokolwiek ze swego bogactwa rzuci.

— Tylko, że ja pewnie nie podejmę tego, co on mi rzuci! — wyłkała więcej, niż wymówiła Jadwiga, i wyprostowana, drżąca, z płaczem zapartym w piersi, a głową podniesioną, przemieniła się niby w płomień gniewu i dumy.

Aleksander wziął jedną z jej rąk i zamknął ją całkiem w swoich dwu dużych, muskularnych dłoniach:

— Dobrze, siostrzyczko, tak trzeba! Ja tak samo! Rzuconego nie podejmę za nic, a około brudnego, choćby to był brylant najdroższy, splunąwszy przejdę... Pysznie we wszystkim zgadzamy się z sobą!

— Cicho! Mama idzie! Ani słowa o tem przed mamą!

Ponurą chmurą czarne nioby, ręką Stanisława ułożone, spuszczały się nad głęboko ciemnym i zbrózdżonym czołem Szyszkowej; ale świąteczna suknia barwy kawowej i białe garniowanie czepka nadawały jej znowu pozór czysty i przyzwoity. Mniej posępne niż zwykle jej oczy, bystro przemknąwszy po twarzach Jadwigi i Aleksandra, błysnęły zadowoleniem, lecz zaraz sposepniały znowu, i z gniewem wlepiając je w córkę, zawołała:

— Śmierć! zginienie! nieszczęście! choroba! Czegóż ty znowu zmarszczona siedzisz, jakbyś cytrynę zjadła, albo matkę wczoraj pochowała? Jezus, Marya! Krewni przyjechali, odwiedzili, tacy poczciwi, przyjemni! Poweselałyby, zdaje się, pośmiała się, pogawędziła, jak inne młode panny... Ona, nie! gdzie tam! Czoło zmarszczy, usta nadmie i siedzi, jak ta mumia egipska! Potem zaś, dziw się, że nikt nie przylgnie do niej, nie przywiąże się, nie polubi... Jezus, Marya!

Mówiłaby pewno dłużej, gdyby nie Stanisław, który w pół ją objął i na krześle przed szklanką herbaty posadził.

— Niech babunieczka herbatę pije, bo do kościoła iść pora, a ja przy babuni usiądę, i także herbatę pijąc, opowiem o tych znajomych, o których babunia pytała, kiedy ja na odpowiadanie czasu nie miałem, bo bardzo uważnie zczesywałem nioby...

Jadwiga szybko się odwróciła i zaczęła wydobywać z szuflady ubranie, w którym za chwilę na ulicę wyjść miała; ale w nisko pochyloną twarz jej spojrzwały wkrótce siwe oczy Aleksandra tak współczujące i przyjazne, że poruszeniem niewymownej ulgi rozwarły się jej usta i osiadł na nich ukojony, rozrzewniony uśmiech.

W kwadrans potem, na ramieniu jego wsparta, szła chodnikiem, w skromnym kapelusiku i obcisłym futerku, zgrabna i żwawa. Wesolą też była: Szyszkowa, gdyby patrzyła na nią w tej chwili, nie mogłaby już jej nadętości i ponurości zarzucić. Ale Stanisław poprowadził babkę przodem, a tak szybko, że zdaleka już tylko widać było, jak z przygarbionymi pod futrzanym kołnierzem plecyma i głową w kapturze naprzód podaną, obok zamaszystego chłopca po śniegu dreptała. Jadwiga zaś śmiała się z żartów Olesia, który z zupełną powagą utrzymywał, że Staś i babunia rozkochali się w sobie, i że będzie to romans ciekawy.

— Byleby tylko Staś czegoś niepotrzebnego przed mamą nie wygadał! — nagle zaniepokoiła się Jadwiga.

Zapewnił ją, że Staś wie dobrze, iż całą rzecz o Władku pilnie przed nią ukrywać należy.

— Bo mnie się zdaje, że mama nie przeżyłaby chyba tych wiadomości, — rzekła Jadwiga.

Tu opowiedziała krewnemu, jak w pierwszych latach jej samodzielnej pracy, matka trwożyła się o jej uczciwość. — „Czy akuratnie rachunek spisałaś? Czyś przez roztargnienie nie wzięła więcej, niż się należało? czy nie zapomniałaś jakiego kawałka materii oddać właścicielce” — zapytywała nieustannie. Sama, kiedy trzy grosze komu winna, spokoju nie ma, dopóki nie odda. Często też, w lepszych chwilach, które zresztą trafiają się coraz rzadziej, uczciwość zmarłego męża wspomina. „W pocie czoła pracował, mawia, biednym człowiekiem był, ale jak ła czystym, najmniejszej krzywdy ludzkiej na sumieniu nie mającym”. Niedawno jeszcze, wyrazy te, przed szewcową, która czasem na gawędkę do niej przychodzi, powtórzywszy, dodała: — „Dzieci też po nim i po mnie poszły. Pewno o żadnym z nich nikt nie powie, że cokolwiek niepocziwego popełniło”.

Ze smutnymi uśmiechami Jadwiga i Aleksander spojrzeli na siebie i, głowami wstrząsając, jednomyślnie szepnęli:

— Niechajże w tem złudzeniu jaknajdłużej sobie pozostaje...

Wkrótce jednak rozweselili się znowu. Jadwiga spostrzegła, że spojrzenia niektórych przechodniów z zajęciem zatrzymywały się na jej towarzyszu, a potem ciekawie spływały i na nią. Ten wysoki, przystojny człowiek w zgrabnym kożusku i wysokich butach, z energią i męskim wdziękiem w ruchach i rysach twarzy, zwracał na siebie uwagę ludzi, którzy na wąskim chodniku spotykali się z nim zbliska. Spostrzeżenie to taki wpływ na nią wywarło, że podniosła twarz oblaną wyrazem tryumfu, i wśród tłumu krzyżującego się na chodniku, pilnie znajomych twarzy upatrywać zaczęła.

Jakoż w tej samej prawie chwili wysunęła się z za niej, w tym samym co ona kierunku idąca, gromadka dzieci równego wzrostu, a wnet potem, o ramię jej ocierając się ramieniem, mijala ją owa niemłoda i wesola pani, która wczoraj tak głośno i serdecznie cieszyła się z uszytej przez nią sukni. Mijala, lecz nagle spostrzegła ją i, zwalniając kroku, w oprawie swoich figlarnych loczków i napuszonego piórami kapelusza, rozpromieniła się cała.

— A! dzień dobry pannie Jadwidze, dzień dobry! Jak pani dziś ślicznie wygląda! Czego pani taka wesola? Tę suknię pokazywałam wczoraj dziesięciu osobom, i wszyscy od zachwytu nad nią odejść nie mogli! Ale czemu pani tak wesolo dziś wygląda. Mężowi memu suknia podobała się także, i mówi, że mi w niej bardzo do twarzy...

Tu głos zniżyła:

— Z kimże to panna Jadwiga idzie? Kto jest ten młody człowiek?

Ona wnet z uśmiechem mówić zaczęła:

— Bliski krewny mój, Aleksander Ginejko... wzrastaliśmy prawie razem, ale potem nie widywaliśmy się już przez lat wiele... Wczoraj przyjechał do mojej matki i do mnie z bratem swoim Stanisławem... Bliski krewny mój... Umyślnie przyjechali do nas, aby z nami Święta przepędzić... Tamten mamę do kościoła poprowadził... Bliscy nasi krewni!...

Filuterne oczka wesolej pani bystro i przyjaźnie w jej twarz patrzyły.

— Winszuję, winszuję, święta weselej przejdą!

Pochyliła się do samego prawie jej ucha:

— Ten krewny pani bardzo przystojny!

Jadwiga rumieńcem splonęła, a ona, za dziećmi, które już znacznie się były oddaliły, śpiesznie pogoniła.

Teraz on dopytywać się zaczął, kto była ta pani, która z nią rozmawiała? — a ona, odpowiadając na jego pytania, nie przestawała myśleć o tem, jak to w życiu człowieka jeden dzień do drugiego niepodobnym bywa! Ta sama, zdaje się, co i wczoraj ulica, te same domy, ten sam śnieg, ci sami ludzie, a przecież jej tak inaczej, zupełnie inaczej! Otóż i narożna kamienica, o którą wczoraj oparła się była wśród zmroku, śmiertelnie smutna i zmęczona! Tu stała, płacząc i łając sama siebie za to, że płakać sobie pozwala. Teraz, dziwi się tylko. Jak to! ona płakała wczoraj! Jakże była głupia i niedoświadczoną, aby nie wiedzieć, nie przewidzieć, że po smutku musi nastąpić i radość! Ale naprawdę, czegoż ona tak bardzo się cieszy? I co jeszcze dziwniejsza, to, że z radością tą łączy się także duma.

Poprostu dumną się czuje, i chociaż ciągle z towarzyszem rozmawia, po głowie jej płacze się myśl, że dobrze byłoby, ach! jak dobrze, aby spotkał ją teraz ów wczorajszy miły jegomość. Zobaczylibyśmy, czy śmiałyby jej ubliżyć! O, nie, najpewniej! W ten sposób postępować można tylko z takimi dziewczętami, które zbiedzone, skłopotane, za zarobkiem goniące, samotnie tułają się pośród obcych, ale nie z takimi, które chodzą po świecie z kimś swoim, bliskim, przyjaznym. Niechby zobaczył ją teraz i przekonał się, że i ona także nie jest słomką przez wiatr ze śmietniska porwaną i po cudzych wschodach i kątach noszoną, lecz jak każdy prawie człowiek na świecie ma krewnych, przyjaciół, ludzi sobie bliskich, którzy ją szanują, lubią, a w razie potrzeby obronić potrafią!

Zamiast jednak człowieka, którego tak nienawidziła, a w tej chwili przecież spotkać pragnęła, oko w oko spotkała się z dobrze znajomą sobie parą ludzi: ślusarzem Michałem i młodą jego żoną. Krótco byli w kościele, śpiesznie wracali do domu i dziecka. Ona wysmukła, ładna, z różową od mrozu twarzą, w oprawie żółtawej chustki, przystanąła, i zatrzymując męża, z którym szła pod ramię, zaszczebiotała:

— Dzień dobry pani!... A! Pan Bóg gości na święta zesłał! Słyszeliśmy wczoraj, jak państwo wesoło sobie śpiewali, i aż zdziwiliśmy się, bo w tem mieszkaniu zawsze tak cicho i smutnie, że doprawdy najsmutniej ze wszystkich mieszkań, co są na calutkim dziedzińcu... Aż tu wczoraj i u państwa nastął ruch, gadanie, śpiewanie. Aż polecieć chciałam i dowiedzieć się, co to takiego; ale on (targnęła za łokieć męża) nie puścił. Nie wypada, mówi, niedelikatnie..

— Szkoda, że pani wczoraj do nas nie przyszła, bylibyśmy bardzo radzi. Przyjechali do nas panowie Ginejkowie, bliscy krewni nasi. Umyślnie przyjechali, aby odwiedzić nas i Święta z nami przepędzić. Bliscy nasi krewni. Młodszy Stanisław mamę do kościoła poprowadził; a to jest starszy, Aleksander... bliski krewny mój...

Potem Aleksandra objaśniała:

— A to jest sąsiad nasz, pan Michał, z zawodu ślusarz...

— Ślusarz! — wykrzyknął Ginejko i szybko rękę do czapki podniósł. — Jakże mi przyjemnie kolegę spotkać! Ślusarzem także jestem...

— Ale pewno jakim uczonym, wielkim, — kłaniając się, prawil przysadzisty człowiek; — a ja, panie dobrodzieju, tak sobie... samouczek boży...

— To nic, to nic! Chciałbym, jak Boga kocham, z panem o rzemiośle pogawędzić.

— Do usług panu dobrodziejowi...

— Wpadnę dziś na gawędkę do pana...

— Do usług, do usług! bardzo prosimy!

Kłaniali się sobie, ściskali się za ręce.

Jadwidze nagle myśl do głowy strzeliła.

— To może lepiej państwo będą łaskawi przyjść do nas na godzinkę, na parę godzin. Pan Michał pomówi z moim krewnym o tem, co obu ich obchodzi, my także pogawędzimy...

Z widoczną uciechą propozycję tę przyjęto, a Jadwiga, uszedłszy naprzód kilka kroków, pomyślała: „Co to się stało? Gości do siebie zaprosiłam? Jak to dziwnie, ale zarazem i miło!”

Istotnie, bardzo jest miło posiadać uprzejme i przyjacielskie stosunki z ludźmi, lecz stokroć milej spostrzegać, że ci, którzy nas w samotności i smutku naszym lekceważyli, obrażali, poniekąd nawet krzywdzili, są zdziwionymi i ciekawymi świadkami naszego szczęścia. Spostrzeżenie to uczyniła Jadwiga już w kościele, gdy wśród grania organów, śpiewu księży u ołtarza i uroczystej a gorącej atmosfery, którą wydają z siebie gęsto zbite, rozmodlone tłumy, uklękła obok matki, w jednej z ostatnich kościelnych ławek, i nim nad otwartą księżką do nabożeństwa twarz pochyliła, szybkim spojrzeniem rozejrzała się dokoła.

Mnóstwo tam było ludzi w siermięgach i surdutach, mężczyzn i kobiet, stojących tuż przy sobie, dotykających się wzajem ramionami; ale najbliżej, tuż prawie przy niej, stała szwaczka Paulina, w nowem, modnie skrojonem futerku, z twarzą od mrozu tak zaczerwienioną, że w oprawie złotych loczków była podobną do polnego maku w pszenicy. Z tłumem ją nieco rozdzielał i od zbytniego ścisku bronił wysmukły, świętecznie ubrany urzędnik pocztowy. Szepnęła też coś do niego, gdy tylko Szyszkową i córkę jej spostrzegła, a potem z rękoma wsuniętymi w mocno wyszarżany, ale zalotnemi kokardami upstrzony zarękawek, tak ciekawie i z takim zdziwieniem na Jadwigę i na obu Ginejków patrzyła, że aż rozwarły się drobne jej usta, a z twarzy można było wyraźnie czytać wewnętrzne wykrzykniki: — „A toż co się stało! Szyszkówna z jakimiś kawalerami do kościoła przyszła! W imię Ojca i Syna... Zawsze jak mniszka sama jedna chodzi, a teraz asystentów jakichś sobie wynalazła. I jakich jeszcze! Młodzi, przystojni, tacy jacyś pewni siebie i z wesołemi twarzami. Nie tutejsi przecież, bobym ich choć z widzenia znała. Zkądże ona ich wzięła? Kim są? Ciekawość! Ciekawość!”

I aż z nogi na nogę przestępowała, a towarzysza swego za rękaw od paltota targając, szeptać do niego zaczęła:

— W Imię Ojca i Syna... Szyszkówna z kawalerami chodzi! Asystentów sobie znalazła! Wilk w lesie zdechł, czy co? Nie wiesz, Bolciu, kto to taki?

A Jadwidze paliły się także oczy, ale od zadowolenia. — „Aha! — myślała, — nie ty jedna możesz wesoło bawić się i mieć zawsze obok siebie towarzyszy i przyjaciół! Ja

też nie zawsze sama na świecie bywam, i mam niekiedy przy sobie kogoś, kto mi jest bliskim i bardzo przyjaznym. A chciałabyś wiedzieć, kim są ci ładni i dzielni chłopcy, którzy ze mną przyszli? Poczekaj, sama ci to powiem, gdy się tylko spotkamy. Czemuż nie? Wstydzę się nie mam czego. Powiem: „bliscy krewni moi, bracia, przyjaciele!”

Nagle, ogarnęło ją takie rozrzewnienie, że wszystkie inne uczucia stłumiło. Ksiądz u ołtarza wznosił ku górze ramiona i śpiewał „Gloria!” Twarz jej nisko opadła na dłonie grubymi rękawiczkami okryte, a choć i oczy, i usta miała zamknięte, całą ją napęlił tak namiętny poryw dziękczynienia, że był chyba także modlitwą.

Wtem wydało się jej, że Aleksandra niema już przy niej, że odszedł. Gdy klękała w ławce, stanął był razem z bratem tuż za nią, a teraz, zdało się jej, że go niema. Obejrzała się i oczy ich spotkały się z sobą. Nietylko stał ciągle tam, gdzie wprzódy, ale patrzył na nią zamyślonem i miękkim spojrzeniem. Odtąd nie oglądała się już wcale; z twarzą na dłoni schyloną, długo klęczała nieruchoma i spokojna, cała oblana cichą błogością, która, niby cień drzewa na kwiat wędnący, z obecności jego na nią spływała.

Sama potem nie wiedziała jak jej przeleciała chwila powrotu z kościoła do domu. Pamiętała tylko, że mróz był tęgi, ale niedokuczliwy, śnieg pod nogami skrzypiał, słońce świeciło jasno na bladym błękitnie nieba, i ślicznym, brylantowym szronem okrywało tu i ówdzie między domami stojące drzewa; że wspólnie z towarzyszem zachwycała się pięknnością drzew okrytych szronem, a tłum na ulicach, który był wielkim, nietylko nie dokuczał jak zwykle, ale wspólnie z towarzyszem zauważyła, że, pstry i ruchliwy, w blasku słońca i na białym tle śniegu, roztaczał wcale ciekawy i ożywiony widok. Wtedy dopiero spostrzegła, że wchodzi w bramę domu, do jej mieszkania wiodącą, gdy zobaczyła Ruchlę, która w skurczonej postawie i zabłoconej sukni na wschodkach siedziała, a ujrawszy ją, z brudnej chusty twarz wychyliła i zawołała:

— A! panienka dziś w wesołej kompanii chodzi! Nu, daj Boże zdrowie i szczęście!

— A tak, moja Ruchlo! Krewni nasi... — uprzejmie zaczęła Jadwiga.

Lecz mowę jej przerwał rozlegający się tuż obok srebrny i szczebiotliwy, a od zdyszanego przerywany głosik:

— A ja tak leciałam, tak leciałam za panną Jadwigą, że aż zasapałam się i tchu nie mogłam złapać.. Dzień dobry! Świąt wiesz, wszystkiego dobrego życzę! Niech panna Jadwiga o naszej wczorajszej kłótni zapomni, bo to głupstwo było, i niech mi pani na zgodę rączkę poda...

— Owszem, — odpowiedziała, i chętnie teraz ku wietrznej sąsiadce rękę wyciągnęła.

Ta zaś, z paląciami się oczyma, a rozwianymi przez wiatr loczkami, trzepała dalej:

— Bo widzi pani, wczorajszy wieczór to był dla mnie ważny wieczór.. Jestem już z panem Bolesławem po słowie... Na pasterkę wtenczas dzwonili, kiedy my przyrzekliśmy sobie, że się pobierzemy... Pan Jezus rodził się, a my przyrzekaliśmy sobie... jak raz w tej samej minucie, kiedy Pan Jezus rodził się...

Zgrabny, ale chudy i blady urzędnik, wytrzeszczając nieco błękitne oczy i nadzwyczaj powoli każdy wyraz wymawiając, z kolei zaczął:

— Powiem pani, że tak już dawno sympatyzowaliśmy z panną Pauliną...

— Wiesz pan, państwu... wszystkiego dobrego życzę, — wesoło przerwała Jadwiga.

— Daj Boże, abym i ja pannie Jadwidze jaknajprędzej tego samego wieszowała! Tymczasem chwała Bogu, że pani w milej kompanii święta przebywa...

— A tak. Przyjechali do nas panowie Ginejkowie, krewni nasi. To jest starszy Aleksander, a młodszy Stanisław już mamę do domu odprowadził... bliscy nasi krewni...

Urzędnik, grzecznie czapkę zdejmując, przed Aleksandrem nazwisko swoje wymienił. Paulina zaś szczebiotała dalej i nieustannie, nie wiedząc o czem. Paplanie, zarówno jak ustawiczne fertanie się po świecie i przystrajanie osoby swojej w najbarwniejsze możliwe lachmanki wydawało się nieodbitą koniecznością dla tej czeczotki, która jednak złą być nie musiała. Posiadała też dar jednoczesnego mówienia i słuchania tego, co mówili inni, bo nagle, oczy na Ginejkę podnosząc, zawołała:

— A to panowie z tych samych stron, co i pan Bolesław... Niechże pan Bolesław pyta się o swoje strony... Może i rodzinę pańską panowie Ginejkowie znają... to tak miło kogoś ze swoich stron spotkać. Czemuż pan nie pytasz? No, pytaj pan prędzej...

— Powiem państwu — flegmatycznie zaczął narzeczony, — że na mrozie gadać nie mogę, bo zaraz fluksyi dostanę...

Jadwiga śpiesnie podchwyciła:

— Więc niech państwo będą łaskawi na jaką godzinkę do nas przyjdą, to moi krewni opowiedzą wszystko, co pana Bolesława interesować może...

Znajdowali się już u drzwi mieszkania Jadwigi, a u drzwi mieszkań innych tworzyły się grupy podobne do tej, którą oni składali. Gromadki, odświętnie przyodziane, gwarzyły, tu i ówdzie nawet wybuchały śmiechem. Wszyscy ci ludzie, dłuższym niż zwykle spoczynkiem pokrzepieni, głodni, lecz wiedzący, że czeka ich dziś obfitszy niż zwykle posiłek, wracali z kościoła w towarzystwie znajomych, krewnych, których do siebie zapraszali i od których wzajemnie otrzymywali zaprosiny. Na białym od śniegu dziedzińcu panowało, gwarem wesółych głosów w mroźnym powietrzu brzmiało, zarumienionemi twarzami w blasku słonecznym świeciło, obfitym dymem kominów ku błękitnemu niebu się wzbijało wielkie, uroczyste święto!

Środkiem dziedzińca, po najszerszej z udeptanych wśród śniegu ścieżek, ślepa ex-właścicielka ziemiska, w ciemnych okularach i z laską w drżącej ręce, szła powoli, wsparta na ramieniu niemłodej, lecz jeszcze pięknej córki. Czarno i ubogo, lecz niezmiernie starannie ubrane, ściśle do siebie przybliżone, w nieszczęściu swoim i wielkiem wzajemnem przywiązaniu rozrzewniające, przesuwały się pośród tego mrowiska ludzi z obojętnością istot z innego świata. Czasem, z dużych oczu tej wyniosłej panny, ciężko przecież na byt swój i swej matki zapracowującej, odgadnąć było można wewnętrzne i niepozbyte zdumienie jej nad tem, że znajduje się ona tutaj, pośród tego grubego, gwarliwego tłumu, tu, na tym bruku miejskim. Cierpliwą i szlachetną twarz swoją nad ociemniałą głową matki skłaniając, miała spojrzenie długie i uważne tylko dla niej, lub dla sklepienia niebios, pod którem oczyma duszy widziała może gdzieś, daleko, wśród pól rozległych i cichych, topole włoskie, nakształt wysokich i w pancerze ze szronu zakutych straży, stojące u szerokich, ozdobnych drzwi jej rodzinnego domu.

Wtem, o parę kroków od niskich i ciemnych drzwi szwaczki, z drżącej ręki jej matki wypadła laska, a nim schylić się po nią zdołała, już ją podjął i z grzecznym ukłonem oddawał silny i piękny chłopak, w wysokim obuwiu i kożuszkupowleczonym suknem grubym i taniem. Dziękowała mu uprzejmem, lecz zdala trzymającym skinieniem głowy, gdy z bladych ust jej matki wypłynęło ciche pytanie:

— Któż to był tak greczny i podjął mi laskę?

Zaledwie ociemniała kobieta to wymówiła, o słuch jej obił się głos przyciszony i nieśmiały, który mówił:

— To krewny mój, Aleksander Ginejko, który z bratem przyjechał, aby moją matkę i mnie odwiedzić... bliscy krewni nasi..

Blade czoło ślepej kobiety jaśniało dziwną w niedoli jej pogodą, a pomarszczone usta z niewymowną słodyczą przemówiły znowu:

— Młody i miły głosik słyszę, ale nie wiem czyj....

— Jadwiga Szyszkówna... sąsiadka... na tym samym dziedzińcu...

— A wiem, słyszałam. Pan Ginejko też młody pewno. Za grzeczność i przysługę bardzo dziękuję. Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci!...

Sami nie wiedzieli, jak i kiedy oboje ustami do drobnych i drżących rąk jej przyłgnęli, a kiedy głowy podnieśli, byli oboje od tego wspólnie otrzymanego błogosławieństwa gorąco zarumienieni, i z temi rumieńcami na twarzach wbiegli do sionki, w której ich spotkał wesóły blask kuchennego ogniska i prawie dziecinny, głupowaty szczebiot kręcącej się koło niego kobieciny.

Była to kobiecina nadzwyczaj małego wzrostu, nadzwyczaj chuda, z malutką i bladą, jak krąg opłatka twarzyczką, wśród której świeciły czarne, latające oczka i figlarnie sterczał mały zadarty nos, a która przecież caluteńka: na czole, na policzkach, dokoła oczek latających, zadartego noska i warg wąskich i poślódkłych, okryta była zmarszczkami.

W tym gęstym, prawdziwym lesie zmarszczek większych i mniejszych, promienistych, powikłanych, zdawał się zamieszkiwać i na świat z niego wyzierać lud lilipucich, lecz nieprzeliczonych smutków, kłopotów, utrapień. Pomimo przecież zgromadzenia na swojej maluteńkiej twarzy takiego i w taki sposób zaludnionego lasu, zachowała ona

ruchy tak zwinne, a zarazem pokorne i ciche, iż czyniły ją one uderzająco podobną do myszy. Zarówno gdy mówiła, jak gdy usługując, krzątała się i cichutko biegała, aż biła od niej pokora tak wielka, że patrząc na nią, przysiadzby można, iż przez całe życie ani razu nie miała z czego być dumną, a nieskończenie wiele razy bywała upokorzona.

Cichutko też a prędko, prędko, w swojej krótkiej spódniczce i czarnym tiulowym czepeczku na głowie, do pokoju wbiegłszy, od tego zaczęła, że po mimo oporu, jaki jej stawiano, Szyszkową, Jadwigę i obu Ginejków pocałowała w rękę, a potem zagadała, że kielbaski już smażą się, barszczyk zgotowany, słowem, jeżeli tylko państwo głodni, obiadek zaraz podać można.

Jadwiga, której Aleksander futro zdejmować i kapelusze do szuflady chować pomagał, wesoło jej oznajmiła, że widziała w kościele syna jej, Ignasia, że modlił się pilnie z książką i odświętnie był wystrojony.

Wtedy malutkie, poźółkłe wargi Ambrożowej otwarły się w szerokim uśmiechu, ukazującym dziąsła, prawie zupełnie zębów pozbawione. Radośnie klasnęła rękoma:

— Że też panienczka na tego durnia oczkami swemi patrzała! Niech panienczeczka za to Pan Bóg wynagrodzi — i za to, że panienczka mnie dziś do siebie zawołała! Chi! chi! chi! Smutniennie święta miałabym ja, gdybym u siebie siedziała. Ani zjeść co ludzkiego, ani z kim poweselić się! A tak, chi, chi, chi! zbytku sobie, na cześć i chwałę nowonarodzonego Dzieciątka użyję, i na wesoleńskich, kochanieńskich panów popatrzę, i jeszcze grosiczek zarobię! Niech panienczeczka za to Pan Jezus, na narodzenie swoje, miłunkiego i ślicznieńkiego mężulka ześle!

Gadając tak, chichocząc i ponownie rękę Jadwigi całując, Ambrożowa dziwnie głupowato i pokornie wyglądała; niemniej, Jadwiga przy ostatnich jej słowach, znowu tak samo, jak przy błogosławieństwie ślepej staruszki, od skrajów włosów do brzegu czarnego stanika, w rumieńcu stanęła; Aleksander zaś, nie rumienił się tym razem, tylko wąsa podkręcając, filuternie jakoś z boku na nią patrzył. Ale co było daleko dziwniejszem od uśmiechu, który roziskrzył siwe oczy młodego Ginejki, to, że Szyszkowa uśmiechała się także. Od bardzo dawna po raz pierwszy z uśmiechem patrzyła ona na córkę, a potem ku gościom rozpozgodzony wzrok zwracając, grzecznie, prawie wesoło, z jakimś nawet dygiem niekoniecznie zgrabnym, ale kolistym i uroczystym, do stołu ich zaprosiła.

Kiedy już wszyscy przy stole usiedli, formalnie bawić zaczęła Ginejków. Wcale rozsądnie i spokojnie opowiadała im o mieście, w którym od lat sześciu przemieszkowała, a którego oni nie znali, lub zapytywała o różne obchodzące ich sprawy i rzeczy.

Oni, po zadowoleniu pierwszego głodu, rozgadali się szeroko, a mieli o czym mówić, obaj bowiem, popychani zapewne żywością temperamentów, a może też większą niż bywa u innych ambycją, nie poprzestali na zwykłym wyuczeniu się rzemiosła, ale szukali po świecie sposobów udoskonalenia się w niem i zdobycia sobie wogóle jaknajlepszych narzędzi do budowania przyszłości. Wiele też w tych swoich wędrówkach widzieli i doznali. Tu nauczyli się ślusarstwa, tam kotlarstwa, ówdzie przez lat parę pracowali w fabryce bronzowniczej; wspólnie z góralami, rozwożącymi wyroby druciarskie, wędrowali prawie rok cały, za pomocników i nawet woźniców im służąc, byleby tylko nauczyć się ich przemysłu, a zarazem i spory kawałek kraju ich zwiedzić. Znali też kraj ten, jego potrzeby, biedy i piękności, wcale nieźle i nie mniej może dla niego, niż dla samych siebie, lichymi w rzemiośle swoim partaczami zostać nie chcieli. Jednogłośnie mówili, że małymi sobie ludźmi są i nic wielkiego ani doznać, ani uczynić nie mogą. Ale co robić, to robić, byle dobrze. Przez całe też lat siedem uczniami lub prostymi robotnikami byli; a po naukę, wprawę, biegłość, zarówno jak kawałek chleba — hej! suchy i twardy najczęściej! — udawali się dokąd tylko mogli. Teraz za to, gdziekolwiek do pracy staną, nie powstydzą się jej pewno, i ani darmo chleba jeść, ani po tej ziemi, która go im daje, jak niewdzięczniki lub niedołęgi stapać nie będą.

Ostatnie to zdanie wypowiedział Aleksander, którego mowa miewała czasem błyski oświetlające widnokręgi, od osobistych tylko i powszednich szersze. Wnet też z blyszczącymi oczyma zwracając się do brata, zapytał:

— Prawda, Stasiu?

— A jakże! naturalnie, że prawda! — odpowiedział Stanisław.

— Prawda! — z zapałem powtórzyła Jadwiga.

Tylko Szyszkowa nie powiedziała nic. Od kilku minut, słuchając tych rozlegających się obok niej dwu młodzieńczych, świeżych głosów, patrząc na te dwie młodzieńcze, świeże, pełne zapału, nadziei i odwagi twarze, posmutniała ona znowu, chmurzyła się, coś widać sobie przypominała, coś ją w serce kłóło, aż zgarbiły się jej plecy, czoło zaszło ciężkimi zmarszczkami, wąskie wargi zacięły się i razem z ostrym końcem nosa w obie strony poruszać się zaczęły.

Wkrótce jednak drzwi od sionki uchyliły się cicho i powoli, a przez wąski ich otwór wsunął się do pokoju naprzód kosz dość duży i pusty, potem chłopak szesnastoletni, z długą gapiowatą twarzą, ubrany w czarną, widocznie odświętną odzież, w której bardzo niezgrabnie wyglądał. Wsunął się, z dobrodusznym uśmiechem głową skinął i przy drzwiach stanął. Jadwiga uprzejmie go powitała, a Ginejków objaśniła, że jest to syn Ambrożowej. On białe zęby wyszczerzył, kosz na podłodze postawił, i z wlepionymi ciągle w Jadwigę, takimi zupełnie jak u Ambrożowej czarnymi, świecącymi oczkami, mówić zaczął:

— Kosz odniosłem, który panienka wczoraj zostawiła... chi.. chi... chi!... Żeby panienka wiedziała, jak on ze złości po pokoju latał... chi... chi.. chi!... to człowiek patrząc, mało nie płakał ze śmiechu...

— Złość! nieszczęście! zgryzota! choroba! co on plecie? — zamruczała Szyszkowa.

— Kto to ze złości po pokoju latał? — z niejakim zaciekawieniem zapytał Aleksander, a ciekawość jego wzrosła jeszcze, gdy spostrzegł, że na twarz Jadwigi wytrysnął ognisty rumieniec, z którym porwała się z krzesła, przybyłego za rękę pochwyciła, do stołu go pociągnęła i z gorączkowym prawie pośpiechem mówiła:

— No, usiądź, Ignasiu, i zjedz z nami obiad... bo u matki go dziś nie dostaniesz... Matka twoja u nas... Siadajże! przestańże tak patrzeć na mnie i chichotać! Siadaj i jedz!

Czuć było, że zaczynała już się gniewać; szło jej o to, aby chłopcu jedzeniem usta zamknąć! On, nieśmiały i niezgrabny, wzdragał się i, patrząc na krzesło, które Jadwiga mu wskazywała, gapiowato mówił:

— Może ja pójde do kuchni... do mamy...

— Jezus, Marya! Plaga egipska! siadajże, kiedy ci mówią! — krzyknęła Szyszkowa.

Na ten rozkaz, jakby sprężyna jakaś w nim się ugięła, tak nagle usiadł, lecz z nożem i widelcem zawieszonymi nad talerzem i sporym kawałem smażonej kielbasy, jeszcze swoje czarne świdrujące oczka w Jadwigę wpatrzył i zachichotał.

— Ależ klasnęło! chi... chi... chi!... Człowiek dalibóg myślał, że kto z bata palną!

Ginejkowie parsknęli śmiechem, jakkolwiek starszy z nich wydawał się słowami gapiowatego chłopca trochę zaniepokojonym. Jadwigi brwi marszczyły się i drgały, oczyma usiłowała dawać Ignasiowi stanowcze i gniewne znaki porozumienia. Szyszkowej wargi i koniec nosa od zniecierpliwienia latały.

— Śmierć! męka! niedola! choroba! czy ten chłopiec zwaryował dzisiaj? Co on plecie!

Wtem, w drzwiach od przepierzenia rozległo się głośnie plaśnięcie rękoma i cienki głos Ambrożowej zapiszczał:

— Boże mój Wszechmogący! Najświętsza Panienko różanostocka! Wszak to Ignaś! A co ty tu robisz? Jak ty śmiesz, durniu, z panami do stołu siadać!

Dalszy ciąg jej piskliwej mowy zagłuszył huczny wybuch śmiechu obu Ginejków.

— Z panami! — powtarzali wśród śmiechu, — z nami, to znaczy z panami! cha, cha, cha! A mojaż pani Ambrożowo dobrodziko, co pani wygadujesz! cha, cha, cha, cha! Panowie! z panami! ze śmiechu położyć się można!

Ale na jej małej twarzyczce zmarszczki mąciły się i mieszały z sobą, jak wzburzone, drobniutkie fale wody. Chłopca targała za rękaw i szeptem już, ale głośnym, śpiesznym, mówiła:

— Idź do kuchni, błźnie! słyszysz? idź mi zaraz do kuchni! Mało tobie jeszcze te dobrodziejki twoje, kiedy obdarty chodziłeś, a lokatorom w piecykach paliłeś, chlebka nadawały! Mało tobie te dobrodziejki nauki i wszelkiego dobra do głowy nakładły! Jeszcze będziesz z niemi do jednego stołu siadał! Patrzajcie, jaki śmiały zrobił się! No, wstawajże i idź do kuchni! Czy ty matki nie posłuchasz? Słyszysz?

On, zmieszany i nadąsany, z krzesła niezgrabnie powstawał, broniąc się jednak potrosze:

— Kiedy człowieka zapraszają, to czemuż człowiek nie ma siąść?..

— Złość, zgrzyzota, zginienie zdrowia i życia! — zawołała Szyszkowa. — Ambrożowa! Jezus, Marya! czy dasz ty święty pokój chłopcu?... Niech siedzi i je! Plaga egipska!

Ambrożowa, na wykrzyk ten, aż zatrzęsała się od trwogi, i rękaw synowskiego surduta z palców wypuściwszy, z wytrzeszczonymi oczyma i znieruchomiałymi zmarszczkami tyłem ku drzwiom się cofała. Szyszkowa zaś chmurnie, lecz poważnie mówić zaczęła:

— Cierpieć nie mogę, moja Ambrożowa, kiedy biedni ludzie sobą samymi poniewierają! Jezus, Marya! I cóż to ważnego, że Ignas z nami przy stole siedzi? Czy on złodziej, albo inny jaki zbrodniarz? Zginienie zdrowia i życia! Toż ty, jako matka, najlepiej wiesz o tem, że nic on nigdy nie ukradł i nic złego nie zrobił. A że on biedny... Jezus, Marya! i my biedni. To i cóż? Wstydu to nie robi... Są na świecie nieszczęścia daleko od biedy gorsze!...

Wargi jej zadrżały i ponuro schmurzyły się oczy; w serce uklóło ją znowu nieszczęście, daleko gorsze od biedy.

Lecz Aleksander, szklankę po wypitem piwie ze stukiem na stole stawiając, zawołał:

— Świętą prawdę babunia powiedziała, jak Boga Kocham! W tem cała rzecz, ażeby biedni ludzie sami sobą nie poniewierali! Ani to wstyd, ani nawet nieszczęście żadne biednym być, trzeba tylko i sobie, i ludziom pokazać, że biedny człowiek to jednak człowiek, który rady sobie dać umie i jak niepotrzebna pokrzywa na tym świecie nie wyrasta. Że się tam trochę głodu lub chłodu, lub zbytcej fatygi doświadczy, — głupstwo! Ale swojemi tylko dwiema rękoma w lesie tego życia drogę sobie wyrąbać, — to radość! A biednym będąc, pokazać sobie i ludziom, że się coś umie i znaczy, i robi, — wielka do tego ochota bierze! Takie jest moje zdanie, jak Boga Kocham! Głowy w górę, ręce do roboty i śmiało ludziom w oczy patrzeć! Prawda Stasiu?

— Prawda, jak Boga Kocham, prawda! Ty Olesiu zawsze masz rację! — z zapalem potwierdził Stanisław.

A Szyszkowa, znowu uspokojona i nawet zadowolona, mówić zaczęła:

— Masz rację, Olesiu, Jezus, Marya, masz rację! My, z nieboszczykiem moim mężem, nigdy bogaci nie byliśmy. Ja z niebogatego domu pochodziłam, i on także. Za młodu, doświadczyliśmy nieraz i ciężkiej biedy, potem lepiej trochę było, ale zawsze, Jezus, Marya, nie opływaliśmy w zbytkach. On pracował ciężko całymi dniami, często i nocami, a za to pensję niewielką brał, ledwie było o czem z dziećmi przeżyć. Ale uczciwy był człowiek, jak ła czysty, samego siebie szanował i ludzie go szanowali...

Umilkła na chwilę, z rękoma skrzyżowanymi u piersi i oczyma wpatrzonymi w przestrzeń, zwolna pochylała się to w tył, to naprzód, jakby ją wywoływane wspomnienia kołysały. Po chwili zaś znieruchomiała, oczyma chmurnymi, lecz w których teraz dumne jakieś światelka błyskały, po obecnych powiodła, i dodała:

— Dzieci też po nim i po mnie poszły; pewno o żadnym z nich nikt nie powie, że cokolwiek niepocziwego popełniło!

Aleksander nagle twarz nisko nad talerzem pochylił, Stanisław ręce z nożem i widelcem w powietrzu zawiesił i usta nieco otworzył, Jadwiga niespokojnie poruszyła się na krześle. Wtem nagle, we drzwiach przepierzenia cieniutki głos Ambrożowej zadzwonił.

— I w kantyczkach napisano:

«Zstąpił Pan chwały wielkiej,
Uniżył się wysoki,
Pałacu kosztownego żadnego
Nie miał zbudowanego
Pan wszego stworzenia!»

— Widzi pani Ambrożowa! — zaśmiał się Aleksander; — a pani Ignasiowi od stołu wstawać kazała, dlatego, że on pałacu kosztownego żadnego nie ma zbudowanego!

Ona zaś jeszcze cieńszym, jak włoszek już cieniutkim głosem, zawołała:

— I jeszcze cośś, co się tego tycze, jest w kantyczkach.

«Czem'ż w złobeczku, nie w łódeczku
Na sianku położony?»

Czemuż bydłęty, nie z panięty
W stajni jesteś złożony?»

To niby królowie Najświętszego Dzieciątka pytają. A to niby Najświętsze Dzieciątko odpowiada:

«By człek sianu przyrównany.
Grzesznik bydłęciem nazwany
Przezemnie był zbawiony.»

Wyrecytowawszy to, stała w ramie niskich i wąskich drzwi, pokorna, drobna, z drobniemi, prawie czarnemi od spracowania rękoma, opuszczonemi na spódnicę. Jeżeli kto, to ona najpewniej była na świecie „sianu przyrównana;” jednak, rzecz dziwna! w czarnych jej oczkach, w otwartych do uśmiechu bezzębnych ustach, w szybkim ruchu zmarszczek na twarzy do krążka opłatka podobnej — jaśniały rozradowanie i tryumf.

Siedzący przy stole przez dość długą chwilę milczeli; cisza i białe światło, z okna od śniegu padające, unosiły się w tej biednej izbie, nad wyśpiewaną przez tych biednych ludzi — apologią biedy.

Ciszę przerwał głos i chichot Ignasia, który, zjadłszy już co do zjedzenia było, szklanką piwa do reszty rozweselony, z oczyma znów w Jadwigę wlepionemi, wśród powszechnego milczenia zaczął:

— Jak panienka wyszła, to on do przedpokoju wpadł i krzyczy: „Ignas!” A ja... chi, chi, chi! mówię: — „Słucham pana!” — „Czy ty tu był?” — A ja, w oczy jemu śmiało patrzę i.. chi, chi, chi!

— „Byłem!” — mówię...

— Ale teraz, Ignasiu, dalekobyś lepiej zrobił, gdybyś milczał! — z błyskającemi oczyma przerwała mu Jadwiga.

— Owszem, kochanku, mów! mów! — przysiadając się do chłopca, zawołał Aleksander.

Jadwiga porwała się z krzesła i błagalnie jęknęła:

— Olesiu!

Ale on do najwyższego stopnia już zaciekawiony, a więcej jeszcze zaniepokojony, nie ustępował. Na nią w pół filuterne, w pół niespokojne spojrzenia rzucał, a na chłopca nalegał:

— Opowiedzże Ignasiu... nie bój się, panienka choć i rozgniewa się, to i przebaczy. Ja sam ją...

— Olesiu! — zawołała znowu Jadwiga, ale inaczej już niż przedtem: gniewnie, rozkazująco. Przytem nogą o podłogę uderzyła. On zaś teraz już wcale nie patrzył na nią, tylko schmurzony nagle, na wahającego się, ale do mówienia wielką ochotę mającego chłopca nalegał:

— Mów! Ja koniecznie historię tę wiedzieć muszę. Jak Boga kocham, muszę! mów!

Wtem i Szyszkowa, która wszystkiego ze zdziwieniem słuchała, krzyknęła:

— Złość, utrapienie, męka, zgryzota! Mówże Ignas, kiedy ci każą!

Na ten głos, chłopiec, jakby się w nim jakaś sprężyna poruszyła, wyprostował się i mówić zaczął, a jednocześnie rozległ się po pokoju stuk gwałtownie odsuwanego krzesła, i Jadwiga, jak wichler, z twarzą w ogniu, a drżącemi brwiami i rękoma, przez pokój przeleciała, drzwi za sobą z takim gwałtem zatrasnęła, że aż się przepierzenie zatrzęsło, i z całej siły, z brzękiem żelaza, zasuwkę drzwi zasunęła. Zamknęła się. Gdyby ktokolwiek za przepierzeniem znajdował się, byłaby go może wybiła, tak silnie pięści miała ściśnięte i takim gniewem rozżarzone oczy. Że jednak nikogo tam nie było, więc schwyciła leżący na komodzie kawałek starej jakiejś materyi i drżącemi palcami drzeć go zaczęła. Przytem, oddychała głośno i szeptała prędko:

— Co ja winna? i cóż ja temu winna? Jakże miałam inaczej zrobić? Boże, mój Boże! za co na mnie ten wstyd i to nieszczęście? Co ja temu winna? Co ja miałam robić?

Wtem szept jej urwał się i wypadł z palców niepodarty jeszcze kawałek materyi. Uczuła, że czyjeś ramię ją obejmuje i twarz jakaś z gorącym oddechem pochyla się nad jej twarzą. Wyrwała się, odskoczyła i, do ściany zwrócona, nogą tupnęła.

— Nie chcę, nie potrzebuję! Nie trzeba było pytać! Teraz idź sobie odemnie!

Ale on nie daremnie dwoma skokami sionkę i izdebkę przebył, tak go coś, po opowiadaniu Ignasia, ku niej pociągnęło. Znow objąć ją próbował.

— Jadziu! duszko! spójrz na mnie!

— Idź sobie! Nie chcę! Wstydzę się!

— Ależ niema czego! Jak Boga Kocham, dzielna dziewczyna z ciebie i pysznie we wszystkim zgadzamy się z sobą! No, nie odwracaj się już odemnie! Spójrz na mnie! Jadziu, duszko, siostrzyczko!

Z pod brwi jeszcze zsuniętych, jakby z musu, wzniosła ku niemu oczy, ale zarazem uśmiech miękki, prawie wesoły, zabłysnął jej na ustach i szybko po całej twarzy się rozlał. Sama nie wiedziała, jak i kiedy usiedli oboje na stojącym przy ścianie kufierku, jak i kiedy zaczęła mu opowiadać troski, żale, strapienia swojego codziennego życia. Czyniła to zrazu cicho, z wahaniem, z rękoma na kolanach opuszczonymi i wzrokiem wstydliwie w ziemię utkwionym; ale gdy on, znowu ramieniem ją obejmując, w szerokiej dłoni swojej zamknął jej małe i zgrabne, lecz chude i igłą nakłóte ręce, sama znowu nie wiedziała, jak i kiedy głowa jej na ramię jego opadła, a uczucia, myśli, pamięć, otworzyły się przed nim naościż, do dna.

Mijały minuty i kwadransy, upłynęła cała godzina, a oni jeszcze, na kufierku, starym dywanikiem pokrytym siedząc, ściśle ku sobie przybliżeni, ciągle i pocichu z sobą rozmawiali. Czynili to tak zupełnie, jakby byli bratem i siostrą, lub parą dawnych serdecznych przyjaciół, bo różnej natury uczucia składają się na szczęście, a z nich pierwszym, którego ta blada, chuda, pracą zmęczona dziewczyna doznała, było ciepłe rozpowijanie się serca ze ściskającej je oddawna lodowej powłoki. Ramieniem tego młodego, przystojnego mężczyzny otoczona, z rękoma w jego dłoni zamkniętymi, doświadczała przecież tylko wielkiej rozkoszy serca, które pozbywa się całej swojej gorczy i skrytości, i jak w promieniu słońca kwiat długo zziębły kielich swój rozwija i wszystkie barwy roztacza, tak i ono czyni w ciepłe drugiego, dobrego serca. Zadnego gwałtu, ani upału nie czuła nawet wtedy, gdy on, pocieszając ją i do dalszej walki z życiem zachęcając, dłonią głaskał jej włosy i nad samem czołem jej szeptał:

— Duszko! siostrzyczko! miła ty moja!

Czuła tylko, że nie jest już samą i nielubianą, że ktoś na ziemi rozumie ją i cenę, że niedaremnie pracowała bez spoczynku, a hardo walczyła z ubóstwem i opuszczeniem, że ufność i wdzięczność nie są niedostępnymi dla niej przysmakami życia, że nakoniec ciche słodczye szarej godziny, o których tyle od ludzi słyszała, zmyśleniem nie były.

Bo krótki dzień zimowy już przygasał i zaczynała się szara godzina. Ambrożowa, kilka razy z talerzami i sztućcami przez wąski pokój przeszedłszy, wpólotworzyła drzwi od kucharki, w której, małą lampkę zapaliwszy, w kątku na ziemi usiadła i Ignasia pociągnęła, aby przy niej usiadł. Na ziemi więc siedząc, żywo z sobą o czemś szeptali, aż podniosła się drobna, prawie czarna ręka kobieciny i twarde włosy chłopca głaskać zaczęła. On swoją wielką, gapiowatą głowę na drobnych macierzyńskich kolanach położył, a ona nad tę głowę wznosząc suchy, czarny palec i trzęsąc nim w powietrzu, ciągle mu o czemś bardzo pocichu prawiała: może o Dzieciąteczku, które urodziło się na sianku i pałacyku żadnego nie miało zbudowanego, by człek, sianu przyrównany, przez nie był zbawiony, — może o tych tysiącach balijek bielizny, które ona wyprała, setkach pokoiaków, które uprzątnęła i opaliła, niezliczonych godzinkach głodu, chłodu i smutku, które przeżyła, nim jego, jego brata i dwie ich siostry tak wyhodowała, aby choć sianu podobni, trucizną świata nie byli.

Wąski pasek światła, od małej lampy na podłogę padający, łączył tę siedzącą na ziemi parę ludzi z drugą, która z dłonią w dłoni i z twarzą przy twarzy, na niskim kufierku siedziała. Dalej jeszcze, z drugiej strony przepierzenia, Szyszkowa z takim już gwałtem nalegania o różne szczegóły tyżące się jej synów dopytywać się zaczęła Stanisława, że on, wszystkie wykręty i niedomówienia wyczerpawszy, z krzesła się porwał, dużą lampę na stole zapalać zaczął i żalosnym głosem zawołał:

— Oleś! Jadzia! To dobre! Jak Boga Kocham! sami do dziury jakiejś zaleźli i bawią się doskonale a babuni i mnie to jakby już na świecie nie było! Kiedy tak, to bywajcie zdrowi! Włożymy sobie z babunią kożuszki i na cały wieczór we dwoje do miasta pójdziemy! Dobrze, babunieczko?

Nim jednak miał czas wygłoszony zamiar spełnić, z impetem otworzyły się drzwi od sionki, i rozległ się w nich donośny, śpiesznie mówiący głosik:

— Czy chcecie państwo, czy nie chcecie, a przyjąć nas musicie. Kiedy panna Jadwiga nas zaprosiła, to niechże teraz i ma. Panie Bolesławie! czemu pan *drzwiów* od podwórza nie zamykasz? Chłodu pan do pokoju napuścisz i sam zaraz fluksyi dostaniesz. Moje uszanowanie pani Szyszkowej! Świąt wieszczę! A ja z panem Bolesławem już po zaręczynach! Na całe życie w niewolę idę, ale szyc już nie będę. Niech to szycie dyabli wezmą! Tylko że ślub nasz odwlecze się aż do Julii albo do Augusta, bo pan Bolesław musi po papieru jechać, a teraz urlopu nie dają, a gdyby bez urlopu pojechał, toby jeszcze i odprawę dali!...

— Moje uszanowanie! moje uszanowanie! Powiem państwu, że na podwórzu mróz aż trzeszczy! — mówił, kłaniając się na wszystkie strony, flegmatyczny narzeczony trzpiotowatej szwaczki.

— Moje uszanowanie! — zabrzmiał we drzwiach gruby głos ślusarza Michała.

— Jak się państwo mają? dobry wieczór! moje uszanowanie! — srebrnie dzwoniła wchodząca z mężem żona ślusarza.

Biały szkielet bez głowy, jedyny od lat wielu nieodstępny towarzysz Jadwigi, dziś w najgłębszy kąt pokoju zasunięty, aż prostować się zdawał od zdumienia nad niepospolitą widokiem, który tego wieczora roztoczył się przed nim.

Ładna ślusarzowa, w różowym czepeczku na czarnych włosach, przysiadła się do Szyszkowej, i żywo, głośno, z częstym śmiechem i gestami, o swoim szczęśliwym życiu domowym, o zdarzających się w niem przecież często kłopotach gospodarskich, o chorobach, figlach, przedwczesnej zadziwiającej mądrości małego synka swego opowiadała.

Paulina, natychmiast prawie po swoim wejściu, uczepiła się Stanisława Ginejki, i przysadzista trochę, ale fertyczna, cała w loczkach, wstążkach, uśmiechach i błyskach oczu, zapytywała go, czy wiele już razy kochał się w życiu? czy teraz w kim się kocha? czy woli brunetki, albo blondynki? czy w tem mieście, z którego przybył, dużo jest przystojnych kawalerów? czy dobrze ona robi, że za mąż idzie? bo przecież wiadomo, że mężczyźni to niegodziwe tyrany i brzydkie wietrzni...

On, po całodziennem rozmawianiu z babunią, rad był teraz porozmawiać z temi ponsowemi, rozpaplanemi i rozchichotanemi ustami, a wzajemnie żartując, dziwne dziwy na zadawane mu pytania prawiąc, głośnym śmiechem wybuchając, w błękitne jak niezapominajki, zalotne oczy szwaczki zalotnie też zaglądał.

Narzeczony tej ostatniej nie zwracał na to wszystko żadnej uwagi, oddał się bowiem cały poważnej rozmowie z Aleksandrem i ślusarzem Michałem, gdyż, jak sam mówił, o *społecznych* sprawach lubił niezmiernie słuchać i mówić, a oni właśnie o zajęciach ludziom ich stanu dostępnych, o wartości i korzyściach różnych rzemiosł i pomysłów, o trudnościach i sposobach zdobywania odpowiednich umiejętności, z ożywieniem rozmawiali.

Gwar tych głosów rozmawiających, opowiadających, śmiejących się, od sufitu do podłogi nappełnił nieduży pokój i wytworzył w nim atmosferę wesołości i przyjacielskiej poufałości, wśród której Jadwiga, zarumieniona i z błyszczącymi oczyma, krzątała się około jaknajlepszego przyjęcia gości. Przy najgorszych chęciach, niepodobnaby dziś było podobieństwa do cytryny w niej dopatrzeć. Żółtawa bladość jej znikła pod lekkim rumieńcem, tak, jak sztywność i suchość kibici ustąpiła przed lekkimi, żywymi ruchami. Jakkolwiek wolałaby pewnie, aby Ginejkowie byli jej jedynymi gośćmi, bardzo ją cieszyło z drugiej strony, że spędzą w jej domu jakąś wesołą chwilę i zobaczą, że ona uprzejmą i gościnną być umie. Przytem, po wielu latach nieustannej samotności i żmudnej bez wytchnienia pracy, miała takie uczucie, jakby po długim przebywaniu w samotnej i ciemnej celi, weszła do rześkiej oświetlonej i tłumnie zapełnionej sali balowej. Z podskokiem też przybiegłszy do komody, nieznacznie z szuflady jej wyjęła rubla papierowego i Ambrożową pchnęła do miasta po półrublową butelkę wina i po bułki. Kiedy bał, to bał! Niechaj ci dobrzy ludzie, którzy przysli do niej i przez to jej sympaty swojej dowiedli, zobaczą, że dla gościnnego ich przyjęcia ona ostatniego choćby rubla nie żałuje. Potem, co będzie, to będzie! I cóż ma być zresztą? Do roboty weźmie się ze zdwojoną ochotą i siłą, — co teraz wydała, odpracuje.

W samowar Ignasz z całej siły dmuchał, nad ogniem po raz drugi dnia tego smażyły się kielbasy. Ambrożowa, wróciwszy z miasta, więcej niż kiedykolwiek do pokornej i zwinnej myszy podobna, z kuchenki do pokoików i napowrót biegając, z pomocą Ignasia i współudziałem Jadwigi, w niespełna godzinę stół nakryła i zastawiła wieczerzę. Herbata, wino (półrublowe), kielbasy, bułki, cytryna na cienkie krążki pokrajana, spodek masła i salaterka gotowanych śliwek, — uczta obfita, prawie wspaniała i najpewniej bardzo rzadko widywana we wszystkich przegródkach tego kotła, którym były czworokątne mury tego domu. Więc też mieszkańcy tych przegródek, bez żadnej ceremonii, zachwyt swój nad nią wyrażali tak czynem, jak słowem. Kielbasę zajadali, do herbaty wrzucali cytrynę i wlewali wino, bułki masłem smarowali, śliwkami rozkoszowali się formalnie.

— Kiedy bał, to bał! To już prawdziwie powiedzieć można, że sąsiadka nas po świętecznemu uczęstowała! — twarde, wielkie wąsy co chwila ocierając, z ukłonami w stronę Jadwigi zwróconemi, powtarzał ślusarz Michał.

Żona jego dopytywała się Jadwigi o sposób przyrządzania śliwek, bo takich smacznych jeszcze jak żyje nie jadła. Paulina zaś trzepała, że panna Jadwiga wystąpiła dziś z fetą, jakby to jej wesele lub zaręczyny były, a narzeczonemu przy pierwszej sposobności do ucha szepnęła:

— Żeby tylko po tej wielkiej wesołości wielkich *łzów* nie było, bo ona w tym starszym Ginejce zakochała się po uszy, — już to ja widzę!

Ale gdy narzeczony nie odpowiadał wcale, bo pochłaniała go rozmowa o „społecznych” sprawach, Paulina wołać zaczęła, że wszystkie te poważne rozmowy dobre na codzien, a w święto bawić się trzeba; możeby więc teraz i oni wszyscy w gry jakie pograli, a jeszcze lepiej, choć trochę potańczyli, choć trochę...

Rzecz dziwna, że na wspomnienie tańców, blademu i flegmatycznemu urzędnikowi oczy błysnęły; Stanisław też na krześle podskoczył, a Jadwiga zarumieniła się, bo spostrzegła, że Oleś, z drugiego końca pokoju, prawdziwą błyskawicę spojrzenia na nią rzucił.

Co moment zresztą i w którejkolwiek stronie pokoju była, spotykała się wzrokiem z szybkimi, a jak błyskawica świecącymi spojrzeniami Olesia; wtedy też wątek rozmowy gubił i czoło dłonią pocierał. Wszystko to wprawiało czasem Jadwigę w zamyślenie do upojenia podobne, a czasem wzniewało w niej gorączkową wesołość.

W przystępie takiej wesołości w ręce klaskać zaczęła i wołać:

— Potańczmy! potańczmy trochę! Lecz z kądże wziąć muzyki, jakiejkolwiek choćby muzyczki, bo bez żadnej niepodobna przecież tańczyć?

Wtedy pewny różowy czepeczek, na pewnych czarnych jak heban włosach spoczywający, tryumfująco podniósł w górę niebardzo wykwintne kokardki.

— Michał na harmonii zagra!

I wysmukła kobieta, w czarnej sukni i różowym czepeczku, przyskoczyła do barczystego ślusarza.

— Michał! skocz po harmonijkę! Słyszysz? Michał! Michasiu! jeżeli Boga kochasz...

Nie skoczył wprawdzie, ale głową twierdząco skinął i szerokimi krokami wyszedł z mieszkania, w którym powstał większy jeszcze, niż przedtem, gwar zmieszanych głosów.

— Iluż nas jest do tańca?

— Sześć osób: trzech kawalerów i trzy damy!

— Mało!

— Aż nadto!

— Jabym cały wieczór z jedną panią tylko tańczył, jak Boga Kocham!

— Powiem panu, że nie spodziewałam się, aby pan cudzą narzeczoną bałamucił!

— A czy pan nie wiesz, że koń zatargowany, a panna zaręczona — najdroższe?

— Ślicznie dziękuję za porównanie z koniem!

— Ale jakże będziemy tańczyli, kiedy stół pośrodku pokoju?

— Wynieść stół.

— Dokąd?

— Do sieni!

— We drzwi nie wlezie!

— Wlezie!

— Nie wlezie!

- Już zmierzylam chustką, wlezie!
- No, to wynośmy!
- Wynośmy!

Lampa na komodzie postawiona, pokój napelnia się wielkim tupotem nóg, trzech mężczyzn i dwie kobiety stół do sieni wynoszą. Jadwiga w obawie, aby maszyna do szycia szwanku nie poniosła, chwytą ją i razem z pudłem wynosi za przepierzenie, gdzie się znalazłszy, śpiesznie stare swoje buciki zmienia na nowsze i grzebieniem matki włosy sobie nad czołem przygładza.

W kilka minut potem, tańczyli już przy siarczystych, choć trochę piszczących dźwiękach harmonijki; a choć pokój dla trzech nawet par tancerzy okazał się tak ciasnym, że wzajemnego uderzania się o siebie łokciami i plecami uniknąć było niepodobna, nie stanowiło to przeszkody żadnej, owszem wzmagало wesołość i zapał.

Jedną przecież w pokoju tym znajdowała się osoba, dla której ta powszechna wesołość zdawała się być trucizną. Była nią Szyszkowa. Zrazu spokojna i uprzejma, lub wysilająca się na spokój i jak największą dla gości uprzejmość, w miarę wzmagania się rozmów i śmiechów smutniała, milkła, stopniowo jakby tonęła w myślach i uczuciach własnych. Zamiarowi tańczenia żadnych przeszkód nie stawiała, tylko gdy ślusarz po harmonijkę poszedł, a młodzież z tupotem nóg i gwarem wesołych żartów stół wynosiła, wsunęła się w najgłębszy kąt pokoju, i tuż przy białym, suchym szkielecie na krzeselku siedząc, posępną i nieruchomą się stała. Im weselej stawalo się w koło niej, tem grubszą chmurą czarne nioby z pod białego czepka opadały na ciemne jej czoło, aż cała przemieniła się w chmurę kawowej barwy, na której tle odbijała tylko białosc czepka i mankietów. Wsunawszy ręce w mankiety, nie czyniła poruszenia najmniejszego, nie oddychała zda się, tylko zaciśnięte jej wargi wraz z ostrym końcem nosa poruszały się prędko, prędko, aż pod wpływem uczuć czy myśli burzliwych a hamowanych, formalnie latać w obie strony zaczęły.

Nikt na nią uwagi nie zwracał. Kilka razy, rozmiotana w tańcu suknia Pauliny o kolana jej uderzyła i nad samą jej głową rozległ się świeży śmiech ślusarzowej; kilka też razy Jadwiga z Aleksandrem lub urzędnikiem pocztowym przed samą jej twarzą skręcała się w polce lub walcu, tańczonym pod takt obertasa: ona zdawała się tego nawet nie spostrzegać, i tylko coraz częściej i na dłużej przymykała powieki, jakby pragnęła zatrzymać w zrenicach zjawiający się przed nimi obraz innych, dalekich twarzy i postaci. Podniosła je przecież i wyrzuciła z oczu płomień gniewu, gdy pokój napelnił się wybuchem nagłego, chóralnego śmiechu.

Młode pary przestały tańczyć, urwała się muzyka ślusarza, i wszyscy, zanosząc się od śmiechu, skupili się przy oknie, które z zewnętrznej strony okryło się całe mozaiką ludzkich twarzy. Najbliżej i najwyraźniej, jakby do szyb przyklejone, czerwieniły się tam wielkie twarze dwóch sióstr dewotek (trzeciej coś zapewne przyjsć przeszkodziło). Dalej, brudną chustą okryta, dziwnie błogo uśmiechała się wynędzniała Ruchla, a girlandą otaczały ją dzieci różnego wzrostu, z za których jeszcze widać było zagapione twarze szewca i szewcowej, medytacyjny profil studyującego Talmud męża kramarki Lei, kilka par jakby w powietrzu zawieszonych, szeroko otwartych oczu, kilka pobłyskujących, przez młodzików jakichś palonych papierosów. Okno oświetlone, za którym grano i tańcowano, — był to dla tych ludzi ponętny i nadzwyczaj zajmujący teatr, ku któremu tłoczyli się i któremu się przypatrywali, nie zważając na mróz tęgi, który im zarumieniał policzki i nosy, ani na śnieg, w którym powyżej kostek brnęli.

Tańczący wreszcie spostrzegli, że byli aktorami, zabawiającymi dość liczną publiczność; ale nie obraziło i nie zasmuciło to ich bynajmniej. Tak zwykle bywa: kiedy ludziom na smutek się zbierze, najlżejszy drobiazg dotkliwie ciężar jego zwiększa; kiedy na wesołość, najdrobniejsza iskra szumny i raźny płomień jej podnieca.

Z gromadnego wybuchu śmiechu wybił się srebrny głos ślusarzowej, wołający:

— Michał, graj! Czemużeś grać przestał? Graj, Michasiu, jeżeli Boga kochasz!

I nim grać zaczął, z ręką na ramieniu urzędnika pocztowego tak podrygiwała, że aż różowe kokardki czepczka nad głową jej latały. Aleksander zaś Jadwigę ramieniem już otaczał, a Stanisław Paulinę nieco nawet do piersi przyciskał, czemu ona nie broniła się wcale, tylko na narzeczonego zukosa zerkając, do tancerza swego szeptała:

— Bo widzi pan, on jest bardzo *zajzdrosny*, a jak zmartwi się, czy rozłości, to zaraz fluksyi dostaje...

Teraz ogarnął ich nieledwie szal tańca i śmiechu. Uciecha z rzadkiej zabawy przemieniała ją prawie w dziecinną swawolę. Wszyscy tancerze obtańcowali już z kolei wszystkie tancerki, które w rzadkich przestankach, bez tchu nieledwie, chustkami od nosa wachlowały się i pot z twarzy ocierały. Nareszcie Aleksander z Jadwigą, dla wywinięcia się może ze ściskających dwóch par innych wpadł za przepierzenie; tu uderzył się z jednej strony o Ambrożową, a z drugiej o jej syna, którzy śpiesznie do kuchenki wpadli, i parę razy jeszcze, w tym prawie ciemnym pokoiku, tancerkę swoją okręciwszy, nagle, przy samym owym kufierku, z całej siły ją objął i w ramionach jego zamkniętą, w usta i oczy całować zaczął. Temu uściśnieniu i tym pocałunkom nie bronila się ona o! nie bronila się wcale; a jeżeli wówczas, o szarej godzinie, czuła to tylko, że przestaje być zatrutą jadem życia i że z niej spada nieszczęście samotności, teraz uczuła, że jest młodą, rozkochaną i nad miarę wszelkiego słowa szczęśliwą. Jakby wypila mocnego trunku, tak upojoną była; szary cień pokoiku kłębił się jej przed oczyma, obie ręce zarzuciła mu na szyję, do piersi jego przyłgnęła i po wiele, wiele razy oddała mu jego pocałunki.

Nie mówili do siebie nic, i nim mieli czas cokolwiek sobie powiedzieć, tuż prawie przy sobie usłyszeli szelest bardzo cichych kroków, i ujrzeni przesuwającą się postać, która w zmroku, napełniającym pokoi, wyglądała, jak czarne widmo. Była niem Szyszkowa. Szła powoli, zgarbiona, mniemając, że jest samą, bo w myślach zatopiona nieobecności młodej pary pośród tańczących nie spostrzegła, tu zaś w szarym zmroku byli oni dla niej niewidzialnymi.

Uszła tak kilka kroków, i nagle z loskotem kolan o podłogę uderzających, u łóżka swego na klęczki upadła. Zarazem z piersi jej wychodzić zaczęły tłumione, przeciągłe jęki i westchnienia do lkań podobne.

— Mama! — szepnęła do Aleksandra Jadwiga.

Szyszkowa, jakby z twardego snu obudzona, krzyknęła:

— Kto tu?

— Ja, mammo...

I przygarnęła się do matki, a usiłując podnieść ją z klęczek, z prośbą w głosie zaczęła:

— Niech mama tak nie rozpacza, moja kocha...

Nie dokończyła, bo czarna w zmroku postać popędliwie porwała się z ziemi i odtrąciła ją z taką siłą, że byłaby upadła na kuferek, gdyby jej Aleksander nie podtrzymał. Zarazem, szept gwałtowny, świszczący, zjadliwy, mówić zaczął:

— Śmierć, męka, nieszczęście, zgryzota, choroba! Czego ty chowasz się po kątach i matkę podpatrujesz? Pocięszac mię chcesz? Jezus, Marya! Mnie nikt nie pocieszy, zwłaszcza ty, co zamiast smuć się razem z matką i modlić się o odzyskanie braci, balujesz sobie, gości spraszasz, hece wyprawiasz... jak ta ostatnia, jak... jak...

Szept jej splątał się i urwał. Jadwiga cicho, lecz z wewnętrznym jękiem wymówiła:

— Zawsze tak... zawsze... zawsze tak...

Aleksander osłupiał, przerażony, milczał.

Szyszkowa, nie spostrzegając go, zaszepnęła znowu:

— Czegóż tu jeszcze stoisz? Plaga egipska! Czemu nie idziesz sobie? Do kawalera swego idź, do lubego, do ukochanego... Jezus, Marya... wydajże się przynajmniej za mąż... choć raz... choć tę jedną pociechę zrób matce... Ale gdzie tam! Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się Ty nad nami! Alboż on ciebie weźmie? Czy ktokolwiek cię weźmie?... Jezus, Marya!...

— Chodźmy! — z gniewem i dość głośno odezwał się Aleksander, — chodźmy ztąd, Jadziu! To istna waryacya, niesprawiedliwość, krzywdy..

Pociągnął ją ku drzwiom od przepierzenia, w których gdy stanęli, obecne w pokoju osoby od pierwszego rzutu oka spostrzedz musiały, że oboje mieli czoła gniewnie zmarszczone, a w oczach Jadwigi błyszczwały daremnie powstrzymywane łzy.

— Pokłócili się! Ot już i zaczyna się po radości smutek! — szepnęła do narzeczonego Paulina.

— Powiem tobie, że mnie jej szkoda! — wachlując się chustką do nosa, odszepnął narzeczonego.

Ślusarzowa poskoczyła ku Jadwidze.

— Może mamie zrobiło się niedobrze, bo *cościś* taka skrzywiona i przygarbiona z pokoju wyszła?

Jadwiga przypuszczenie to potwierdziła, a że pora była już dość późną i ślusarzowa o dziecko niezupełnie spokojną się czuła, więc poszeptała z mężem, z Pauliną, i po wielu ukłonach, pocałunkach, podziękowaniach, całe towarzystwo mieszkanie Jadwigi opuściło. Poszedł z niem i Stanisław, którego Paulina nagląco zapraszała, aby razem z jej narzeczonym na pięć minut, na kwadransik mieszkanie jej odwiedził.

— Bo — mówiła, — mam pokoik małej, ale małej, i chcę panom pokazać, jak na małym *przeźwieniu* sprytnie urządzić się można.

W pustym pokoju, Aleksander i Jadwiga siedzieli obok siebie przy białym szkielecie. Lampa daleka stojąca, skąpe na nich rzuciła światło, za oknem, tak jak w pokoju, nikogo już nie było. Byli sami, ale wesołość, ani chęć do rozmowy im nie wracała. Schmurzeni i smutni oboje — milczeli. Zegar na ścianie wiszący wybił późną godzinę.

— Trzeba już iść! Pociąg o świcie wychodzi!

Ona zbladła i ze spuszczonej powiekami siedziała, jak martwa. On w jednej dłoni trzymał jej rękę, na drugiej oparł zachmurzone czoło, i długo w poblądłą twarz jej patrzył. Nakoniec, z ruchem niecierpliwości rzekł:

— Ot, kiedy człowiek gorzko żałuje, że pałacu żadnego kosztownego nie ma zbudowanego! Ba! gdybyż choć lada jaka, ale pewna chata... tymczasem jeszcze w powietrzu wiszę i ani myśleć...

Przerwało mu stuknięcie drzwi otwieranych i głos Stanisława, który wołał:

— Oleś! Stół do pokoju wnieśmy, aby Jadzia jutro kłopotu z tem nie miała... a potem marsz do spania, bo pociąg o świcie wychodzi...

Jadwiga zapragnęła zerwać się z krzesła, obu rękoma schwycić się za głowę i krzyknąć:

— Jutro! ja nie chcę jutra, tego jutra, w którym już was nie będzie... i wszystko przeminie i... wszystko powróci!

Nie uczyniła tego przecież, owszem z uśmiechem, któremu przeczyła wilgoć żrenic i sztywność kibici, żartobliwie zapytała Stanisława:

— Cóż, Stasiu? Czy bardzo podobała ci się Paulina?

— Żeby tak pies płakał, jak ona mi się podobała! Lala — i koniec! Na godzinę zabawy dobra ale na całe życie... hu, hu, hu!

Stół był już postawiony na swoim dawnym miejscu. Aleksander powolnym ruchem czapkę z wieszadeł zdejmował. Stanisław zapytał:

— Gdzież babunia?

— Jestem — ozwał się we drzwiach głos Szyszkowej. — Jezus, Marya! jak to smutno, że tak prędko odjeżdżać musicie..

Stali teraz wszyscy w pośrodku pokoju, małowówni i pochmurni.

— Co trzeba, to trzeba! — rzekł Aleksander, i schyliwszy się, obojętnie pocałował rękę Szyszkowej, która też z niejakiem zmieszaniem wzrok od niego odwracała.

Stanisław daleko czulej ją żegnał, i ona też za szyję go objęła i całowała.

— Napiszcież przynajmniej — mówiła, — choć kiedykolwiek do nas napiszcie... Męka, zgryzota... donieście nam co o sobie... jak tam znajdziecie... jak wam będzie... Jezus, Marya!...

Aleksander od rąk Jadwigi odrywał się i znowu ku nim ustami powracał.

— Nie martw się bardzo — mówił pocichu, — nie trać zdrowia! Złe przeminie, a dobre nadejdzie! Tymczasem, bądź tak, jak dotąd, cierpliwą i dzielną! Co trzeba, to trzeba!

Jej na usta wyrwała się prośba namiętna: „Napisz przynajmniej do mnie.. napisz kiedykolwiek!” Ale jej nie wypowiedziała. Nie, choćby jej serce pęknąć miało, ona ani wywoływać przyrzeczeń jego, ani najmniejszym słowem narzucać się mu nie będzie!

Bardzo błada, ze sztywną kibicią i rękoma w gorących jego dłoniach, jak lód zimnemi, szepnęła tylko:

— Bądź zdrow, Olesiu.. Niech wszystko pomyślnie ci pójdzie... Nikt ci na świecie lepiej odemnie nie życzy...

Żadnej prośby i żadnej oznaki żalu, który ją warem łez wstrzymanych napelniał!

Szyszkowa za to, po raz drugi, do obu już braci mówiła:

— Napiszcież do nas, pamiętajcie, napiszcie... żebyśmy, Jezus, Marya! choć wiedziały, co się z wami dzieje!

Stanisław po kilka razy napisać przyrzekał; Aleksander, wzruszony i posępny, brata do pośpiechu naglił.

— Stasiu, dość już tego! Chodźmy! Co trzeba, to trzeba!

W kilka minut później, duża lampa była zgaszona, a pokój napełniło słabe półświatło palącej się u łóżka Jadwigi świecy. Jadwiga, jak senna, chodziła tu i owdzie, porządkując w nieład popadłe sprzęty, perkalową storę spuszczać u okna, gdy uczuła bardziej, niż zobaczyła, że Szyszkowa stanęła przy niej.

— I cóż? — zapytała szeptem.

— Co, mammo?

— Nie powiedział nic?

Rozumiała dobrze o co matka zapytuje, odpowiedziała więc krótko:

— Nic.

— Śmierć, utrapienie, zgryzota, męka! — zaszemrał szept zrazu świszczący, lecz potem coraz łagodniejszy. Dlaczegoż, Jezus, Marya... i dlaczegoż nic nie powiedział?... Kiedy widziałam przecież, wyraźnie widziałam, że zajął się tobą... że bardzo mu się podobałaś... No, prawda, że Jezus, Marya... biedny on chłopiec... stałego bytu nie ma... Bóg święty wie, jak mu w tej fabryce będzie... Ale napisze... plaga egipska!... najpewniej napisze, a potem, Jezus, Marya! kiedykolwiek i sam przyjedzie! Co się odwlecze, to nie uciecze!

I gdy po białych policzkach Jadwigi z pod spuszczonej powiek spływał strumień milczących łez, ciemną ręką pogłaskała jej włosy i w czoło ją pocałowała.

Na dziedzińcu, w pobliżu powstał hałas, ze stuków i kłótni dwu głosów złożony. To szewc Jerzy z miasta pijany powracał, do drzwi domu swego się dobijał i grubiańsko klócił się z żoną. Prawie jednocześnie, nad sufitem, przeraźliwie wrzeszczeć zaczęło najmłodsze dziecko Lei... Życie codzienne, dniem wesołości i szczęścia przerwane, ze swoim mdłym i gorzkim smakiem powracało...

v

Upłynęło kilka miesięcy; w mieście panował upalny sierpień. Twarde i okrutne było to panowanie. W powietrzu susza dławiąca i nieustanna kurzawa; na wąskich szlakach nieba, nad ulicami, błękit jakby z gniewu wyiskrzony i ani jednej rzeźwiącej chmurki; u dołu, kamienie bruku ostro sterczące z pomiędzy wyschłego piasku, czerwone, gorące; dokoła, blask słońca, który, nie mogąc rozlewać się po szerokich przestrzeniach powietrza i błoni, ogromny i oślepiający rzucał się cały na białe i żółte mury kościołów i domów. Ludzi na ulicach było wielu, ale wszyscy szli ze spuszczonej lub mrużącymi się powiekami, z ciężko dyszącymi pierściami, takim krokiem, jakby u nóg ich wlokły się kule z ołowiu. Jednak było ich wielu, chodniki ulic okryte nimi były, jak mrowiem. Szli w różne strony, z koszami, paczkami, węzełkami, piłami, kielniami, tu i owdzie tylko z parasolami i parasolkami w ręku, — bo tak samo, jak w mroźnych dniach zimy, ruszać się, zabiegać, kupować, sprzedawać, pracować, słowem — żyć musieli.

Jednym z chodników, niekiedy przez tłum popychana, częściej wszakże przewijając się pośród niego z ręcznie i wprawnie, szła młoda, chuda dziewczyna w szarej sukni i skromnym kapeluszu na gładko uczesanych i w duży warkocz splecionych włosach. W ręku miała kosz spory i próżny, na czole miała żółtawe plamy, a na policzkach wypieczone przez upał rumieńce. Oddychała ciężko, powieki okrążone czerwonymi obwódkami przymrużała przed blaskiem słońca, ale szła krokiem osób z natury żywych, a przez życie do ciągłego pośpiechu gnanych. Idąc, i na nic z tego, co ją otaczało, żadnej uwagi nie zwracając, myślała, że jednak w stosunkach swoich z tymi, którzy jej dostarczają roboty, coś zmienić musi, bo ciągle nie wypłacają jej znacznej części umówionego zarobku, i albo długo oczekiwać na zapłatę, albo i całkiem zarobek tracić musi. Tak być nie może, to krzywda, której ona długo znosić nie myśli. Trzeba stać się energiczniejszą, czy oględniejszą, słowem w sposób jakikolwiek zapobiedz temu, aby niedobrzy ludzie strzygli ją, jak owcę. Niedobrzy ludzie! po kilka razy powtarza sobie w myśli dwa te wyrazy, i jak zawsze bywa, kiedy ją dotknie uczucie poniesionej krzywdy, od gniewu wrzeć zaczyna. Drgają jej brwi i ręce, grubymi i podartymi rękawiczkami okryte, krok staje się jeszcze śpieszniejszym.

W tym pośpiechu nie spostrzega krzyżującej się z nią kobiety z wielkim worem na plecach — i wór, w którym znajduje się coś twardego, tak mocno ją w bok potrąca, że aż przeciągle syknęcie z ust jej się wydobywa. Na ból dotkliwy przecież bynajmniej nie zważając, ani na chwilę nie przystaje, i równie śpiesznie jak przedtem idzie dalej, tylko bez najmniejszej już o tem wiedzy, wzmaga on gniewne jej wzburzenie. Bo i doprawdy — myśli znowu, — od Nowego Roku aż do połowy lata wiodło się jej wybornie, roboty miała wiele, że z dwiema, a nieraz i z trzema pomocnicami zaledwie wydołać jej mogła; i — cóż ma z tego? Przeżyła wprawdzie czas ten bez wielkiej biedy i kilkanaście rubli w zapasie posiada, ale nic więcej! Teraz zaś, od miesiąca, zaczęła się pora w całym roku najniekorzystniejsza i miesiąc jeszcze potrwa. Robota zmniejszyła się, pomocnice dawno już odprowadzone, sama wprawdzie ma to i owo do zrobienia, ale zapasik niezawodnie wydać będzie musiała, i jeszcze kto wie, czy wystarczy on do czasu, w którym te lafiryndy, które chcą stroić się, a szwaczkom połowę tylko należności wypłacają, zaczną sobie suknie i inne stroje na jesień sprawiać! Boże! gdybyż ta jesień prędzej już nadeszła! I roboty znów przybędzie, i skwary przeminą. Ach! jak gorąco! Pan Bóg, doprawdy, powinienby lata wsiom tylko dawać, a nad miastami zawieszać wieczne jesienie i zimy!

Wtem z otwartych okien jakichś suterren wydobył się i całą ją gęstym kłębem owionął tak silny i obrzydliwy swąd kuchenny, że zakrztusiła się, w gardle ją zdławiło i lzy jej do oczu nabiegły. Szybko minęła zionące swędem okna, i prawie już biegnąc, wpadła znowu w tuman kurzawy, podnoszący się z pod kilku ciągnących ulicą wozów. Boże! gdybyż ta jesień prędzej już nadeszła! Z dwojga złego, deszcz i błoto mniej są przykre od swędu i kurzu. Niech tam sobie ci, którzy mieszkają na wsi, wiosnę i lato lubią... Jak ona dawno na wsi nie była! może już dziesięć lat... ostatni raz u Ginejków, kiedy to jeszcze swoją kolonijkę mieli...

Przy tej myśli zwolniła nieco kroku i rękę do czoła podniosła. Po co, po co to nazwisko tak często płacze się jej w myśli? Powinnaby o niem zapomnieć, kazać sobie zapomnieć, bo przy wszystkich jej zmartwieniach i udręczeniach, ten jeszcze ciężar w pamięci i sercu nosić — to zawiele! Po co oni tu przyjeżdżali? po co ten dzień pamiętny przerznął jej życie, jak szlak słoneczny, za którym i przed którym ciemna noc? Dzień jeden, chwila, jakiś sen dziwny i — po wszystkim! Głupstwo! Nie ma ona czasu takimi niedorzecznościami głowy sobie nabijać i czynić tego nie powinna: bo wie i czuje, że samej jednej o nich myśleć — jest wstydem i upokorzeniem. Więc też nie będzie, nigdy już najpewniej nie będzie! Postanawiała to już nieraz, ale jakoś dotąd nie mogła dotrzymać danego sobie przyrzeczenia, teraz dotrzyma... Oto już myśli o tem, jak śmieszny kapelusz ma na głowie ta pani, która przeciwległym chodnikiem idzie i pieska z sobą na sznurku prowadzi... A ten człowiek z piłą na plecach, jaki zmęczony! zdaje się, że zaraz upadnie, ta zaś Żydówka z dwoma koszami pełnymi bułek na rękę, bardzo do Ruchli... Ach!

Wydawszy wewnętrzny ten wykrzyk, jak wryta stanęła i szeroko otwartymi oczyma wpatrzyła się w młodego, zgrabnego mężczyznę, który w wysokich butach i grubej, zgrabnie skrojonej odzieży, śpiesznie szedł po przeciwległym chodniku. To stanie i patrzenie trwało przecież zaledwie kilka sekund, po których, z ruchem zniecierpliwienia i bledsza nieco, niż wprzód, iść dalej zaczęła. Czyż nigdy nie przestanie być głupią? Bo głupią być trzeba, aby proste i po przypatrzeniu się małe nawet podobieństwo tak ją wzruszało, że nogi jej drżą, a szum w uszach tłumi turkot przejeżdżających dorożek! Zdaleka jednak ten młody człowiek w wysokich butach był tak do niego podobny, że pomyślała zrazu... Ale po przypatrzeniu się, zupełnie co innego... Daleko brzydszy, mniej zgrabny i włosy nie takie piękne, gęste... Najpiękniejszy jednak ze wszystkiego ma on uśmiech, taki miły, serdeczny, oczy siwe, takie błyszczące, a czasem takie przezroczyście i głębokie, jakby z kryształu... Czy znowu?

Zawrzała gniewem, ale tym razem przeciwko samej sobie uczutym. Znowu myślała o tem!... Woli i wstydu za grosz chyba nie ma, jeżeli wstrzymać się od tych myśli i wspomnień nie może... Otóż może! Otóż przekona sama siebie, że cokolwiek sobie rozkaże, to uczyni, co postanowi, to spełni. Otóż i teraz, myśli już o tem tylko, w jakim dziś stanie, po parogodzinnej na miasto wycieczce, matkę znajdzie? Bo od niejakiego czasu matka zaczęła doświadczać jakichś osłabień i zawrotów głowy, chwilowych wprawdzie, ale coraz częstszych. Szczególniej te srogie upały jej szkodzą. Upały swoją drogą, a ciągle desperacja swoją. W głębi ducha desperuje, a na zewnątrz wybucha coraz większem

rozdrażnieniem i zgrzyliwością. Wszystko to musi zdrowie odbierać, zabijać! Broń Boże zachoruje ciężko, co wtedy będzie? Że też to człowiekowi nigdy tak źle na świecie nie jest, aby jeszcze gorzej być nie mogło!

Jednak przy pożegnaniu powiedział on do niej: „Wszystko złe przeminie, a dobre nadejdzie!” Może to kiedykolwiek wreszcie nastąpi! Powinnaby mu wierzyć, bo on dobry, szczery, szlachetny, i pewno, pewno nie skłamał nigdy, nawet spojrzeniem. Poczłoby okazywał to, czego nie czuł? Wie zresztą dobrze, iż co okazywał — to podówczas czuł naprawdę. Poczciwy, złoty, kochany... Czy znowu?...

Z gniewu na samą siebie nogą o kamień bruku tupnęła, i usiłując o niczem wcale nie myśleć, wbiegła w bramę domu. Tu jednak zwolniła kroku, bo nad kilku schodami, znajdującymi się u drzwi mieszkania stróża, spostrzegła żółtą, jak bibuła, twarz Ruchli wychylającą się z narzuconej na głowę wielkiej, podartej chusty. Dla Ruchli, pory roku zdawały się nie istnieć: ta sama zabłocona spódnica i brudna chusta służy jej za ubranie zimą i latem. Spostrzegłszy Szyszkównę, nie zmieniła siedzącej i skurczonej na wschodkach postawy, tylko wlepiając w nadchodzącą czerwone od płaczu oczy, głową tak wstrząsać zaczęła, jakby na zapytanie jakieś dawała przeczące znaki. To wstrząsanie głową, połączone z mruganiem powiek, zdawało się mówić: „Jego tu nie było! On nie przychodził! ja tu ciągle siedziałam i wiem na pewno, że on wcale nie przychodził.”

Jadwiga zrozumiała, co wszystko to ma oznaczać. Naturalnie! Alboż mogło być inaczej? Wprawdzie od świąt Bożego Narodzenia do wiosny i jeszcze przez parę wiosennych miesięcy spodziewała się... z każdej wycieczki na miasto wracając, myślała, że może, może w czasie jej nieobecności... Ale od dość już dawna Żydówki o to nie zapytywała, naprzód dlatego, że ona pytanie jej zawsze już trzęsieniem głowy uprzedza, następnie, że przestała sama spodziewać się listu. Niczego już nie spodziewa się, a jednak gdy Żydówka przecząco głową trzęsie, doświadcza znowu takiego uczucia, jakby ostra i gruba szpilka lub igła przebijała pierś jej w tym miejscu, w którym znajduje się serce. Znowu — bo to samo zdarzyło się wczoraj, zawczoraj, przed tygodniem, przed miesiącem. Wie jednak dobrze, iż szpilek ani igieł nie wpina do stanika tak niezgrabnie, aby klóć ją mogły. To przeczące trzęsienie głową Ruchli, jakkolwiek z góry przewidziane, takim ukłóciem przeszywa ją zda się nawskroś.

Zatrzymuje się przed skurczoną na wschodkach postacią i zapytuje:

— Czego to tak płakałaś, że aż oczy masz czerwone?...

Ruchła wydaje kilka jęków, i kołysać się zaczyna w obie strony. Mąż jej, suchotnik, źle się w tych dniach ma, bardzo źle... już leży!...

— Więc dłączegóż, moja Ruchlo, zamiast go pielęgnować, ty tu w bramie jak siedzisz, tak siedzisz?

— Już ja tak przywykła...

— Ależ wszystko to jedno; gdybyś i złapała kogo z robotą, mąż twój teraz przyjąłby jej nie mógł.

— Czemu nie? Nasz Mendelek i nasz Lejbele już szyją.

Jadwiga oburza się na myśl o takim szyciu, do jakiego zdolnymi być mogą szesnastoletni Mendelek i jeszcze młodszy od niego Lejbuś.

— Takie dzieci! — woła z oburzeniem, — po jakimuż one szyć mogą! Ależ taka robota, jaką ich być może, to poprostu oszukaństwo...

Ruchła powoli ramionami wzrusza i, rozkładając nieco ręce, odpowiada:

— A co robić, kiedy u nas chleba niema?

Przez chwilę Jadwigę, milczącą i zamyśloną, stała przed skurczoną na wschodach postacią, która w milczeniu także wznosiła ku niej czarne, od płaczu opuchłe oczy, aż sięgnąwszy do kieszeni, srebrną monetkę z niej wyjęła i na kolanach Ruchli, wśród fałd brudnej chusty położyła. Wszystko uczyniła bardzo szybko i nagle odwróciwszy się, jakby od czegoś uciekała, śpiesznie weszła na dziedziniec.

Teraz, w lecie dziedziniec ten wcale inaczej wyglądał, niż podówczas, w zimie. Pomimo skwarnie wyiskrzonego błękitu nieba nad dachami i oślepiającej pozozi słońecznej na czworokątnych ścianach domu, powietrze tu było żółte i jakby dymne od kurzawy, podnoszonej przez dwa wielkie roje bawiących się dzieci; to zaś suche, krztuszące powietrze napełniał wrzask niewypowiedziany, od owych dwóch rojów pochodzący. Jeden z nich jeździł na kijach, huśtał się na stosie desek, wzajemne gonitwy i bitwy wyprawiał u drzwi

mieszkania pokątnego doradcy; drugi czynił to samo przede drzwiami krawca suchotnika i żony jego Ruchli. Pierwszy był złożony z dzieci chrześcijańskich, drugi z żydowskich: wszystko jedno, oba wrzeszczały, bez najmniejszego na uszy ludzkie miłosierdzia. Oprócz tego, z otwartych okienek sutereny wybuchały gęste pary, w których czuć było tłuszcz, czosnek, cebulę i mydliny; mydliny też, pomieszane z mnóstwem żółtych i czarnych odpadków, tu i owdzie wąskimi strumieniami ciekły wśród ostro sterczących, od suszy i skwaru czerwonych kamieni bruku.

Jadwiga, wysoko podniósłszy suknię, parę przeskoczyła; od kłębu kurzawy, który wpadł jej do ust i gardła, zakaszła; od wrzasku mijającego ją wielkim pędem dziecinnego roju w uszach jej zakłóło. Okropność! Żeby w tym piekle sto lat przeżyła, jeszczeby do niego przyzwyczaić się nie mogła, głównie dlatego, że było tak brudne. Żeby już prędzej, prędzej jesień i zima nadeszły! W zimie ten dziedziniec nawet wcale ładnie wygląda. Śnieg chłodny jest, ale czysty i przy blasku słońca iskrami, jak brylantami, świeci. Świecił tak właśnie wtedy, gdy ona z nim z kościoła wracała i stanęli w tym miejscu dla rozmowy z Pauliną. Gdy stanęli, ona chciała rękę z pod jego ramienia wysunąć, ale on ją zlekka ku sobie przycisnął, a jej w sercu zrobiło się tak dziwnie ciepło i rozkosznie... Tam zaś, na tamtem miejscu, podjął laskę ślepej staruszki, która potem tak grzecznie do nich przemówiła, i gdy w rękę oboje ją całowali, błogosła... Cóż znowu?...

Nagle, jakby dla ukarania jej za myśl odpędzaną, a wciąż wracającą, z wielkim płuskim, tuż przed jej nogi, wylał się z otwartego okna strumień cuchnących pomyj. Szybko podniosła suknię, odskoczyła i ku oknu owemu zwrócona, zawołała z gniewem:

— Wstydzilyby się pani Jerzowa brudne rzeczy na dziedziniec wylewać!

Z za okna donośnie zapiszczał głos kobiety:

— A pani co do tego? Także znalazła się guwernantka! Niech każdy swego nosa pilnuje!

— Przed gospodarzem skarżyć się będę, bo pomyje pani wprost pod moje okna cieką!

— A skarż się, skarż się, ile wlezie! Leć z donosami! Miła sąsiadka! Jędza!

Z suknią wysoko jeszcze podniesioną i ustami od kurzawy i kłótni wykrzywionemi, Jadwiga wbiegła do swego mieszkania, kosz przyniesiony ze stukiem na ziemię postawiła, zerwany z głowy kapelusz rzuciła na komodę, i z głośnie stęknieniem na krzesło upadłszy, oczy, przed którymi latały roje czerwonych i złotych muszek, obu rękoma przecierać zaczęła.

Za przepierzeniem ozwał się głos Szyszkowej:

— Czegóż tak stękasz i stukasz? Jezus, Marya. Zginienie zdrowia i życia! Czy nie przyjemność jaką miałaś? Czy taki humor ciebie napadł? A w mieście ze dwie godziny siedziałaś! Myślałam już, że, Jezus Marya, ktokolwiek panienkę na fetę zaprosił i na pierwszym miejscu przy stole posadził. Aż tu nie, przyszła, ale śmierć, męka, zgryzota, w złym humorze! Jezus, Marya, czemuż nie odpowiadasz? Ja pytam, czego ona stuka i stęka? a ona nie odpowiada! Plaga egipska!

Nie odpowiadała, zaledwie nawet słyszała słowa matki, bo i w uszach jej od wrzasku za oknami szumiało, i po głowie wiła się myśl: „Jednak to być nie może, aby on nigdy już... W tem miejscu, ot tu, przy samej komodzie, pomagając mi futro zdejmować, za rękę mię ścisnął i szepnął: Moja jedyna! — A potem, kiedy siadaliśmy do stołu, do tego, ot tego krzesła przyskoczył i aż krzyknął: Ja przy Jadzi! — Nie, to być nie może, aby on już nigdy...” Cóż znowu?

Zerwała się z krzesła, i teraz dopiero spostrzegła matkę, we drzwiach przepierzenia stojącą.

Przez ubiegłe miesiące Szyszkowa postarzała, zmizerniała, przygarbiła się, tylko włosy jej siwieć nie chciały, i jak wprzód czarną chmurą zwisały nad ciemną, czerwonymi smugami zoraną twarzą. Wypukłe, piwne oczy wlepiając, krzyknęła:

— Dlaczegoż nie odpowiadasz? Jezus, Marya! Ja półgodziny do niej mówię, a ona ani piśnie! Złość, męka, choroba, zgryzota! Czy to już matka rozmawiać z tobą nie godna? Czy może w języczek muszka jaka ukąsiła? Odezwiysz się ty dziś do mnie, czy nie? Śmierć, utrapienie...

— Przepraszam. Nie słyszałam! O co mama pytała? — z roztargnieniem zaczęła Jadwiga.

— O co? o co? Jezus, Marya! Czegoś tak długo siedziała w mieście?
— Robotę odnosiłam, zapłatę odbierałam, mama wie przecież, ile mi się od ludzi należy...

— Cóż, oddali?

— Nie chcę źle życzyć nikomu! — z wybuchem zawołała Jadwiga; — jednak chciałabym, aby oni choć raz w życiu skosztowali, jak krzywda smakuje!

Ze stukiem otworzyła szufladę komody i, zwitek materyi z niej wyjąwszy, do szycia sposobić się zaczęła. Przez kilka minut zbierała i przygotowywała nici, tasiemki, igły, parę razy z turkotem pokręciła kółko maszyny. Szyszkowa tymczasem, chodząc powoli i klapiąc podszewkami starych trzewików, na stole i na komodzie coś porządkowała, pył ścierała, przyczem trzęsła głową i ściśniętymi wargami poruszała. Nakoniec, ponurym, lecz dość spokojnym głosem mówić zaczęła:

— I po cóż ty się tak zaraz do roboty bierzesz? Jezus, Marya! zhasałaś się po mieście, to odpocznij trochę. Wszystko jedno, jak skończysz te dwie suknie, które masz do zrobienia, muchy łapać chyba zaczniesz, bo przez jaki miesiąc jeszcze i pies do nas z robotą nie zajrzy! Każdego lata przecież tak bywa! Kiedy lipiec i sierpień przyjdzie, choć zęby na stole kładź... Męka, zgryzota, złość, nieszczęście, zginienie zdrowia i życia!

Jadwiga, milcząc, obrębiała jakąś nieskończenie długą falbankę. Szyszkowa stanęła przed nią, i długo, także w milczeniu, na nią patrzyła.

— Jak ty wyglądasz! — zaczęła znowu. — Jezus, Marya! lepszych do trumny kładą! Mizerna, żółta, opalona, oczy czerwone, ręce, aż czarne... Wstyd, żal, zgryzota! Serce kraje się od patrzenia na ciebie! Młodości po tobie nie znać...

— Cóż robić, mam? — przerwała rozdrażnionym głosem Jadwiga. — Nic nie pomoże wyrzekać na to, przeciw czemu rady niema.

— Niema? — sarknęła Szyszkowa. Jezus, Marya, czyż niema?

I umilkła. Widać było, że gryzła w sobie jakiś żal i jakąś gorycz, którymi wnet wybuchnąć musiała. Wybuchnęła też:

— Śmierć, niedola, wstyd, złość, utrapienie! Jest rada, jedna tylko rada dla kobiety, ażeby z biedy i nieszczęścia wyleźć... a ty wiesz jaka! Wiesz ty dobrze i rozumiesz, o czym ja mówię... Oho! rozumu masz dosyć... wiesz, rozumiesz, czego ja pragnę, czekam, u Pana Boga jak zbawienia duszy wymadlam... wiesz dobrze... plaga egipska...

— Wiem — nagle głowę podnosząc, zawołała Jadwiga; — ale tyle, tyle już razy prosiłam, aby mama o tem nie mówiła!...

— Nie mówić! mam o tem nie mówić! Złość hańba, zgryzota! I dlaczegóż to matce gębę zamykać każesz? Jezus, Marya, czy dlatego, aby mi pokazać, że jestem...

— Dlatego, mam, tylko, tylko dlatego, że te wieczne wymówki mamy, iż za mąż nie idę, ranią mię, obrażają, upokarzają...

— Obrażają, upokarzają! Jezus, Marya! Boże zmiłuj się Ty nad nami! A cóżes ty winna, że ciebie tak Pan Bóg stworzył, iż nikomu prawdziwie podobać się, nikogo do siebie przywiązać nie możesz?...

— Boże! cierpliwości, cierpliwości, cierpliwości! — syknęła Jadwiga.

Ale Szyszkowa, cała naprzód podana, ramionami zamachała:

— Sycz, czy nie sycz, a ja prawdę mówić będę! Jezus, Marya! czy to ja sługa twoja, abym ci prawdy powiedzieć nie śmiała? Serca masz mało, łagodności nie masz, miłego obejścia się nie masz, i dlatego śmierć, choroba, zgryzota, nieszczęście: jeden wolał tę frygę Paulinę, niż ciebie, a drugi...

Jadwiga zerwała się z krzesła i dłońmi za czoło się schwyła.

— Zrywaj się, czy nie zrywaj — krzychała Szyszkowa, — a sama winna jesteś, że Jezus, Marya, na koszu osiądziesz... Dwadzieścia pięć lat już panience, a panienka jeszcze fumy stroi... kiedy poczciwy chłopiec, który nią zajął się, odjeżdża, ona stoi, jak martwy kołek, i ani jednego miłego słowa do niego nie piśnie... Myślałaś może, że ja tego nie widziałam, nie uważałam... oho! plaga egipska!...

— Nie mogę tak myśleć, bo mi to mama już wiele razy powtarzała...

— No, więc dlaczegóż tak zrobiłaś? Jezus, Marya! zginienie zdrowia i życia, jakie głupstwo do głowy ci przyszło?

Jadwiga twarz podniosła, oczy jej ostro błysnęły.

— To do mnie tylko należy! — zawołała.

Ale Szyszkowa poprostu już w furię wpadła.

— No, to i ciesz się! — krzyczała, — no to i zobaczysz go, jak swoje ucho bez lustra! Pojechał i jasnej panience zyg, zyg marchewka, pokazał, zyg, zyg, marchewka...

Jadwiga obie dłonie do serca przycisnęła i była bardzo blada.

— Niech mama przestanie... moja mamó, niech mama o tem nie mówi...

Ale do ciemnej twarzy Szyszkowej krew nabiegła; gniewna zachwiała się na nogach.

— Cóż? Jezus, Marya! odezwał się może, napisał?... Jezus, Marya! czy choć raz napisał?... Aha! aha... Kiedy bracia nie pisali, ty tryumfowałaś, że oni tacy źli, a ty taka dobra... dobra... Teraz... plaga egipska... Boże, zmiłuj się Ty nad nami... sama spróbuj, jak to smaczno... kiedy... kiedy... plaga egipska...

Ostatnie słowa wybełkotała prawie niezrozumiale, i znowu tak się zachwiała, że zdało się, iż na ziemię upadnie. Jadwiga poskoczyła i w obu ramionach ją podtrzymała.

— Znowu ten zawrót głowy!... Niech mama położy się trochę...

Ale Szyszkowa umocniła się już na nogach, do zwykłej cery swej powróciła i usunęła córkę od siebie.

— Już przeszło... Jezus, Marya.. to od upału... nie powinnam kłaść się... przejść się owszem... wyjść ztąd, z tej dziury.. przejść się po świecie, po powietrzu... Ach, ach, ach! Boże zmiłuj się...

Stękać, wzdychać, ale zwykłym krokiem i ze zwykłą siłą za przepierzenie poszła. Jadwiga odprowadziła ją do drzwi wzrokiem niespokojnym i, na krzesło usiadłszy, znowu do rąk, trzęsących się jeszcze od wzburzenia, robotę wzięła. Ale zaledwie kilkadziesiąt ściegów zrobiła, Szyszkowa, w wielkiej czarnej chustce na codziennej sukni, w czarnym kapeluszu ze starem piórem i z książką do nabożeństwa przyciśniętą do piersi, we drzwiach stanęła.

— Na nieszpory idę, — oznajmiła.

Nic w tem dziwnego nie było: Szyszkowa często chodziła na nieszpory; ale teraz Jadwiga niespokojną się uczuła.

— Może mama pozwoli, abym z mamą poszła? — zapytała.

— Nie trzeba! Nikogo fatygować nie chcę. Nie zwaryowałam jeszcze, sama do kościoła trafię!

Poszła, i Jadwiga przez okno widziała, jak pod czarną chustką przygarbiona, z książką do nabożeństwa u piersi, dziedziniec przeszła i zniknęła w bramie.

Względna cisza, która zapanowała w mieszkaniu, sprawiła Jadwidze ulgę. Z dziedzińca wprawdzie dochodził ją nieustannie przeraźliwy wrzask bawiących się dzieci, do którego łączyły się niekiedy donośne głosy kłócących się lub z oddalenia rozmawiających z sobą kobiet; ale w tych czterech ścianach przynajmniej cicho było i była samą.

Czas jakiś szyla pilnie, potem z obrębianą falbanką w rękę zbliżyła się do manekina, który dnia tego wyglądał, jak zgrabna i wystrojona panienska bez głowy. Do nieskończonej jeszcze sukni tej panienski, Jadwiga klęcząc przykładała i przymierzała świeżo obrębianą falbankę; potem nieco szpilek do ust nabrawszy, atlasowe ubranie przy zgrabnym staniczku poprawiała i przypinała; a potem ogarnęło ją zamyślenie, tak nieprzeparte, że przysiadłszy na ziemi, i z falbanką w jednej ręce, a czołem na drugą opuszczonem, u stóp panienski bez głowy znieruchomiła... Nie, to być nie może, aby wszystko skończyło się już na zawsze. Wprawdzie, jeden dzień tylko spędzili razem, ale w dzieciństwie i w pierwszych latach młodości widywali się często i on zawsze okazywał jej wielką sympatyę. Ileż razy powtórzył teraz: „Pysnie we wszystkim zgadzamy się z sobą!” I istotnie, mieli oni jednakowe gusta i jednakowe o wszystkim zdania. W dodatku zaś — sympatyę! Ją do niego a jego do niej zawsze od dzieciństwa coś pociągało, a teraz, gdy po wielu latach zobaczyli się dojrzałymi już ludźmi, więcej niż kiedykolwiek, mocno, o! jak mocno pociągnęło. O sobie wie ona dobrze, iż poszłaby za nim przez góry i lasy, choćby do piekła; ale że i on również względem niej czuł to samo, była tego pewną. Więc dlaczego?...

Jadwiga spostrzeża, iż głowę jej napelniły myśli, których tyle razy sobie wzbraniała; ale tym razem nie walczy już z niemi, owszem, dobrowolnie, świadomie pogrąży się w nich cała z głową i sercem, miękko im się poddaje, jak niewymownie słodkiej pieszczocie. „Jedynie to moje szczęście!” myśli, i z rozkoszą wpatruje się w obraz, który wyobraźnia stawia przed nią z wielką wyrazistością kształtów i rysów. Rysy te podobają się jej bardzo,

najbardziej dlatego, że przegląda przez nie szczery, czysty, odważny charakter. W siwe, ogniste oczy, osadzone pod czołem szerokim i ogorzałem, wpatruje się tak długo, że aż w ich głębi spostrzega wielką dla siebie czułość. Potem wzrok jej z siwych oczu spuścił się ku rumianym ustom, ciemno płowym wąsem ocienionym, i tak długo na nich spoczywał, aż na swoich ustach uczuła cały płomień i cały miód ich pocałunku. Wtedy już oczy dłonią zakryła, bo stało się z nią coś takiego, jakby miała zemdleć, lecz nie z osłabienia, tylko przeciwnie, z gorącego i zarazem niewymownie miłego upojenia, które rozlało się po jej żyłach i uderzyło do głowy zupełnie tak, jak wtedy, w ciemnym pokoiku, po walcu przetańczonym pod takt obertasa.

Zerwała się z ziemi, dziwnie zmieniona. Rumieńce pokryły żółtawość czoła jej i policzków, oczy z pod nieco zaczerwienionych powiek jaśniały błękitem turkusów, blade usta rozwierał uśmiech. Wyprostowała się też, i gdy w stojącej postawie, kilka jeszcze szpilek do stanika panienci bez głowy wpinała, ruchy jej były zgrabne i gibkie. „Nie, myślała, to tak przejść i skończyć się nie może. Daremnie tylko martwię się i desperuję. Że nie napisał dotąd? cóż ważnego! Ślusarze do pisania nie muszą być skorzy. Pracuje zapewne bardzo, bardzo, aby byt swój w fabryce ustalić, a spracowaną i stwardniałą ręką za pióro chwycić nietatwo... Z dnia na dzień odkłada, ale kiedykolwiek przecież zbierze się na czas i ochotę, napisze...” Wśród tych myśli, cicho, nieśmiało przewinęła się jeszcze jedna: „Może sam przyjedzie!” I śmielej trochę snuła się dalej: „No, nie tak prędko zapewne, nie jutro lub pojutrze, ale kiedykolwiek... może w zimie... może znowu na Wigilię...” Nakoniec rozwinęła się już zuchwale: „Prędzej czy później, przyjedzie niezawodnie... Przrzekać cokolwiek, na pewno zamierzać jeszcze on nie może... Pałacu kosztownego żadnego nie ma zbudowanego, a nie do takich należy, którzy przrzekają i zamierzają na wiatr... Przy pożegnaniu mówił przecież: — Bądź jak dotąd dzielną i cierpliwą! Złe przeminie, dobre nadejdzie. — I pewno nadejdzie. Rozumniejszy i odważniejszy on jest odemnie. Ja choć niby staram się nie być cielęciami, co moment w smutki i desperacye wpadam... A jednak, z doświadczenia wiedzieć powinnam, że pieczone gołąbki nie lecą do gąbki i że na wszystko cierpliwie czekać trzeba. E! wszystko jeszcze będzie może dobrze!..”

Żywo, prawie z podskokiem zbliżyła się do stołu i, usiadłszy, drugą falbankę obrębiać zaczęła. Naturę miała sprężystą, która do samej, zda się, ziemi ugięta, zawsze odginać się i wyprostowywać usiłowała. Młodą była, i młodość jej odzyskała w tej chwili najwyższe swoje prawo i dobro — nadzieję. Z błękitnymi wciąż jak turkusy oczyma i uśmiechem wijącym się po ustach, obracała kółko maszyny, którego turkot wydawał się jej wesołym. Jakże wiele, jakże wiele kółku temu zawdzięczała! Byt swój i matki, możliwość hardego noszenia niezależnej od nikogo głowy i jego szacunek... Szacunek tego pracowitego, niezależnego chłopca, który przecież próżniaczki i żebraczki pokochaćby nie mógł! Kręć się więc, kochane kółko, kręć się raźnie, żywo, a ja przez całe życie, od rana do wieczora, obracać cię gotowam, bylebym tylko w turkocie twoim słyszała śpiew nadziei: „Ktoś mię kocha, ktoś o mnie myśli! Złe przeminie, dobre nadejdzie!”

W turkot maszyny wmieszał się trochę piskliwy, trochę pospolity, ale bardzo żywy i szczebiotliwy głos, który we drzwiach pokoju przemówił:

— Dzień dobry pannie Jadwidze! Jak się panna Jadwiga ma? Wybierałam się do pani, wybierałam się, jak czajka za morze, i możebym jeszcze nie wybrała się, bo i ślubną suknię na łeb na szyję kończę, i pan Bolesław wiecznie mię za spódnicę trzyma, ale takie mam dla pani nowiny, że już koniecznie muszę je pani opowiedzieć...

Przysadzistsza jeszcze, niż wprzód, bo przez ubiegłe miesiące nieco utyła, ale też więcej niż kiedy fertyczna i wystrojona Paulina, z szelestem jasnej, wykrochmalonej sukni, z filuternym, tajemniczym śmiechem usiadła obok Jadwigi, która uprzejmie ją powitała.

— Pani sama? A gdzież panny do szycia? Toż ich pani tyle ciągle potrzebowała! Aha! teraz niepotrzebne! W tej porze zawsze nikt roboty nie ma. Otóż to, psie życie szwaczek, niech *jego* dyabli wezmą! Wolę już za mąż iść, przynajmniej o te wrony i ich głupie suknie dbać nie będę! Sobie samej szyć, to i owszem. Caluteńką wyprawę już sobie uszyłam. A żeby panna Jadwiga widziała, jaka moja kaszmirowa suknia śliczna!... z dżetami...

— Ale pani masz dla mnie jakieś nowiny, — przerwała Jadwiga.

— A jej! cały worek nowin, taki duży, że ledwie go, idąc tu, udźwignęłam...

— A czy dobre?

— Są i dobre, są i złe. Nawet przyznam się pani, że nie wiedziałam sama, czy wszystko pani powiedzieć, czy nie wszystko. Ale pan Bolesław radził, żeby powiedzieć wszystko. „Powieм tobie — mówi, — że panna Jadwiga powinna o wszystkim wiedzieć; ale co się tycze starej, to powiem tobie, że bądź ostrożna!”

Jadwiga, która dla rozmowy z gościem maszynę porzuciła i zaczęła w rękę materyę jakąś zszywać, ręce z robotą na kolana opuściła.

— Pewno cokolwiek o moich braciach... A! prawda! Wszak to pan Bolesław po papiery swoje tam jeździł. Czy już powrócił?

— Zawczoraj powrócił. Papiery przywiózł, i teraz poszedł do kościoła dać na zapowiedzi. Jutro pierwsza nasza zapowiedź wyjdzie. Ach, jak to śmiesznie będzie z ambony spadać!...

Podniosła do ust chusteczkę i tak długo chichotała, że Jadwiga, nie przerywając szycia, znowu się ozwała:

— Jakież to nowiny? Może pan Bolesław widział którego z moich braci?

Paulina ciągle chichotała.

— Co to panna Jadwiga ciągle pyta się tylko o braci i o braci! Są przecież na świecie bracia *rodzone* i *nie rodzone*. Ja mam nowiny o rodzonych i o nie rodzonych. Są między nimi dobre i są złe... które pierwej mówić: złe czy dobre? Ej, naprawdę, to jedna tylko nowina moja zła, a dwie dobre, — o jej! jakie dobre, wesołe!...

Obejrzała się po pokoju.

— A gdzież mama?

— Na nieszpory poszła...

— To i dobrze, bo pan Bolesław kilka razy mi przykazywał, żebym pani samej tylko wszystko opowiedziała, a potem niech tam pani sama co chce matce mówi, a czego nie chce nie mówi!

— Więc to coś bardzo złego?

— Jest i złe, ale dobrego więcej, a przecież umówiliśmy się już, że zacznę od dobrych nowin... Ale, o kim pani chcesz, abym pierwej powiedziała: o rodzonych braciach, czy o nie rodzonych?

Jadwiga, bardzo niespokojna, niecierpliwie odrzuciła:

— Wszystko jedno. Niech już pani tylko choć raz powie, o czym tam pan Bolesław dowiedział się.

Obie tą żywą rozmową zajęte i od okna nieco oddalone, żadnej na nie uwagi nie zwracały i nie spostrzegły, jak przez dziedziniec przewlokła się stara przygarbiona kobieta, w kapeluszu ze starem piórem i z książką do nabożeństwa u piersi. Do połowy tylko niesporów była w kościele, bo uczuła się tak słabą i zmęczoną, że modlić się jej było niepodobna.

— No, to dobrze — trzępała Paulina, — kiedy pani wszystko jedno, to ja od nie rodzonego brata zacznę...

W tej chwili drzwi od podwórza, a potem drugie z sionki do kuchni prowadzące stuknęły, ale Jadwidze serce tak gwałtownie bić zaczęło, a Paulina tak głośno i prędko mówiła, że obie tego nie usłyszały.

— Bo to widzi pani, pan Bolesław całutkie dziesięć dni tam przebył — tak z temi papierami było trudno. Jak przyjechał już tutaj, to zaraz na *wogzalu* mówi do mnie: „Powieм tobie, że tylko co tam z nudy nie umarłem.” Otóż z nudy *wziął* i zaczął do różnych tam dawniejszych swoich znajomych chodzić. U jednych takich znajomych, co jeszcze z jego rodzicami w przyjaźni żyli, patrzy: staruszka jakaś siedzi, bardzo miła podobno staruszka, różowieńka sobie taka, wesoleńka, ale biednieńko, biednieńko sobie ubrana. Pyta się on: „Kto to taki ta staruszka?” Aż jemu mówią, że to pani Ginejkowa. Dobrze. Podeszedł do niej, zarekomendował się i mówi: „A ja synków pani dobrodziki tam i tam, wtedy i wtedy widziałem.” I zaczął pięknie, grzecznie — już to on zawsze jest bardzo grzeczny — panów Ginejków chwalić. Pani Ginejkowa też dużo mu o swoich synach naopowiadała. Powiedziała, że chwala Bogu zdrowi, że do niej pisują, że powodzi się im w fabryce nie tak to bardzo dobrze, ale i nie tak bardzo źle, że w tym miesiącu mają już matkę do siebie sprowadzić, bo i jej bardzo już ciężko samej żyć, i im gospodyni w domu zda się... że pan Stanisław po nią przyjedzie, a pan Aleksander już po oświadczeniach

z jedną tam panną w sąsiedztwie i wkrótce ożeni się...

Jadwiga, która przez cały czas szczebiotania Pauliny, ze spuszczoną głową prędko, coraz prędzej szyła, teraz twarz podniosła.

— Z kimże to żeni się mój krewny? — zapytała głosem trochę głuchym, ale zupełnie pewnym, przyczem oczyma nieco rozszerzonymi na Paulinę patrzyła.

— Podobno z jakąś panną z sąsiedztwa... córką obywatela... no, takiego sobie małego obywatelka, która w nim zakochała się okropnie i przeciw woli rodziców za niego idzie, bo ma się rozumieć, że rodzice nie pozwalali jej za rzemieślnika wychodzić... Ale ona powiedziała, że jeżeli nie pozwolą, to ona otruje się, więc wzięli i pozwolili. To wszystko pani Ginejkowej opowiadała jedna pani, co przyjechała z tamtych stron, gdzie ta fabryka. Jeszcze też opowiadała, że pan Aleksander dobrą partyę robi, bo to i obywatelska córka, i z posagiem, i że ta panna bardzo, bardzo ładna.. A co, czy zła nowina?

— Owszem, bardzo dobra. Bardzo się cieszę, że mój krewny tak pomyślnie się żeni...

Paulina ze zdziwieniem, które oczy jej do naiwnych oczu dziecka podobnymi czyni, wpatruje się w tę, która tak spokojnie, tak nadzwyczaj spokojnie słowa te wymówiła. „Święty Boże! — myśli, — czy ona nie była w nim zakochana, czy tak prędko zapomniała? *Musi być* zapomniiała! *musi być* i wcale w nim nie kochała się, tylko bałamuciła go, męża sobie złapać chciała!” A ta, o której wietrzna szwaczka tak myśli, także w duchu po wiele razy wykrzykuje imię Boga: „Boże! Boże! Boże!” Ale oprócz tego wykrzyku, żadnej myśli w głowie nie ma, i w uszach jej, od silnego bicia serca, szumi okropnie. Obie też nie słyszą cichego, bardzo zresztą cichego szelestu za cienką ścianą przepierzenia.

Paulina dalej trzepać zaczyna:

— Widzi pani, nie nasze jedne weselisko wkrótce nastąpi. Będzie drugie i jeszcze trzecie. Aha! pani jeszcze nie wie, jakie to będzie trzecie! A ja zaraz nie powiem. Niech panią troszkę ciekawość pomęczy. Może pani na wesele starszego pana Ginejki pojedzie?

— Może pojedę, jeżeli zaproszą, — z uśmiechem (który znowu Paulinę nadzwyczaj dziwi) odpowiada Jadwiga, i zaraz potem zapytuje: — A o braciach moich... rodzonych... (znowu uśmiecha się), co pan Bolesław słyszał? Może nawet którego z nich widział?

— Widzieć, nie widział, ale słyszeć, to dużo słyszał; a jej! jak dużo! i takie rzeczy, że pani będziesz i bardzo ucieszona i bardzo zasmucona. Tak to zawsze na świecie bywa. Niema pociechy bez *łzów*. I ja cieszę się, że za mąż idę, a jednakowoż czasem taka mnie desperacja *ogartuje*... No, co pierwszej pannie Jadwidze powiedzieć: wesole, czy smutne?

— Wszystko jedno, — tym razem bardzo już cicho odpowiedziała Jadwiga.

— No, to od wesołego zacznę. Smutne niech będzie na końcu... Co tam! im później zmartwić się, tem lepiej.. Otóż, pan Bolesław słyszał od jednego swego znajomego, który jest bardzo dobrym znajomym braci pani, że młodszy brat pani, ten, który w wojsku, pan Józef podobno, żeni się... A co? ot i trzecie weselisko będzie! Ale jak on żeni się? z kim? ot sztuka! Słyszę z jakąś bogatą, bogatą mieszczką w jakimś mieście, którego nazwiska nie pamiętam... Tam, jak mówią, wiele jest takich bogatych panien... Otóż ta, z którą on żeni się, zakochała się w nim słyszę, dlatego, że bardzo ładny, a rodzice nawet nic przeciw temu nie mieli, bo oficerem on przecież jest... porucznikiem, czy co? Jakież takie wielkie pieniądze w posagu jej dają, że już nawet nie pamiętam ile, pojazd i konie, słyszę, kupują dla niej i brylanty, i futro z błękitnych lisów. Wszystko to pan Józef do swego znajomego pisał, że już na pewno, i że w przyszłym miesiącu ślub nastąpi, i prosił jeszcze tego znajomego, żeby jemu doniósł, gdzie teraz mama jego i siostra znajdują się, a ten znajomy mówił panu Bolesławowi, że pewno on, gdy będzie takim bogatym, paniom *coś* przysłać zamierza... pieniądze może, a może piękny prezent. Ot, moja panno Jadwigo, żeby to braciszek futro pani jakie ztamąd przysłał, albo jedwabnej materyi na suknię... Pewno i przysłał coś ślicznego! A co? zła moja nowina? Cóż? bardzo pani ucieszona?

Szklistemi oczyma zapatrzona gdzieś daleko, Jadwiga głową poruszyła. Nie wymówiła ani słowa, bo ledwo słuchając tej drugiej nowiny, niejasno, jakby dorywczo myślała: coby takiego znaczyć miał czarny cień, który za drzwiami przyległego pokoiku kładł się na podłogę? Wyglądał tak zupełnie, jakby był cieniem jakiegoś podsłuchującego za ścianą widma, ale wiedziała o tem, że tam żadnego widma, ani żadnej żywej istoty niema, więc szklisto w tę stronę patrząc, myślała tylko: „Boże, Boże, Boże zlituj się nademną! Boże, Boże, Boże!

— Oho! *coś* pani ciągle zasmucona! A ja, gdybym na pani miejscu była, tobym bardzo cieszyła się... Co to, z biednego chłopca takim bogaczem zrobić się, czy to żarty? Ale panna Jadwiga pewno tak samo myśli, jak pan Bolesław; bo on bratu pani takiego żenienia się bynajmniej nie pochwała, mówi, że to źle tak zaprzedać się w ręce ludzi bogatych, a niewiadomo jakich. A kiedy ja jemu sprzeciwiać się zaczęłam i mówić, że pan Józef dobrze robi, to on mnie tak wykrzyczał, że niech Pan Bóg broni: „Powiem tobie, mówi, że głupia jesteś, i że gdybym nie wiedział, że przez głupotę tylko tak gadasz, to słowo daję, jeszcze dziś rozstałbym się z tobą.” Ja też myślałam, że on jeden na świecie taki dureń, aż tu widzę, że i panna Jadwiga także zasmucona... No moi państwo! jak to na świecie bywa! Co dla jednego wesołe, to dla drugiego smutne. A cóż to będzie, jak ja moją trzecią nowinę powiem... naprawdę już smutną? Ale cóż robić? Muszę powiedzieć, bo pani jesteś siostrą, więc wiedzieć powinnaś, co z braćmi się dzieje... Pan Bolesław dowiedział się, że starszy brat pani, pan Władysław, w turmie siedzi...

— Już! — syknęła Jadwiga, i nisko pochyliła się naprzód, bo ten cień, tam na podłodze, jakby zakołysał się... Czy tam kto jest?

Chciała wstać, ale nogi jej tak drżały, że znów na krzesło opadła i tylko szepnęła:

— Niech pani ciszej mówi...

Ale Paulina cicho mówić nie umiała. Zniżyła wprawdzie głos, lecz tyle tylko, że nie krzycząc już, trzepała dalej:

— Już to wiadomo, że on takim sobie, pokątnym doradcą był; ale do tego czasu dobrze mu się powodziło, bo słyszę, bardzo sprytny... Ale teraz, słyszę, w łajdacki jakiś interes włął... fałszerstwo jakieś czy co? z którego miał wielkie pieniądze zyskać... Tylko, że *jakoś* łajdactwo odkryli i mach! jego, razem ze współnikami, do turmy wpakowali. Sąd, słyszę, będzie bardzo srogi... Mówią tam, że może i do katorgi...

— Jezus, Marya! co to? — krzyknęła Jadwiga, i porwała się na równe nogi, a to samo za nią uczyniła i Paulina, poczem ku drzwiom od przepierzenia rzuciły się obie.

Za temi drzwiami kołyszące się tam przed chwilą na podłodze cienia nie było, bo pokryła go sobą całkiem, czarną wielką chustą okryta postać kobieca. Bez krzyku, prawie bez stukotu, z przeciągłym tylko jękiem, jak drzewo powoli toporem podcinane, chyliła się ona z za ściany, chwiała się, chyliła, aż legła w całej długości rozciągnięta, twarzą ku ziemi!...

W parę minut potem, Paulina wypadła na dziedziniec przerażona, zaczerwieniona, i do ślusarzowej, która z dzieckiem na ręku przed drzwiami mieszkania stała, z rozpostartymi rękoma biegnąc, na cały dziedziniec krzyczała:

— Pani Michałowa! na miłość boską! niech ktokolwiek od was po doktora leci! Szysz-kowa zachorowała, *musi być* umiera, czy co? bo jak długa na podłogę padła i podnieść się nie może! Jabym poleciała, ale tam córka sama jedna... trzeba jej pomódz!...

I jak pędem biegła, tak napowrót ku mieszkaniu Jadwigi zawróciła, gdzie wpadłszy, bez żadnego względu na zgniecenie swojej świeżej sukni, owszem ze łzami w dobrodusznym oczach, razem z Jadwigą zaczęła dźwigać Szyszkową z ziemi. A ładna ślusarzowa ze swej strony, ku otwartemu oknu mieszkania swego poskoczyła.

— Michaś! — krzyknęła, — leć po doktora! Pani Szyszkowa zachorowała, słyszę jak długa na ziemi leży!... Michaś, czy słyszysz?

— Słyszę, słyszę! — ozwał się z wnętrza gruby głos męski, — ale okrutnie czasu nie mam!

— Co to: czasu nie mam! Tam córka sama jedna... pomódz jej trzeba! Michaś, leć! jeżeli Boga kochasz!

— Lecę! już lecę! — odkrzyknął gruby głos i parę sekund zaledwie upłynęło, a już istotnie, surdut jeszcze na sobie wciągając, z mieszkania wypadł i ku bramie tak prędko biegł, że prawie leciał.

Ślusarzowa, tyle tylko, że dziecko komuś przez otwarte okno podała, zaraz także ku drzwiom Jadwigi śpiesznie pobiegła.

— A co tam takiego stało się, pani Michałowa? — zawołała ku niej żona szewca Jerzego, ukazując się przede drzwiami, w szafirowej spódnicy, brudnym kaftanie i przydeptanych pantoflach.

Usłyszawszy odpowiedź ślusarzowej, za rozczochraną głowę się schwyliła.

— A jej! taka nagła choroba! nieszczęście! A córka przy niej sama jedna! Trzebaż pomódz biedaczce! Ot, tylko czysty kaftan narzucę i przylecę tam, zaraz przylecę!

Ale usłyszawszy rozmowy, rozlegające się na dziedzińcu, z sutereny swojej wydobyła się na powierzchnię ziemi, i w krótkiej spódnicy, boso, z rozwianemi nad małą twarzyczką siwemi włosami, biegła przez dziedziniec Ambrożowa. W drobne, od mydlin mokre ręce z żalu uderzała i krzyczała:

— Oj, biednieńkaż ona z taką chorą matką, sama jedna, panieczka moja złocienka, biednieńka! Może w czym pomódz, posłużyć? Może po cyruliczka pobiedz? Może zimnieńkiej wody do główki przynieść! Jestem! jestem! jestem!

I z temi słowami, jak zwinna mysz do nory, do sionki Jadwigi wbiegła.

W tejże chwili, z bramy na dziedziniec wybiegła Ruchła. Nie szła już tak, jak zawsze, leniwie i sennie, ale z takim rozmachem biegła, że aż brudna chusta zsunęła się na jej plecy i odsłoniła głowę, czarnym perkalem, zastępującym perukę, oblepioną.

— Hörst! — krzyczała, — co to? Pani Szyszkowa zachorowała! A co tam panienka robi? Aj, waj! ona tam sama jedna... jak ona sobie radę da w takim przypadku!

— Ruchła! Ruchła! — z okna pierwszego piętra zawołała na nią karczmarka Leja.

Ruchła głowę podniosła, i dwie Żydówki ruchami głów pożałowanie okazując, zaszargotały z sobą.

Wtem, z otwartego okna Jadwigi wychyliła się Michałowa.

— Moja Ruchlo — zawołała, — zróbcie cokolwiek, ażeby wasze dzieci tak nie hałasowały! Tu kobieta może umiera, a te bębny wrzeszczą, jak opętane!

— Git! zaraz! nu, ja im dam!

I ku gromadzie żydowskich dzieci się zwróciła; jednocześnie zaś kramarka z otwartego okna ku swoim dzieciom aż siedem żydowskich imion wykrzykiwać zaczęła, wołając, aby były cicho i do domu szły.

Ale niełatwa była to sprawa rozhułkaną tę trzódkę zapędzić do owczarni. Więc Ruchła, w jedną i drugą stronę pośród nich biegła, jedne szturchańcami obdarzając, inne łając, inne nakoniec prosząc; a gdy to czyniła, ruchy jej były zupełnie tak samo żywe, gibkie, do baletnicznych podobne, a oczy spłakane tak samo gorzały, jak bywało wtedy, kiedy osoby ze zwojem materyi w ręku do swego męża krawca zapraszała.

Nagle zatrzymała się i, na gromadę chrześcijańskich dzieci spoglądając, zawołała:

— Nu, a co to pomoże, że te przestaną, kiedy tamte hałasują! Niech pani Jerzowa powie tamtym, żeby one nie hałasowały! One nie do mnie należą, ja im nic kazać nie mogę! Niech pani Jerzowa każe!

Pani Jerzowa do mieszkania Jadwigi już dążąca, przystanąła, popatrzała, i pędem ku drugiej wrzaskliwej gromadzie się rzuciła. Było tam czworo jej własnych dzieci. Ruchła na swoje, a ona na swoje, krzyczały; — i obie te kobiety, zarówno prawie brudne, zarówno w przydeptanych i z nóg opadających pantoflach, jedna z rozczochraną jak fura siana, druga z oblepioną czarnym perkalem głową, ciszę na dziedzińcu czynić usiłowały.

Jakkolwiek przecież zmniejszały się stopniowo dziecinne hałasy, cisza do tego ludnego kotła zlecieć nie chciała. Wieść o zaszłem nagle w jednej z przegródek jego nieszczęściu, była ostrą kroplą, która wpadła do gotującej się w nim nieustannie codziennej stawy, i wywołała na wierzch odpryski przerażenia, współczucia i ciekawości. Tu i ówdzie przez otwarte okna wychylały się ciekawe głowy męskie i kobiece, — kobiety szczególnie zbiegały ze wschodów, wychodziły przede drzwi mieszkań, i patrząc w stronę mieszkania Jadwigi, zcicha lub głośno z sobą rozmawiały. Wielu z nich miało w sercu i uszach wieczne *adagio* ludzkich żywotów: „Co dziś tobie, jutro mnie!” dla wielu nagła choroba jednej starej kobiety była takim samym, jak kręcenie się trzech par tancerzy za oświetlonem oknem, ciekawym i porywającym, bo nowe wrażenie dającym teatrem.

Nad całym tym gwarem i czynnem lub biernem zajęciem, nad wszystką tą ciekawością i czynną lub bierną litością, jak skrzydlate, białe, dla ziemskich spraw obojętne anioły, unosiły się dźwięki fortepianowej muzyki, wychodzące z okna panny Karoliny. Jej ślepa matka, po dzisiejszym srogim upale, spoczywała w głębokim fotelu; ona zaś sama, piękna jeszcze, choć niemłoda, dumna choć biedna, nie wiedziała i wiedzieć nie chciała o niczem z tego, co dzieje się tam na dole, na tym ohydny bruku, pośród tych brudnych ludzi, i z klawiszów wydobywając smętną melodyę, myśli swe posyłała daleko, gdzie, pośród pól

wonnych, pod mierzchnącym niebem, stare lipy szumiały u wysokich ozdobnych drzwi jej rodzinnego domu.

Tymczasem, z niskich i ciemnych drzwi szwaczki wychodził opuszczający jej mieszkanie lekarz, a tuż prawie za nim Paulina wypychała narzeczonego z sieni, wołając:

— Lećże, Bolciu, do apteki! a migiem żebyś mi nazad był!

Zobaczywszy zaś starą kobietę, z wielką, czerwoną twarzą, zbliżającą się ku sobie, na spotkanie jej podbiegła i z wielkim zapałem zakomunikowała:

— Ot, podsłuchiwała stara, co Jadwidze opowiadałam i — amen.

— A cóż to takiego panna Paulina pannie Szyszkównie opowiadała?

— A cóż takiego? Że jeden jej brat w turmie siedzi, a drugi sprzedaje się za męża jakiejś bogatej mieszcze.

— Kara boska! kara boska! Ludziom języki pokazywała, w święto, zamiast na służbę bożą iść, z kawalerami mile chwile spędzała, i ot ma teraz za to! Pan Bóg długo cierpliwy, ale jak rozgniewa się, to i ukarze!

Tak prawiała duża, czerwona twarz, z ciekawemi, świdrującemi oczkami, a w kilka minut potem po wszystkich przegródkach tego kotła zakipiało i zagadało, że jeden brat Szyszkówny w turmie siedzi i pewnie do katorgi pójdzie, a drugi wkrótce zaprzeda się na męża bogatej, nie wiedzieć jak bogatej mieszcze..

— Za pieniądze duszę sprzedał, — jednołóśnie powiadano.

Gadano też i wzajem sobie komunikowano wyrok lekarza, że chora zaraz nie umrze, że jeżeli nowego wypadku nie będzie, może nawet jeszcze żyć długo, że tylko połowę ciała będzie już miała zawsze bezwładną, lecz w zamian niejaką przytomność umysłu i możliwość mówienia zachowa.

Zachowała! Godzina zaledwie upłynęła, odkąd pod ciosem krwi na mózg jej spadającym na ziemię upadła, a już z ust jej wylewał się potok słów złych, gwałtownych, rozpacznych, lub niewymownie żalonych. Pod spłóviałą koldrą, z czarnymi włosami na poduszce rozrzuconymi leżąc, z oczyma jeszcze krwią nadbiegłemi a zsiniałemi usty, mówiła, prawie krzyczała:

— To nieprawda! to wymysł! to jakieś okropne łgarstwo! Jezus, Marya! intrygi! kalamunie, podłość! Władek w turmie! Czy słyszeliście moi państwo? O, Boże Wszechmogący, ulituj się nademną i spraw, aby tym ludziom pozamykały się gęby... Czy oni myślą, że ja jego na to hodowałam, aby on w turmie gnął! Ach, męka, śmierć, zgryzota, ze złodziejami i rozbójnikami... sądzić go będą, do katorgi skażą... Jezus Marya! ratujcie! Pozwólcie mi pojechać do niego! ludzie zlitujcie się, odziejcie mnie, do wagonu wrzucicie i kaźcie do niego zawieźć! Niech ja jego nieszczęśliwego choć zobaczę... Niech ja jego pocieszę... niech ja z nim razem... Cha, cha, cha! w turmie! Jezus, Marya! ratujcie!

Krzyknęła tak przeraźliwie, że aż krzątające się koło niej kobiety wszystkie razem ku niej przypadły. Jedna tylko Jadwiga wydawała się spokojną, a spokój jej wydawał się kamiennym. Z twarzą tak nieruchomą, jakby z kamienia była cała wykuta, z ostro pobłyskującymi oczyma, śpiesznie, zręcznie, lodem, tylko co w wiaderku przez Ambrożową przyniesionym, napełniła skórzany pęcherz i jednej z obecnych kobiet go podawszy, płótno rozdzierać i bandażę z niego robić zaczęła. Szyszkowa zaś, z ogromną żółtą czapką na głowie, z pod której wypływały czarne włosy, mówiła ciągle:

— Żeni się tam... z tą... Jezus, Marya, za pieniądze duszę sprzedaje... ojciec, gdyby z trumny wstał, znówby w nią upadł zaraz... zaraz... twarzą do ziemi... tak samo, jak ja padłam... bo biedni my byli ludzie... on z niebogatego domu pochodził i ja także, ale czyste sumienie... czysty honor... Nie zaprzędawaliśmy się nikomu... I dzieci po nas poszły... pewno żadnemu z nich nikt... Jezus, Marya! Wstyd, hańba, śmierć, potępienie duszy i ciała! ratujcie ludzie! papieru! pióra! prędeży! prędeży! napiszę do niego! że pod błogosławieństwem matki zakazuję.. że jeżeli nie posłucha, przeklnę przed śmiercią, a jak umrę, popioły moje przeklinać go jeszcze będą... Józiutku mój! synku! dziecko ty moje najśliczniejsze!.. ach, jaki on był zawsze śliczny... zgrabny, jak panienka... włos czarny.. oczy szafrowe... profil taki, jakby go największy malarz wyrysował... A taki umizgalski, taka przylepka... jak przylepi się do rąk, do szyi... Dopóki nie powyrastali, szczęśliwa ze mnie matka była.. Jadwiga! czy słyszysz? Jadwiga! Śmierć, choroba, zgryzota! Pamiętajsz ty, jaka ja szczęśliwa byłam, dopóki oni nie powyrastali?... jak to my za życia ojca, wie-

czorami... naokoło stołu... Włodek przy moich nogach na stołeczku, a Józio z drugiej strony... Co ona nagadała! W turmie! Przeniewierstwo! Jezus, Marya! ratujcie! odziejcie mnie! do wagonu wrzućcie! pojedź! zobaczę sama! przekonam się! na kolana przed nim padnę... błagać będę... na prochy ojca.. Jadwiga! słyszysz? papieru daj! Plaga egipska! czemuż nie dajesz, kiedy mówię! Przeklnę, jeśli nie dasz! napiszę... poproszę.. on posłucha... Jadwiga, dasz papieru, czy nie dasz? Nie chcesz żebym do syna pisała... Niech on... niech on sobie w błocie po uszy... a ty jedna dobra! dobra! dobra!... O Chryste Nazareński! ludzie! ratujcie! Wyjmcie ze mnie serce, bo nie wytrzymam... skonom...

Straszną była w nieruchomości bezwładnego ciała swego, a nieprzytomnem miotaniu się rysów, dziwnie przez tę godzinę zaostrzonych. Dwie kobiety żółtą czapkę z lodem trzymały na jej oszalałej głowie i spojrzeniami dzieliły z sobą zdumienie i przerażenie. Trzecia, gryzącemi plasterami nogi jej pokrywając, wzdychała głośno, a cicho mówiła pacierze. Jadwiga plaster, który maścią jakąś tylko co pokryła, jednej z kobiet podała, i zbliżywszy się ku nadchodzącej właśnie felczerce jednostajnym, automatycznym krokiem, jakieś zlecenia pocichu jej dawać zaczęła. Mówiła cicho, lecz przytomnie i jasno; potem kobiecie, z którą rozmawiała, zadała jeszcze parę pytań, tyczących się czynności jej przy chorej, i na usłyszane odpowiedzi z kolei odpowiedziała.

Weszła potem do kuchenki i samowar nastawiać zaczęła. Gdy węgle wygrzebywała z pieca, wrzucała w mosiężną trąbę, wody dolewała do samowara i dla prędszego rozżarzenia węgli z całej siły swej szczupłej piersi w trąbę dmuchała, — przez drzwi otwarte, tak wyraźnie, że ani jedno słowo ująć nie mogło słuchowi jej i uwadze, słyszała gadanie matki. Jak strumień bystry i burzliwy, płynęło ono ciągle, ciągle, to wznosząc się do namiętnych krzyków, to roztapiając się w szmer słabych i bełkotliwych skarg i jęków.

— Czemu ja ztamtąd wyjechałam? Czemu ja ich nie pilnowałam, nie strzegłam? Jezus, Marya! Kara boska na mnie za to, że dzieci swoje porzuciłam... nie oni mnie porzucili... nie oni, ale ja ich... zła... niegodziwa matka... wszystkiemu ja winna...

Język jej splątał się i zrywał się ciąg myśli, przez chwilę w niewyraźnym jej bełkotaniu rozróżnić można było tylko imiona dwóch jej synów i po wiele razy powtarzane imię Boga. Nagle krzyknęła znowu:

— Ona wszystkiemu winna, ona, Jadwiga!... Z bratem, jędza, żyć się nie mogła... wymyślała: „On poniewiera nami, on nam chleba żałuje, on chciałby jak najprędzej z karku nas zepchnąć,” kłóciła się z bratem... Śmierć, utrapienie, męka... Raz cukier do herbaty sobie i mnie rzuciła, a on skrzywił się... Kłopoty miał biedaczek, pracę ciężką, a może i brzuszek go zabolął, bo kiedy dzieckiem był, bardzo często na brzuszek chorował... ona zaś, zaraz, Jezus Marya, w płacz i trajkocze: „Wolałabym własny, suchy kawałek chleba, niż jego cukier!” Ot, masz własny kawałek chleba, masz...: masz... czego chciałaś... ciesz się... tryumfuj... jasna panienska... Drugi raz, jakąś przyjaciółkę do siebie zaprosiła... Plaga egipska... Potrzebna jej była przyjaciółka!... a on, z biura wróciwszy, mówi, że nie potrzebuje, aby do jego domu gości spraszano. Nic więcej nie powiedział... niech mnie Bóg ciężko skarże, jeśli choć słowo więcej wymówił... Baranek mój mileńki, kotek złoty, jedyny... a ona języczek rozpuściła i swoje. „Sama na siebie zapracuję... twoich wymówek nie chcę!” On wtedy mówi: „To może i matkę sobie zabierzesz?” Zażartował tak biedaczysko, nie spodziewał się, że ja to do serca wezmę. Jasna panienska oświadczyła, że na siebie i na mnie zapracuje... do nóg mnie padała: „Jedźmy mamó... tam dobry zarobek podobno... jedźmy! Władkowiśmy się sprzykrzyły, lepiej jemu będzie, kiedy sam zostanie!” Wmówiła.. śmierć, nieszczęście... wmówiła we mnie nieszczęśliwą, że jemu lepiej będzie, kiedy sam zostanie... Jezus, Marya, co ja wycierpiałam, nim to postanowiłam... po całych nocach płakałam, głową o ścianę biłam... Co to? synów porzucić... to na dwoje rozodrzczyć się... A on, kochanek mój jedyny... pocieszał mnie: „Pisać będę do mamy, często pisać będę i czasem dojeżdżać!” Pojechałam... porzuciłam... a teraz.. Jezus, Marya... ze złodziejami i rozbójnikami sądzić będą... do katorgi... Ratujcie ludzie! Niech ja do niego pojedę, niech ja go choć zobaczę... Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! Porzuciłam, nie strzegłam, nie pilnowałam... ja... matka... nic o nim nie wiedziałam... Ona winna! Ona wszystkiemu winna! Pyszna ta! jędza! jasna panienska! nic od brata znieść nie mogła... i mnie zbuntowała, namówiła, wywiozła... ja jej tego nigdy... nigdy darować nie mogłam... przez te długie, ach Boże mój, jakie długie lata, ciągle to jej pamiętałam...

I ona moje dziecko... i jej los mnie boli... ale ja nigdy jej tego nie daruję, że zbuntowała mnie... namówiła, wywiozła!...

Wszystkiego tego słuchając, Michałowa i Jerzowa zamieniały zadziwione spojrzenia i ciche słowa, a mała kobiecina z bardzo pomarszczoną twarzą, gryzące plastry od nóg chorej odejmując, zrazu cicho, potem coraz głośniejsze i jakby gniewniejsi, szeptała: „Grzech! grzech! grzech!” Głupowatość tej kobieciny zawierała widać w sobie jakiś punkcik, na którym się mieściło pojęcie, czy poczucie sprawiedliwości, bo wstając z klęczek, głośno i z gwałtownym ruchem zmarszczek na malutkiej twarzy mówiła:

— Jezusie Nazareński! Najświętsza Panienko Różapostocka! jaki wielki, okropny grzech!

Potem do kuchni, jak zwinna mysz, pobiegła, przed Jadwigą, która z samowara wodę gorącą do dzbanka lała, na ziemi przysiadła, a mrużącymi się oczyma litościwie na nią patrząc, szeptała:

— Panienko moja złota... męczenniczko ty biedna... nie martw się... nie desperuj! Na tym światku i tak, i siak bywa.. Teraz źle, ale będzie jeszcze i dobrze... wszystko przejdzie... chmurki rozejdą się... słońeczko zaświeci...

— Nigdy, — krótko odpowiedziała Jadwiga, i z nad samowara podniósłszy się, wyprostowana, z mocno tylko zaciśniętymi wargami i ostrym połyskiem oczu, kamienne naczynie, parą buchające, ku łóżku matki poniosła.

A Szyszkowa mówiła, krzyczała, jęczała i bełkotała dalej:

— Co to syn! Nikt nie wie, co to dla matki syn! Córka nigdy nie zastąpi... — Jezus, Marya! Każdy chłop nawet woli mieć syna... Bo to dla matki siła, pycha, szacunek ludzki, starość spokojna... I taka rozkosz na nich patrzeć... jak oni między ludźmi stosunki sobie robią... coraz wyżej posuwają się... coraz im lepiej... a dla matki zawsze, jak baranki, przyjdą po pracy do domu... w ręce wycalują, za szyję obejmą... „Mamusieczko kochana, ludzie nas szanują i wysoko podnoszą, ale dla mamy, my zawsze dzieci!...” Jezus, Marya! ile razy mnie się śniło, że tak było, że oni tak idą coraz wyżej i rosną coraz więcej, a do mnie tulą się, całują mię, pieszczą, jak małe dzieci... Co noc prawie tak ich śniłam, a kiedy obudzę się i spojrzę: niema ich! Jezus, Marya! Śmierć, męka, niedola, wszyscy dyabli mnie biorą... zabiłabym się, gdybym nie spodziewała się... że te sny... kiedykolwiek na jawie... Ach, jak ja spodziewałam się! ach jak ja od nich choć listu czekałam!... ach, ach, jak ja tęskniłam, wiele łez wylałam, wiele nocy przy łóżku wyklęczałam, do Boga modłać się i za nich, i o nich... Jezus, Marya! co ja wycierpiałam!... We łzach moich skąpaćbym mogła ich obudwóch... gdyby z moich westchnień zrobił się wiatr, toby ich obudwóch, jak aniołów, do samego nieba zaniósł...

I teraz także miotał nią wiatr westchnień, a gdy z za uszu, z pod żółtej czapki z lodem, czarne, mokre włosy, dwiema strugami na piersi jej spadały, z oczu też jej, na policzki woskowo żółte ciekły dwie powolne, mokre strugi łez.

— I to... moje dziecko... ale inne, inne, inne... Słabe to, niepewne... kiedy nic nie robi, narzeka, że cudzy chleb je... kiedy pracuje... u ludzi w poniewierce i zdrowie traci... Jezus, Marya! gdzie jej do nich! jak ziemia do nieba, tak ona do nich... Śmierć, nieszczęście... żebyż choć za mąż poszła! Ale czy ona taka, jak drugie?... Jednego zraziła... porzucił... tę frygę nawet wołał... Drugi, Jezus Marya... taki miły, pocziwy, żeni się tam gdzieś, ją porzucił... już tak i zostanie się sama na świecie... Ach, nieszczęśliwa ja matka, nieszczęśliwa... na co Bóg kobietom dzieci daje?... Może ja umrę i jej z karku spadnę... Jezus, Marya! umrę i ich nie zobaczę! Ratujcie! Zlitujcie się! już ja zdrowa! odziejcie mnie i na kolej odwieźcie! Jadwiga, pieniędzy daj! słyszysz? Do Władka pojedę! bo mnie daleko już lepiej, lepiej... ja już zdrowa... spytajcie się sobie doktora... on sam powie, że ja zdrowa już i muszę jego zobaczyć... choć raz jeszcze przed śmiercią... choć pocieszyć go troszkę i powiedzieć jemu, że ja nie wierzę... w nic nie wierzę... cały świat kłamie... kalumnie, intrygi, zazdrość ludzka... on nie winien... Do sędziów pójdę, przed sądem twarzą padnę i krzycząc będę: „On nie winien!” I tamten nie winien: zakochał się! lubek mój biedny, najmilszy, zakochał się... pewno ona, jak anioł śliczna... a ludzie mówią, że dla pieniędzy... Ale ja do niego pojedę, wyperswaduję, uproszę... Trzewiki mi dajcie! gdzie trzewiki? Spódnice... O której kolej odchodzi? Jadwiga! pieniądze! Słyszysz? Na kolej jadę.. do Józia... Nie dasz pieniędzy? Twoje, masz prawo... Wyżebrzę, u ludzi wy-

proszę... o żebranych chlebie przeżyję, a dojadę... Jezus, Marya... jak mnie źle... słabo... nic nie słyszę... czy ja umieram już?... Bez nich umrę? Nie chcę... nie chcę... bez nich nie chcę... dajcie trzewiki i spódnice... raz tylko ich zobaczyć, choć raz jeszcze, Boże mój, choć raz jeszcze, Boże mój, choć raz...

Nie umierała, ale końca jej mowy prawie zrozumieć nie było można, bo i wątek jej myśli urywał się co chwila, i język bezwładnie lgnął do podniebienia, i krtań nie miała.

Jadwiga, cicha i wyprostowana, z fiaszką w jednej ręce, a łyżką w drugiej zbliżyła się i w usta jej wlała trochę uspokajającego płynu. Szyszkowa nie widziała nic, bo zamknęły się mokre od łez jej powieki; lekarstwo z trudem przełknęła; w piersi jej rozlegał się szmer, do kipienia zamkniętego wrzątku podobny. Felczerka odchodziła, Jadwiga wyliczyła jej w kuchni należną zapłatę i wyszła za nią do sieni. Nie wiedziała sama, po co tam wychodzi: czy aby choć przez chwilę przestać słyszeć rozlegający się od łóżka matki głos wielomówny i okrutny, czy aby ze srogiego okucia uwolnić rysy, które obcym oczom nie powinny były wypowiadać nic z tego, co w niej się działo: czy aby przez chwilę pomyśleć o tem, co na samo dno jej duszy spłynęło lżą najmniejszą z pozorów, najwstydlivszą, najgłębiej ukrytą, a jednak najstońszą i najbardziej piekącą.

Stojąc na środku ciemnej sionki, gdy zamknęły się drzwi za odchodzącą kobietą, pomyślała: „Alboż mi co przyrzekał? Nic wcale! Obywatelska córka... ładna pewno, edukowana... zakochał się! cóż on temu winien? a ja...”

Wtem uczuła więcej, niż spostrzegła, że oprócz niej, w ciemnej sionce znajdował się ktoś jeszcze.

— Kto tu? — zapytała.

Z kąta wysunęła się wysoka, cienka postać kobieca, w wielkiej chuście na głowie.

— To ja, Ruchla! Przyszłam dowiedzieć się, co tu słychać? jak pani ma się?

— Źle, moja Ruchlo, bardzo źle!

Teraz spostrzegła, że Żydówka płakała pocichu, ale tak mocno, aż się jej pod chustką trzęsły ramiona.

— Czegóż tak płaczesz, Ruchlo? Czy Mendel...

— Źle, bardzo źle!

I nie wiedząc jakim uczuciem pchnięta, do rąk jej się rzuciła, a potem łkając, w pół ją objęła, i w głowę, w policzki, w ramiona całowała. Jadwiga nie usuwała się wcale od tych uścisków i pocałunków nędzarki, owszem, jakby tajała w nich, wydobywała się z kamiennego zakucia, aż wzajem ręce dokoła Ruchli zarzuciwszy, gwałtownie zapłakała. Tamte, u łóżka matki jej czuwające, w porównaniu z nią magnatkami jeszcze były. Tej jednej nie wstydziła się łez swych pokazać. Dwie nędze — dwie siostry!

— Co ja panience powiem! — wśród płaczu szepnęła Ruchla; — może ten panicz, jak dowie się, że panienkę takie nieszczęście spotkało... przyjedzie?

— Nigdy, — odpowiedziała Jadwiga, łzy z twarzy szybko otarła, a raz jeszcze Ruchlę w głowę pocałowałszy, do mieszkania wbiegła.

Tu nie rozlegał się już głos Szyszkowej; zażyte lekarstwo uspokoiło ją nieco i powoli usypiało. Trzy pielęgniujące ją kobiety zcicha naradzały się z sobą i o wyniku narady Jadwidze oznajmiły. Teraz, do pomocy jej przy chorej zostanie Ambrożowa, Michałowa zaś uspiwszy dziecko i sama przespawszy się nieco, o pierwszej lub drugiej w nocy przyjdzie ją zastąpić; następnie, o jakiej tam szóstej z rana zastąpi Jerzowa, i tak już będą ciągle przychodziły na zmianę, dopóki Jadwiga stałej jakiej pomocnicy sobie nie znajdzie. Czynieć to mogą przez dni kilka i dłużej — a jej! cóż to ważnego! a jeżeliby uczuły się zmęczonemi, przybiorą sobie jeszcze jedną sąsiadkę. O Paulinie mowy niema, bo ona wcale na chorych się nie zna, i ktoby tam na taką lafiryndę liczył! ale w rogu dziedzińca mieszka jedna bardzo poczciwa kobieta, wdowa po piekarzu i córkę dorosłą ma... z niemi więc pomówią. Ucałowały Jadwigę, ręce jej z całej siły swoich grubych rąk ścisnęły i odeszły.

Wieczór jeszcze całkiem nie zapadł, ale już szarym zmierzchem spływał pomiędzy cztery wysokie mury dziedzińca, na którym panowała prawie zupełna cisza. W oknach rzemieślników, którzy w mieszkaniach swoich pracowali, błyskały już światełka, w innych ciemno jeszcze było. Z drugiego piętra, z otwartego okna panny Karoliny, wielką i ciągłą falą wypływała fortepianowa muzyka, sama jedna rozlewała się po pustym, cichym dziedzińcu i wzmagała uczucia, które napełniały serce szwaczki, u otwartego także na dole

okna siedzącej.

Zdawało się jej, że każdy ton tej miłosnej i rozmarzonej muzyki szydził z twardego jej losu i z przyszłości, która otwierała się przed nią jak długa, czarna noc. Jeżeli dotąd życie jej było szarem, odtąd będzie zupełnie czarnem. W myśli jej ciągle powtarzał się wyraz: „nigdy! nigdy! nigdy!” i milkł tylko wtedy, gdy głowę jej napępiał rój ciemnych, ciężkich, powszednich trosk. Co będzie z matką? Lekarz zapowiada chorobę długą, a potem wieczne niedołęztwo. Jakim sposobem córka zaradzi potrzebom, które stan ten wytworzy? Dla chorej potrzeba będzie mnóstwa wygód i lekarstw, dla niej pomocnicy, bo przecież pielęgnować chorą i zarazem szyciem na wszystko zarabiać, nie będzie mogła. Dotąd obchodziły się bez służącej, matka załatwiała gospodarskie sprawunki i zajmowała się kuchnią; teraz wypadnie wziąć taką, któraby...

Tu muzyka z drugiego piętra domu spływająca, stała się tak miłosną, tęskną, rozmarzoną, że Jadwiga obu dłońmi pierś przycisnęła, aby powstrzymać dobywający się z niej wybuch płaczu. „Nigdy — myślała znowu — nigdy, nigdy go już nie zobaczę...” W uszach jej zabrzmiał głos Stanisława, o Paulinie mówiącego: „Na godzinę zabawy dobra, ale na całe życie, hu, hu, hu!” Zaśmiała się prawie głośno. Opanowało ją uczucie obrazy i gorzkiego szyderstwa, nad żal i tęsknotę jeszcze bolesniejsze... „To samo ze mną — myślała — na jeden dzień, a potem, bądź zdrowa! Są na świecie ładniejsze od ciebie, lepiej edukowane, milsze... tobie jednego dnia szczęścia dosyć być powinno, aż nadto... a jeżeli czegoś więcej spodziewałaś się i wymagałaś, to tylko dlatego, że byłaś głupia, głupia, głupia!” Obu rękoma schwyła się za głowę. „Jak ja mogłam choć na dzień jeden, choć na godzinę, choć na chwilę uwierzyć!..”

Tu nagle zleciał na jej głowę rój ciemnych, powszednich trosk. Dobrze to mówić: przyjąc do pielęgnowania chorej pomocnicę, któraby zarazem służącą była, ale — zapłacić jej trzeba i dość drogo zapewne. Zkądże ona na to weźmie, teraz mianowicie, kiedy robota skąpo napływa i do lepszych czasów kilka jeszcze tygodni czekać trzeba? Zaczęła obliczać swój mały zapasik i myśleć, na jak długo wystarczyć jej może? Przy nowych znacznych wydatkach, chorobą sprawianych, wystarczy na dni kilka... może na tydzień. A potem co? Na myśl o tej przyszłości uczuła zawrót głowy. Matkę ratować, leczyć, wygodami w tej chwili jej niezbędnymi otoczyć musi ona, koniecznie musi. Ze wszystkich sił starałaby się o to w każdym wypadku, ale teraz, gdy ma w swoim chorem sercu taką straszną rozpacz, tembardziej... Ponieważ tak okrutnie przez matkę jest skrzywdzoną, więc tembardziej, tem usilniej, tem skrupulatniej... Ale jakim sposobem? Zkąd weźmie tyle czasu, sił, zarobku?... W głowie jej mąciło się od tych pytań, na które, w tej chwili przynajmniej, nie znajdowała żadnej odpowiedzi...

Z drzwi przepierzenia, za którym paliła się mała lampka i panowała cisza, bo chora pod wpływem lekarstwa usnęła, wysunęła się Ambrożowa, cichutko, zwinnie, u stóp Jadwigi na ziemi przysiadła, i z podniesioną ku niej malutką, w siwe włosy oprawioną twarzą, zaszeptwała:

— Panienczko złocieńka! Męczenniczko ty moja biedna! Jak ty podołasz wszystkiemu? Jak ty teraz na świecie żyć będziesz? Czy ja nie wiem co to choroba, bieda i takie wydatki, na które niewiadomo zkąd wziąć, rozstap się ziemio, a niewiadomo! Wiem ja, oj wiem to wszystko!... A tyż, panienczko złocieńka, sama jedna tu, jak paluszek!... Nikt nie pomoże. Na wszystko tylko dwie rączki masz. A jak nie podołasz? jak roboty zabraknie? jak zdrowie opuści? co będzie Jezusie Nazareński, Najświętsza Panienko Różanostocka, co wtedy będzie?

W niemem osłupieniu Jadwiga słów tych słuchała i nic nie odpowiadała. U stóp jej siedząca kobiecina szeptała dalej:

— Mamusia chwala Bogu zasnęła troszkę, a ja przyszlłam *coś* panience powiedzieć. Ot, co ja powiem: O sługę przynajmniej nie łam sobie główki, męczenniczko ty moja biedna, ja przy was zostaną się... co tam! Suterenkę swoją komukolwiek odnajmę, a do was przeniosę się i mamuni dopilnować pomogę, i do miasteczka pobiegnę, i obiadek zgotuję... Pieniądzy za to wielkich nie żądam... Co tam będziesz mogła, panienczko złocieńka, to mnie dasz, a zresztą, jakkolwiek, jak będzie można, obejdę się... Co tam! Wszystko jedno, i teraz bieliznę piorąc, w bogactwie nie żyję. Zjem co będzie, prześpię się w kuchence, a na jaką tam spódniczkę i na trzewiczki dzieci dadzą, to jedno, to drugie... bo wszystkie już siakie takie zarobeczki mają... Dobrze?

Za całą odpowiedź, Jadwiga pochyliwszy się, usta swe w siwych jej włosach utopiła. Ona zaś zaszepiała znowu:

— Dopóki mamusia spać będzie, ja jeszcze panienczce *coś* powiem. Aż mnie korciło, aż mnie z ziemi podrywało, żeby pobiedz i panience to powiedzieć. Ot co! Słyszę, braciszek, ten młodszy, bogato żeni się! Wszyscy, na całym dziedzińcu mówią... kiedy po łodek biegłam, a później po felczerkę, słyszałam, jak Paulina wszystkim rozpowiadała, że jeden w tur... aj, Bożeż mój, i wymawiać to słowo strach bierze! — ale drugi za to bogato, bogato żeni się, gdzieś daleko, daleko, że i nazwiska tego miejsca spamiętać nie można. Ale ta dalekość nic nie szkodzi... liścik, żeby nie wiedzieć jak daleko, dojdzie. Napisz ty, panienczko złocienka, do niego, żeby on przyjechał, mamunię i ciebie pocieszył i poratował... a jeżeli nie przyjedzie, to niech choć pomoże... niech choć pieniążków przysze... wszak to rodzony.. rodzonego braciszka poprosić można.

— Nigdy! — zawołała Jadwiga, i jakby gorącym żelazem dotknięta, drgnęła, wyprostowała się. — Nigdy! — głośniejsze powtórzyła — ani ja pociechy i przyjaźni jego żądać, ani o pomoc do niego pisać nie będę.

Szeroko rozwierając ręce i Ambrożowej je ukazując, z uniesieniem mówiła:

— Czyste, prawda, że czyste? Przypatrz się, że czyściuteńkie! Te czarne znaki na palcach od nakłócia igłą, a ta ciemna pręga, tu, od sparzenia gorącym żelazkiem.. a ta, tu.. od zadrażnienia się nożyczkami... Innych plam na mnie niema i nie będzie, a jego pieniądze, za które się sprzedaje, straszna plama... Ty może tego nie rozumiesz, Ambrożowo, ale to są pieniądze wzięte za honor, za uczciwość. Ja ich nie chcę! ja ich nie dotknę się nigdy, nigdy! Jeżeli przysze, odeszł! Chociażby matka rozkazywała mi przyjąć, nie przyjmę, ale i ona tego żądać nie będzie... Dla mnie jest niesprawiedliwą, ale poczciwość przez całe życie rozumiała i ceniła... Ty, Ambrożowa, może tego nie rozumiesz, ale ja wolałabym umrzeć, niż jego pieniądze wziąć...

Wstała z krzesła i znowu w ściśnięte ręce uderzyła.

— I nie umrę... i pokażę im wszystkim, że ani ich miłości, ani ich pieniędzy nie potrzebuję... Choćby mi przyszło dniami i nocami szyc, choćbym musiała po domach chodzić i jak Ruchla o robotę żebrać... Lepsze to już, niżeli takie pieniądze... Ty tego może nie rozumiesz, ale wszystko lepsze, niż takie pieniądze... Kiedy szycia nie wystarczy, co innego robić będę... do sprzątnania mieszkań i mycia podłóg najmę się... do noszenia wody, a kiedy dostanę szycie, cała moja dusza będzie w ręku... nigdzie, nigdzie, tylko w ręku... wszystkie inne myśli od siebie odpędzę, a będę szyla... szyla... jak najprędzej, jak najwięcej, byle tylko mózdz matkę karmić i leczyć. A jeżeli omyłę się... jeżeli nie podołam... jeżeli nie wystarczę... to.. to cóż? Matkę do szpitala zawiozę, a sama utopię się, ale jego pieniędzy nie przyjmę... bo może ty Ambrożowa tego nie rozumiesz...

Myliła się Jadwiga. W niezmiernej pokorze tej kobieciny, która u nóg jej siedziała był jakiś punkcik, na którym mieściło się pojęcie, albo poczucie honoru, bo zrozumiała, tak dobrze zrozumiała, iż w oczach jej zjawił się wyraz bardzo do zachwycenia podobny, a drobna, czarna ręka wzniosła się w górę, i z uroczyością, której niktby się po niej nie spodziewał, znak krzyża w powietrzu kreślić zaczęła.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, Amen.. — szeptały wyschłe, gęstwina zmarszczek otoczone usta. — Boże błogosław! Boże wspieraj! Boże dopomagaj!

Coraz większą ciszę za oknem panującą, przerznął teraz przeraźliwy świst nadlatującego do miasta pociągu kolei żelaznej, ale obie kobiety nie zwróciły na to uwagi.

Jadwiga z czołem o twarde brzeg okna opartem, cicho, głęboko płakała, a gdy podniosła głowę, ujrzała Ambrożową za przepierzeniem, przebiegającą z kuchenki ku łóżku śpiącej jeszcze chorej.

Jadwiga zwróciła twarz ku oknu. Kilka gwiazd świeciło nad cichym, pustym dziedzińcem, kilkanaście okien błyskało blademi światłami, na drugim piętrze muzyka umilkła, z ulicy dochodził wzmożony turkot, zwykle o tej porze jadących z dworca kolei dorożek. Słapanemi oczyma patrzyła na gwiazdy i myślała:

— Ani te piękne gwiazdy dla mnie... ani muzyka... ani wesołość żadna... ani szczęście... mnie płakać nawet nie wolno, bo oczy szanować powinnam... I nie będę! nie będę... trzeba mi szyc... szyc... szyc... matkę karmić i leczyć, i im wszystkim pokazać, że ani ich miłości, ani ich pieniędzy nie potrzebuję!...

Porwała się z krzesła i przystąpiła do zgrabnej panienci bez głowy, na której sukni w zmroku nawet połyskiwał zdobiący ją atlas.

— Dziś w nocy suknię tę wykończę, jutro ją odniosę i zapłatę wezmę, a może jeszcze jaką robotę tam mi dadzą...

Postawiła dużą lampę na stole i już zapalać ją miała, gdy nagle, ręka jej z paczką zapalek w powietrzu zawisała, a szeroko otwarte oczy wpatrzyły się w okno. Kto to taki wyszedł z bramy i przez dziedziniec szerokim krokiem idzie? Kto to idzie, przez zmrok, pod gwiazdami, jak widmo szczęścia, czy odnowionej rozpacz? Jezus, Marya! jakież podobny!... Tu idzie... do drzwi jej zmierza! Jezus, Marya! To chyba on!...

Skoczyła ku oknu i do połowy ciała wychyliła się przez nie; ale człowiek, który szedł przez dziedziniec, już zniknął we drzwiach jej mieszkania i w sionce słychać było jego kroki. Tak, to jego kroki... Jezus, Marya... tak, to on!

Do mrocznego pokoju wszedł, przy samych drzwiach na ziemi mały tłómok postawił i już był przy niej.

— Jadziu! jedyna moja, kochana, złota! jak się masz?

Ręce jej pocałunkami zjadał, ale kiedy wyciągnął ramię, aby ją objąć, usunęła się, i plecyma o brzeg okna oparta, jak drewno zeszywniała. Wtedy spostrzegł, że twarz jej świeciła w zmroku bladą opłatką i miała wyraz strasznego bólu.

— Co tobie? Jadziu, duszko, najmilsza, co tobie?

— Nic wcale, tylko zdziwiłam się bardzo...

Uśmiechnęła się, ale mówiła tak cicho, że ledwie ją mógł dosłyszeć; przeraziła go sprzeczność pomiędzy jej uśmiechem a wyrazem całej twarzy.

— Na miłość boską, co tobie?

— Nic wcale... tylko prędeż już spodziewałabym się Stasia zobaczyć, niż ciebie...

— Dlaczego?... Ale co ci jest? taka jesteś zmieniona i jakaś inna!...

— Nic, nic... tylko, że to Staś przecież jechać miał po mamę...

— Wcale nie... ależ co to ma do bladości twojej i do tego, jak mię przyjmujesz?... Czyżbyś tak bardzo wolała, aby zamiast mnie, Staś tu...

— Nie, nie!... tylko myślałam, że ty... od narzeczonej swojej nie odjedziesz...

— Od narzeczonej! od jakiej narzeczonej! Jadziu... wszak ty na nogach ledwie utrzymać się możesz! Jezus, Marya! Co tobie?

— Nic... nic... przecież ty żenisz się, Olesiu!

— Ja, żenię się! ja... żenię się!...

Wesoły, młodzieńczy śmiech jego rozległ się znowu po tym pokoju, przed chwilą tak smutnym i ponurym.

— Żeby tak pies płakał, jak to prawda!

W czoło się uderzył.

— To te plotki aż tu do ciebie doszły?

— Więc nie?

— Plotek, jak Boga kocham, narobili i po całym świecie je roznieśli, a wszystko dlatego, że dwa razy w niedzielę pojechałem do domu, w którym jest ładna panna, i że raz z nią pod rękę po miasteczku się przeszedłem...

— Więc nie?

— Już i mama w liście zapytywała mnie o to, ale nie odpisałem, bo miałem sam po nią jechać... Ani przypuszczałem jednak, aby te plotki aż do ciebie dojść mogły! Niech dyabli wezmą... Człowiek, zdaje się, jak pchła mały, a na ludzkich językach cały świat objedzie...

— Więc nie?... więc nie?

Wziął obie jej ręce w swoje i nisko ku niej schylony mówił:

— Nie. Sto razy, tysiąc razy: nie. Ani myślałem o tem, ani nawet podobała mi się ta panna. O tobie tylko myślałem, duszko ty moja droga, do ciebie tęskniłem, a kiedy już do tego przyszło, że musieliśmy koniecznie mamę do siebie sprowadzić, Stasiowi powiedziałem, żeby zostawał w fabryce i za nas obu pracował, a sam pojechałem, aby tu zajechać i ciebie zobaczyć.. moja ty droga, biedna, najmilsza...

Oniemiała w ręce całował, a potem swoje ręce jej pokazując, rzekł:

— Widzisz, jak czerniały... mógłby kto pomyśleć, że murzyńskie... niechaj ci to wytłumaczy, że nie pisałem... Uf, pracuję, aż się kurzy ze skóry! Cały dzień w ogniu,

w turkocie, w stuku takim, że własnych myśli nie słyszę... Wieczorem kości w sobie nie czuję... Niedzielię nawet rzadko mam, bo fabryka nie świętuje, i czasem tylko jeden drugiego w święto wyręczamy... Staś tęgi chłopiec i dobry brat... żeby był inny, nie mógłbym i teraz być przy tobie, moje ty serce ukochane...

— Boże! ja myślałam, że już nigdy...

— Co nigdy?

— Że już nigdy nie zobaczę cię nawet, Olesiu...

Zmartwiony, smutnie wstrząsnął głową.

— Głupio myślałaś! Smutno mi, że tak mało miałaś wiary we mnie. No, ale kiedy plotek narobili, to trudno! Trzeba było tylko pomyśleć, że ja nie jestem żadnym takim paniczem, co to bawi się całe życie, bałamuci kobiety, przebiera i kaprysi. Do bałamuctwa czasu nie mam, a kiedy pokochałem, to z całego serca i na zawsze. Przepróście mnie teraz... Słyszysz, Jadziu? jak Boga kocham, przeprosić powinnaś...

Milcząc, lecz z takim westchnieniem, jakby z łoża tortur przenoszono ją na łożo z róż, zarzuciła mu ręce na szyję, i znowu — tak jak wtedy — cała do piersi jego przylgnęła. I znowu siwe, ogniste jego oczy zatapiały się w jej oczach, a rumiane usta, na jej spieczonych od męki ustach, kładły wszystkim swój płomień i wszystkim swój miód.

Pierwsza przecież wysunęła się z jego objęcia.

— Słyszałaś o Władku i Józiu? — zapytała z trwogą.

Przez głowę jej przemknęła myśl, że może on nie wie, a gdy dowie się, nie zechce... Wszak ona ich siostra! Powinna więc zaraz powiedzieć mu wszystko. Ale on wiedział. Matka doniosła mu w liście o wszystkim, więc tembardziej spieszył, aby ją pocieszyć!...

— Biedna ty!... Kiedy dowiedziałaś się, że oni tacy, to już o mnie Bóg wie co myślałaś! Jednakże gdyby wszyscy ludzie źli byli, światby już chyba skończył się. Są na świecie źli, są i dobrzy, bywa na świecie źle, bywa i dobrze... Nam teraz przez całe dwa dni będzie dobrze.. dwa dni przebyć tu z tobą mogę...

Za przepierzeniem ozwało się ciche jęczenie, i Ambrożowa cicho przebiegła.

— Co to? — zapytał.

A kiedy mu o chorobie matki i o jej strasznej rozpacz opowiedziała, zamyślił się, i rękę jej w swoich trzymając, chmurnie trochę zaczął:

— Teraz dopiero, kiedy wszystkie nieszczęścia na ciebie się zwały, czuję, jak okropnie chciałbym, abyś choć troszkę szczęścia skosztowała, abyśmy choć nigdy nie rozłączali się z sobą. Ale cóż? pobrać się jeszcze teraz nie możemy..

Uśmiechnął się smutnie.

— Pałacu, widzisz, kosztownego żadnego nie mam zbudowanego... matkę musimy do siebie wziąć, ale aby liczniejszą gromadą mózż żyć, ani myśleć jeszcze. Nie tak tam świetnie, jakeśmy sobie ze Stasiem wyobrażali... Że kiedyś lepiej będzie, to pewna ale poczekać trzeba...

Z niepokojem na nią patrzył.

— Czy dasz sobie rady z chorą matką na karku, jeszcze rok, dwa?

— Ależ naturalnie! — zawołała.

— Poczekasz rok... dwa?...

— Mój Olesiu rzekła po krótkim milczeniu — ja pracy nigdy nie lękałam się, ani biedy... ale pracować choćby najciężej i znosić choćby największą biedę, z myślą i z tą pewnością, że ty mnie kochasz, że ty o mnie myślisz, że choć czasem zobaczymy się, a kiedyś zawsze już będziemy z sobą... to takie szczęście... szczęście!

Takiem to dla niej szczęściem istotnie być miało, że teraz, mówiąc o niem, rozpromieniła się i poróżowiła, a cudowny uśmiech zachwycenia i słodczy usta jej rozwierał.

On też uśmiech ten z ust, a resztę ognia, którym płacz oczy jej rozpałił, z powiek jej zcałował, lecz potem znów nieco schmurzony zaczął:

— Boli mnie ta zwłoka... ale widzisz, biedni ludzie na szczęście czekać i na wszystko ciężko zarabiać muszą, a co trzeba, to trzeba! Prawda?

Ale ona tak zamyśliła się, że nie słyszała tego, co mówił.

Nagle rzekła:

— Olesiu! chodźmy do mamy!

Spostrzegając na twarzy jego wyraz niechęci, za rękę go wzięła i żywo zaczęła mówić:

— Ty gniewasz się na nią, że ona dla mnie taka... Pewno, że to krzywda. Ale widzisz, ona teraz tak nieszczęśliwa, tak strasznie nieszczęśliwa, a tego, co pomiędzy nami zaszło, pragnęła bardzo, więc będzie to dla niej pociechą... Mój drogi, my młodzi, zdrowi, kochamy się, mamy przed sobą przyszłość... a ona biedna, nic już mieć nie będzie, oprócz choroby, wstydu i żalu... jakiegoż żalu!... Chodźmy do niej!

Wstał, i za ręce trzymając się, do pokoiku za przepierzeniem weszli. Ambrożowa, która już przedtem niejedno przeze drzwi widziała i słyszała, i na której twarzy zmarszczki z radości skakały, nad chorą się nachyliła:

— Proszę oczka otworzyć i zobaczyć kto przyszedł — szepnęła.

Zapadłe powieki podniosły się ciężko i zwolna, a przygasłe źrenice długo błędnym spojrzeniem wodziły po pokoju, nim spotkały się z wysoką, silną postacią stojącego u łóżka mężczyzny.

— Kto to? — zapytała. — Oleś zdaje się... Może masz racją... że ją porzuciłeś... bo ona... nie to, co oni... jak ziemia do nieba, tak ona do nich... ale zawsze... szkoda... ja myślałam!...

Aleksander ukląkł i Jadwigę za sobą pociągnął

— Pobłogosław nas, mamó — rzekł. — Jadzia jest narzeczoną moją, i ja nigdy jej nie porzucę.

I gdy oboje całowali jej rękę — nie tę na zawsze bezwładną i bandażami owiniętą, ale drugą — na jej znędzniałej, ponurej twarzy błysnęło światełko pociechy.

— To dobrze — zaczęła. — Jezus, Marya, dobrze! dobrze! Niech was Bóg błogosławi...

Potem błagające, trwożne, rozpaczą napelnione oczy ku Olesiu zwracając, daleko prędzej niż przedtem i głośniejszym, wyraźniejszym głosem zaczęła:

— Ale ty, Olesiu, pojedziesz do nich, zobaczysz ich... Władka... pocieszysz... może mu troszkę pieniędzy dasz.. bo on biedak... pewno głód znosi... a Józiowi powiesz, że ja zakazuję, błagam, na prochy ojca zaklinam... pod błogosławieństwem zakazuję.. Zrób to... mój złoty...

Stopniowo głos podnosiła:

— Powinieneś to zrobić... bo śmierć, niedola, choroba... zięciem moim będziesz... mężem Jadwigi... ich siostry... Robaczki moje, niech przekonają się przynajmniej, że familia... Jezus, Marya... dba o nich, pamięta... Zrób to, Olesiu... powiedz, że zrobisz... na rany boskie zaklinam, abyś zrobił.. A jeżeli nie zrobisz... jeżeli nie zrobisz...

Język jej plątał się, bełkotać znowu zaczynała, lecz siła jakaś gwałtowna piersią jej zatrzęsła, a ogień rozpaczy i zarazem złości w oczy rzuciła. Bezwładnie jakoś, dziwnie przykro targnęła się na łóżku i przeraźliwie krzyknęła:

— Przeklnę!

Lecz jednocześnie z cienia wychyliła się drobna, prawie czarna ręka siedzącej na ziemi kobieciny, i ku dwojgu klęczącym znak krzyża w powietrzu kreślić zaczęła, a zwiędłe i w lesie zmarszczek osiadłe usta, z uroczystością, którejby nikt od nich się nie spodziewał, mówiły:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, Amen. Boże błogosław! Boże wspieraj! Boże dopomagaj!

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/jedza/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Jędza*, nakład Redakcji "Gazety Polskiej", druk. J. Sikorskiego, Warszawa 1899.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: Reggie Alvey, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0620-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.